



# EKSPEDIENTKI Z TREVISO

Klimatyczny włoski kryminał  
osadzony w stolicy prosecco

**FULVIO ERVAS**

**FULVIO ERVAS**

**EKSPEDIENTKI  
Z TREVISO**

Przekład z języka włoskiego:  
Tomasz Kwiecień

smak  słowa  
Sopot

Tytuł oryginału: *Commesse di Treviso*  
Copyright © Fulvio Ervas 2006, 2011.  
Copyright © Marcos y Marcos 2006, 2011.  
All rights reserved.

Copyright © 2019 for the Polish edition by Smak Słowa  
Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień  
Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może  
być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz  
mechanicznej bez zgody wydawcy.

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz  
Konsultacja – język perski: Ivonna Nowicka  
Projekt graficzny i skład książki: Agnieszka Karmolińska  
Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

Zdjęcia wykorzystane na okładce:  
© istockphotos.com / corradobarattaphotos  
© istockphotos.com / Sam Edwards  
ISBN 978-83-65731-59-3



Smak Słowa  
ul. Sobieskiego 26/4,  
81-781 Sopot  
Tel. 507-032519

Szukaj nas także na

facebook



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [konwersja@elib.pl](mailto:konwersja@elib.pl)

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)

## Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[\\*\\*\\*](#)

[1 grudnia](#)

[2 grudnia](#)

[3 grudnia](#)

[6 grudnia](#)

[7 grudnia](#)

[8 grudnia](#)

[9 grudnia](#)

[12 grudnia](#)

[13 grudnia](#)

[14 grudnia](#)

[15 grudnia](#)

[16 grudnia](#)

[17 grudnia](#)

[18 grudnia](#)

[19 grudnia](#)

[20 grudnia](#)

[21 grudnia](#)

[22 grudnia](#)

[24 grudnia](#)

[25 grudnia](#)

[Przypisy](#)





**Ulica w Treviso**



Każdy wie, jak wielkim przywilejem jest zamieszkiwanie w pięknym miejscu. Jaki wpływ na samopoczucie ma harmonijny plac, dźwięk bijących dzwonów ślizgający się po starych dachówkach kamienic. Przez szacunek nie będziemy tu wspominać przygnębiających budowli na przedmieściach ani ponurych gmachów z betonu, zupełnie obcych otoczeniu, w którym powstały.

Dziś bowiem chcemy przywołać pozytywny przykład: oto troska o zachowanie lokalnego dziedzictwa i dobrą jakość życia może wydać wspaniałe owoce.

Chcemy pochwalić cel, jaki władze miejskie wszelkiego rodzaju i szczebla realizowały, uchwalając prawa służące nie tylko estetyce miasta, ale także dobru jego substancji ludzkiej. Chcemy pochwalić działania, które wywołały życzliwy uśmiech, uprzejmość i szacunek.

Dziś możemy powiedzieć, że miasto stało się organizmem otwartym: w Treviso nikt nie jest obcy.

Wszędzie mnożą się inicjatywy wspierające gościnność, mieszkający na tym terenie obcokrajowcy otrzymali przypinkę do ubrania z wielkim kolorowym napisem DOBRZE, ŻE JESTEŚ, zredukowani zostali „od urodzenia dumni z pochodzenia”, mierzący wartość człowieka tym, jak blisko, czy też jak daleko od równika się urodził.

Jeśli coś jeszcze pozostało z niechlubnej przeszłości, to tylko pijackie gadki.

Jeśli nawet zdarzy się jakaś przykrość, będzie niczym lekki wietrzyk.

(z archiwum dziennika „Il Gazzettino”, 24 grudnia 1999 roku)



# 1 grudnia

– *Antimama...* – westchnął inspektor Stucky, zmuszając się do uważnego słuchania tego, co mówi młoda sprzedawczyni. Dopiero co poprzedniego ranka pochował Martiniego, a już musi się zająć nową sprawą...

Pozwolił, by kobieta opowiedziała o niespokojnej drodze do pracy (a przecież ona tak nienawidzi prowadzenia samochodu!) i o stalowej rolecie, którą musiała codziennie podnosić i opuszczać; pozwolił jej ponarzekać na to, co się wydarzyło, i podkreślić, jak wkłada w wykonywaną pracę całą siebie; pozwolił, by rozwodziła się nad sklepem wielobranżowym, nad karafkami z niebieskiego plastiku, szczotkami do czesania labradorów, podstawkami pod szklanki z włókna węglowego, karteczkami post-it z całującymi się rybkami, ponieważ wiele z tych drobiazgów zaprojektował jej chłopak, wschodząca gwiazda sztuk użytkowych, który w każdą sobotę zawozi ją do pracy i parkuje na piazza della Vittoria – „Na piazza della Vittoria, naprawdę?”, próbował powstrzymać ten potok słów Stucky – tak, bo chce pokręcić się po centrum i jeszcze pomachać do niej przez witrynę; pozwolił wreszcie, by nauczyła go o wartości tego, co sprzedawała, tysiąca drobnych przedmiotów kruchej użyteczności, ponieważ to, co zbędne, daje poczucie bezpieczeństwa, pokazuje, jak długą drogę pokonano od świadomości nieposiadania niczego do wiary w posiadanie wielu rzeczy.

Inspektor przyglądał się złotemu segregatorowi leżącemu na

biurku. „Ekspedientki”, powinien był napisać na etykiecie z niebieską obwódką, ale uznał, że byłoby to śmieszne.

– Czy czuje się pani już nieco spokojniejsza, signorina Leonardi?

Popatrzyła na niego przez chwilę, odgarnęła włosy, które spadły jej na czoło.

– Spokojniejsza? Nie za bardzo.

Stucky przyjrzał się jej twarzy, próbując dostrzec podobieństwo do komisarza Leonardiego. Nie, nie przypominała stryja. A komisarz za nic w świecie nie akceptował, by jego jedyna bratanica była traktowana jak ktoś pierwszy lepszy.

– To wydarzyło się wczoraj wieczorem na parkingu pod domem, tak?

– Tak, w dzielnicy Sant’Artemio. Dopiero co wróciłam z pracy.

– Napastnik coś do pani powiedział?

– Powiedział: głupia.

– I zaszedł panią od tyłu.

– Od tyłu. Nic nie widziałam, panie inspektorze.

– A kiedy pani zauważyła czekoladkę?

– Poczułam, że bardzo szybko wkłada mi rękę do kieszeni. Kiedy sobie poszedł, znalazłam w niej czekoladkę...

Czekoladka leżała na biurku i Stucky nie potrafił odmówić sobie spojrzenia na ten niewielki kawałek słodczy, opakowany w sreberko z błękitnymi gwiazdkami. Co to w ogóle za napastnik, który wkłada ofierze czekoladkę do kieszeni płaszcza? W całej tej sprawie było coś dziwnego. Może komisarz Leonardi coś wyczuł i przysłał mu swą bliską krewną, zanim wydarzy się coś naprawdę złego.

– Czy wcześniej ktoś pani dokuczał?

– Co pan rozumie przez dokuczanie?

Dziewczyna miała czarne i gęste, wręcz demoniczne brwi. I niebieskie oczy, które, gdy na nie spojrzeć, promieniały

światłem. Pomyślał o energii, jaką się ma w tym wieku. Jakich wrogów można mieć, kiedy się ma dwadzieścia lat? I pomyślał, że to dziwne widzieć bratanicę przełożonego w charakterze pokrzywdzonej, dziewczynę, która od czasu do czasu wpadała do kwestury i z którą Martini zamieniał niekiedy aż nazbyt uprzejme dwa słowa. To rzeczywiście prawda, że raz się jest po stronie mikroskopu, a raz po stronie drobnoustrojów.

Dobrze, powiedział, proszę się już nie martwić, my się tym zajmiemy.

Mogło chodzić o jakieś głupstwo, widział już takie rzeczy. Ostatecznie większość przykrości, jakich ludzie doświadczają, uważa się za głupstwa, nie znajdzie się ich w podręcznikach kryminologii. Wielka rzeka codziennych zmartwień nie pozostawi śladów w przyszłych badaniach archeologicznych na temat wymiaru sprawiedliwości.

Uspokoił komisarza:

– Zwykły figiel. Może gość był podпиты, niech się pan nie przejmuje.

– Cieszę się.

– Przez kilka dni każę eskortować pańską bratanicę do domu.

Inspektor wyslizgnał się na tyły piazza dei Signori. Kątem oka rejestrował rzędy miedzianych tabliczek kancelarii adwokackich, notariuszowskich i prywatnych gabinetów lekarskich, przytwierdzonych obok bram bogatych kamienic. Przez niektóre z nich dało się zobaczyć eleganckie wnętrza, marmurowe i kamienne schody, kawałki ogrodów i ceglane mury. Zanim się zorientował, znalazł się na Ponte di San Francesco, moście pierwszej kategorii<sup>1</sup>, co podkreślała stojąca przed nim tabliczka informacyjna. Przystanął, oparł się o balustradę i pomyślał o garści ziemi, którą rzucił na trumnę Martiniego. Powinien się domyślić, że coś było nie tak z przyjacielem, pomyślał sobie, skoro

w październiku nie chciał wziąć udziału w Ombralonga<sup>2</sup>, której dotąd nie opuszczał. Nie mam ochoty się upijać, powiedział zupełnie nie swoim tonem.

Rok wcześniej przebrali się za policjantów po cywilnemu, przyrzekając sobie nawzajem, że niczym kameleony wtopią się w tłum i staną się podobni tysiącom aspirujących pijaków: odrobinę szczęśliwi, odrobinę zagubieni i bardzo towarzyscy. Podobnie jak inni aspirujący pijacy, stukali do drzwi wszystkich gospód po drodze i wszędzie bez cienia litości wpuszczano ich do środka. Skończyli późną nocą na jakiejś ławce, a potem, gdy siedzieli nad brzegiem kanału, niemal dotykając wody stopami, Martini zapytał go, czy kiedyś robił to w trójkącie. W trójkącie z kim? A to już niech pan powie, inspektorze. Zawsze mówił mu na pan, kiedy rozmowa schodziła na sprawy seksu. Bardzo cenił tę cechę Martiniego, to jego spoufalanie się, a czasem nabieranie dystansu, tę jego stałą troskę, by zająć tylko tyle przestrzeni, ile mu przyznano.

Inspektor wszedł w wąską via Trevisi i z Ponte della Malvasia rzucił okiem na wielki dywan zajmujący część sklepowej witryny po prawej.

Uśmiechnął się, widząc, że na stosie dywanów w środku siedzi *dai*<sup>3</sup> Cyrus. Skrzyżowane nogi, tradycyjny ciemnoszary garnitur, biała koszula zapięta pod samą szyję. Obowiązkową szklaneczkę z herbatą trzymał na wysokości ust i jak zawsze myślami przebywał daleko stąd. To był jedyny perski krewny, jaki mu pozostał w dającej się zaakceptować odległości.

– Jak tam, *dada*<sup>4</sup>? – powiedział, otwierając drzwi z przytwierdzonym do nich dzwonkiem, który dźwięczał przez dłuższą chwilę.

Za plecami Cyrusa wisiała wielka wyblakła fotografia doktora

Mosaddeka<sup>5</sup>, czyli po prostu „Pana Premiera”, jak go nazywał wuj. Jeszcze bardziej skrzyżował nogi, stawiając szklaneczkę na tacy leżącej na dywanach. Spojrzał na niego, najpierw melancholijnie, a potem uśmiechnął się szerokim grzecznościowym uśmiechem i wyciągnął rękę, całując siostrzeńca na powitanie.

– *Czeturi?*

– *Chubam*<sup>6</sup>. A jak interesy, *dada?*

– Lepiej ode mnie.

– Zdrowie, wujku?

– Żołądek. Siedzenie na dywanach nie służy mi już tak, jak dawniej. Ale nie narzekam. A ty narzekasz?

– Ani trochę. Chociaż...

Cyrus czekał w milczeniu, pozwalając, by inspektor dokończył zdanie, o ile naprawdę tego chce.

– Może jakiś kłopot w pracy.

– Nic więcej?

– Także przykrość... przyjaciel.

– Czasem tak bywa, że zima mija, a mrok zostaje – orzekł mężczyzna, nie patrząc już na niego.

## 2 grudnia

Następnego dnia musiał uznać, że sprawa zaczyna wyglądać na rozwojową. Kolejna ekspedientka.

Zamknęła sklep i poszła do samochodu zaparkowanego na piazza della Vittoria, kiedy jakiś typ zaszedł ją od tyłu, popchnął, znieważył słownie, a następnie uciekł ile sił w nogach.

Biedaczka wbiegła przez bramę kwestury, o mało nie tratując dyżurującego policjanta.

Zaprowadzili ją do Stucky'ego dokładnie na sam koniec jego zmiany. Właśnie porządkował biurko i kiedy zobaczył stojącą w drzwiach młodą kobietę, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, uprzedził ją i zapytał:

– Ekspedientka? Proszę mi pokazać czekoladkę!

Kobieta, wciąż przejęta, pokręciła głową i zaczęła opowiadać, co się stało, udając, że szłocha.

Stucky pozwolił jej otrzeć oczy, a potem poprosił, by włożyła rękę do kieszeni. Kobieta wyciągnęła z lewej małą czekoladkę opakowaną w sreberko.

– Kupiła ją pani?

Pokręciła głową.

– A więc włożył ją pani napastnik. Widziała go pani?

– Tylko od tyłu... – szepnęła dziewczyna.

– Wysoki? Niski?

– Trudno powiedzieć. Taki... średni.

A żeby to! Ugryzł się w język. Coś go w tym wszystkim



irytowało. Głównie ta czekoladka.

– Czy kiedykolwiek przydarzyło się pani coś podobnego?

– Kiedy?

– Przed dzisiejszym wieczorem.

– Nigdy.

– Proszę się nie martwić. Ochronimy was. To się już nie powtórzy.

– Mój wujek pracuje w „Il Gazzettino”, mogę mu o tym opowiedzieć?

– Tylko nie to! Dajmy spokój gazetom i dziennikarzom.

– Ale jak się o tym napisze w „Il Gazzettino”, to może ten drań się przestraszy, poczuje się obserwowany...

– A jeśli on nie czyta „Il Gazzettino”?

– Wszyscy czytają „Il Gazzettino”, bo inaczej skąd by wiedzieli, co się dzieje?

– No tak.

I taki to był tydzień: we wtorek wieczorem jedna mała napaść, w czwartek wieczorem kolejna, taka sama. Prawdopodobnie jakiś przygłup. Jakby się tak zastanowić, to trochę ich na tym świecie zostało.

– Przygłup?

– Przygłup, panie komisarzu – skłamał Stucky, jakby chciał przegnać burzę, której nadejście czuł w powietrzu. Byle nie przyniosła ze sobą gradu. Nie ma nic gorszego niż grad w środku zimy. Poskrobał się po kilkudniowym zaroście.

– Poza tym pańska bratanica, komisarzu, nie przekazała mi żadnych danych, których by się dało uchwycić...

– Bo ich nie miała, Stucky! Nie miała niczego...

– Z całym szacunkiem, panie komisarzu, ale co my wiemy o naszych bliskich?

Zirytowany Leonardi kazał dwóm policjantom dyskretnie

monitorować sklepy w okolicach piazza dei Signori, przekonany, że złoczyńca czeka na swoje ofiary na ulicy pod koniec ich dnia pracy i śledzi je aż do miejsca napaści.

## 3 grudnia

W piątek rano Stucky wyszedł ze swojego wynajętego mieszkania przy vicolo Dotti w odrobinę lepszym nastroju. Powiedzmy, że humor zaczął mu się z wolna podnosić z poziomu ziemi i zaczął oscylować na wysokości kolan. Wydawało mu się nawet, że nieco lepiej widzi, przynajmniej od tego czasu, kiedy musiał mocno zmrużyć oczy, by trafić grudką ziemi w trumnę Martiniego.

Uliczka, bardzo stara, krótka i ślepa, zakończona pięknym murem, stanowiła istny koncentrat wdów i panien, tak gęsty, że inspektor musiał zasłaniać się kłamstwem o swym rychłym ożenku, odkładanym co prawda z miesiąca na miesiąc, by bronić się przed ofensywą dwóch swoich sąsiadek, sióstr całkiem zacnych, gdyby nie ich nadmierne zamięłowanie do białego welonu.

Gdy dotarł do kwestury, czekała na niego niespodzianka: to się stało znowu, tym razem w porze otwarcia sklepów. Kolejna ekspedientka została gwałtownie poszarpana, kiedy schylała się, by podnieść sklepową kratę. Zrobił się mały rwetes, dziewczyna zaczęła krzyczeć wniebogłosy i paru emerytów, kuśtykając i podskakując, ruszyło jej na pomoc. Fizyczna niewydolność zatrzymała ich już po kilku metrach i nie udało im się zobaczyć drania, który rozpląnął się w powietrzu, kiedy oni próbowali złapać oddech. Dziewczyna, jasnowłosa i świeża niczym duńskie ciasteczko maślane, pobiegła zgłosić zdarzenie.

Stucky popatrzył na czekoladkę, którą kobieta położyła na biurku.

– Rzucił tym we mnie – parsknęła blondynka, naśladowując ruch delikatnymi pazurkami polakierowanymi na czarno.

– Widziała go pani?

– Tylko ruch ręki, która czymś rzucała... i dostałam czekoladkę.

– Co to za sklep, w którym pani pracuje, signorina Gentili?

– Szkło domowe.

Uważnie zanotował wszystkie szczegóły, które podała mu kobieta. Pochwałę pitbula należącego do jej chłopaka, który z pewnością by ją obronił, i żal z powodu kozaczków na obcasie, przez które upadła, i to, że czuje się często obserwowana, nawet wtedy, kiedy idzie na pocztę albo do banku, albo do kościoła. Przyglądając mi się, westchnęła, przyciskając dłonie do policzków, jakby kochała je ponad wszystko. Kiedy wyszła, chwycił w palce maleńkie zawiniątko. Słynne czekoladki znane pod marką Baci, czyli Całuski. Cynfolia była urzekająca. Rozwinął ją, myśląc, że nigdy nie dawał w prezencie czekoladek, ani też ich nie dostawał, nigdy nie czuł takiej potrzeby. No, może raz czy drugi czekoladki z rumem z Cuneo, dla ich aromatu i wielkości, dla tej przesady w najczystszej postaci, tak samo jak gianduja ze śmietanką, kupowane na Fondamenta delle Zattere, kiedy mieszkał w Wenecji podczas studiów. Rozpakował Całuska, położył na talerzyku, rozprostował prostokątny kawałek cynfolii i delikatnie położył na nim cienki pasek papieru, na którym wydrukowano krótką sentencję, dołączaną do każdej czekoladki z osobna.

Całuski, którymi sprawca obdarzył zaatakowane ekspedientki, oddał do policyjnego laboratorium, lecz analiza wykazała jedynie, że to zwyczajne czekoladki: kakao, orzechy laskowe, cukier. Wszystko jak trzeba. Nie wierzył, żeby zawierały truciznę, co to, to nie. Gość cię atakuje, wrzuca do kieszeni zatrute *baci* i liczy na to, że ktoś go zje? Chciał po prostu dać jakiś mały bonus chłopakom z laboratorium, niech i oni coś mają ze śledztwa.

Dlaczego czekoladka? Co oznaczała? Stucky odgryzł kawałek. Nic szczególnego, słodka, przyjemna w smaku. To oczywiście nie wystarczyło, by traktować sprawę w kategoriach romantycznych, jakby za atakami stał jakiś amant krótkodystansowiec. Nawet przez chwilę nie pomyślał, że chodzi o miłość czy namiętność.

Ekspedientki, westchnął Stucky, ekspedientki, a chciałby nazywać je cukiereczkami, motylkami, pączkami orchidei. Nieźle cipy, nazwałby je Martini, pozując na wulgarnego. Ale nie można, powiedział sobie, popijając kawę. Nie na głos.

Nie pamiętał innych epizodów napastowania w poprzednich tygodniach. Napady i groźby były specjalnością Martiniego.

W ciągu dwóch dni dostał w spadku po przyjacielu nie tylko tonę żalu i bólu, ale także stertę papierzysk. Poszedł do jego pokoju, wciąż jeszcze pustego, i czując się tak, jakby podnosił kamień nagrobny, zaczął otwierać szuflady. Na grzbiecie pierwszej, wypisane czarnym pisakiem, widniało ulubione motto Martiniego w dialekcie weneckim: *Rivo co rivo ma co rivo rivo*. „Zrozumiem, kiedy zrozumie, ale jak już zrozumie, to naprawdę zrozumie”. W środku znajdowała się żółta teczka z napisem „Ekspedientki”, wypisanym pełnym zawijasów pismem kolegi. Stucky uśmiechnął się do swoich wspomnień.

„Wszyscy profilują kryminalistów, a tu trzeba patrzeć na nich *en face*”.

„Martini, a mnie jak byś sprofilował?”

„Spółka szczęścia i intuicji”.

„Fleming też odkrył penicylinę przez łut szczęścia i nikt nie narzeka. No dobrze, ale więcej szczęścia czy intuicji?”

„Intuicja jest udziałowcem mniejszościowym”.

W teczce nie było wiele: cztery ekspedientki złożyły doniesienie, że odbierały w sklepie groźnie brzmiące telefony.

Zapisał adresy, a następnie uprzedził kobiety telefonicznie, że

nie dzwoni ich prześladowca, lecz kwestura, i że odwiedzi je w niedługim czasie.

Zaczął od sklepu z krawatami przy vicolo Barberia; ekspedientka była młodą kobietą o pełnych wargach, ciemnowłosą i śniadą; wysokie obcasy dodawały jej majestatycznego wyglądu.

– Dopiero teraz przychodzicie? Teraz już nie ma potrzeby! – przywitała go z irytacją w głosie. Wyczuła, że Martini nie potraktował poważnie tych zgłoszeń, przekonany, że potrafi ocenić, które z przykrości należą do przejściowych. Życie pokarało go za tę naiwność.

Tylko krawaty, zapytał zbity z tropu Stucky, a ona w odpowiedzi mruknęła, że akcesoria.

– Jakiego rodzaju?

Paski, rękawiczki, szelki, portfele, ale to prawda, najważniejszym artykułem są krawaty, zwłaszcza klubowe. Klasyczne, dla notariuszy, adwokatów, doradców podatkowych i przedstawicieli handlowych. Tych od hi-fi i tych od zegarków.

– Proszę powiedzieć, co się wydarzyło?

– Cały tydzień telefonów z groźbami.

– Do domu?

– Nie, tu do sklepu. Od poniedziałku do piątku, dwa razy dziennie.

– Który to był tydzień?

– Od poniedziałku dwudziestego drugiego do piątku dwudziestego szóstego listopada.

– Nieprzyzwoite słowa?

– Rzecz gustu...

– A według pani?

– Mówił, że jestem tępa i pusta jak bęben. Niewyraźnie mówił, trochę bełkotliwie. Mówił mi: nie potrafisz się nawet podpisać...

– To obraźliwe. A... prawdziwe groźby?



Kobieta zanurzyła palce lewej dłoni we włosach, odgarniając je do tyłu. Nosiła wspaniałą złoty pierścionek.

– Obrażanie kogoś bez powodu to nie groźba?

– Prawda. Przygotowuję odpowiednie środki bezpieczeństwa.

Umieścimy pani sklep na szczycie listy. Nic się pani nie stanie.

– No pewnie. A póki co przywozi mnie tu i stąd odwozi narzeczony.

– Jesteśmy też my, to znaczy policjanci.

– Ale ja już mam mojego narzeczonego.

– Ach, oczywiście.

– Dzięki temu oszczędzą na nas podatnicy.

– Godne pochwały. A jeśli coś się jeszcze wydarzy, proszę bez wahania zawiadomić kwesturę. To nie obciążą znanego podatnika.

Następny był sklep z perfumami niedaleko katedry. Dziewczyna porządkowała wystawę w witrynie. Długie palce przesuwały opakowania z gracją czapłego dzioba.

– Chciałbym porozmawiać z signoriną Casale.

– To ja. Jeśli to w związku z telefonami...

– Tak, wiem, nie spieszyliśmy się przesadnie. Jestem inspektor Stucky. Stucky przez „ce ka”.

– Stucky? – Kobieta spojrzała na niego zdziwiona.

– Włoch i przyjęty do policji w drodze regulaminowego konkursu. A co do telefonów...

– Tylko jednego dnia odebrałam sześć. Może się to powtórzy i myślę, że będę się musiała przyzwyczaić. Moja matka też tak mówi: przywyknij. Ludzie mają różne problemy w pracy, twoim są telefony. Matka mówi, że jest wiele dziewczyn, do których wydzwaniamy nawet na telefon domowy. Okropni ludzie. Będę musiała się przyzwyczaić...

– Co pani usłyszała przez telefon?

– Bełkotliwy głos. Nie wszystko dało się zrozumieć. Że jestem

głupia, że jestem pusta. Powiedział mi: Idź sobie! Ja zapytałam, a gdzie mam iść?

– A on?

– Idź do diabła, odpowiedział...

– Do diabła?

– I jeszcze dodał: Niewierna. Według mnie to wariat. Myśli pan, że może zrobić coś złego?

Stucky już miał odpowiedzieć, kiedy do sklepu weszła klientka. W jednej chwili zmieniając ton głosu, ekspedientka zapytała: Czym mogę pani służyć? Kobieta szukała nowego zapachu, zastanawiała się, mam jakąś ideę, ale nie potrafię jej ująć słowami, zapach ma mnie zaskoczyć, rozumie pani, o co mi chodzi? Jak wtedy, kiedy szukasz... nie wiem...

– Jak wtedy, kiedy się szuka adoratora, a on nagle wychodzi zza rogu.

– O właśnie.

– Ten zapach będzie doskonały. – Rozpyliła jej mały obłok na wewnętrznej stronie nadgarstka i delikatnie rozproszyla kciukiem. Cytrusy, powiedziała kobieta, powąchawszy.

– Proszę jeszcze raz powąchać.

– Cytrusy, ale zapach się jakby oddala...

– Tak samo jak adorator. Pojawia się, zaskakuje i już jest daleko. Proszę mi wierzyć, są najlepsze.

– Zapach cytrusów prawie całkiem znikł, rzeczywiście. Teraz coś jak piżmo, ale delikatne, i... wanilia?

– Podoba się pani?

Ze swojego miejsca w kącie Stucky patrzył, jak dziewczyna się uśmiecha, uprzejmie rozmawia, troskliwie i sprawnie pakuje zakupione perfumy, zamienia jeszcze kilka słów z klientką i w końcu się z nią żegna.

– Nie zrobią pani nic złego, signorina Casale. Może pani być

spokojna. À propos, kiedy zaczęły się telefony?

– To chyba było... piętnastego albo szesnastego listopada.

Stucky ruszył dalej wzdłuż via Campana. Teraz patrzył na witryny z obcym mu dotychczas zainteresowaniem. To był cały świat. Dla niego w większej części nieznanymi. Czy był jakiś sens w rozmieszczeniu tych sklepów? Papierniczy, lodziarnia, koszule, lampy, perły i złoto – i to wszystko w przypadkowym porządku?

Trzecim sklepem była narożna trafika z elegancką wystawą fajek i tytoni.

– Pani Verzieri? – zapytał kobietę stojącą nieruchomo za kontuarem i w tej samej chwili jego wzrok padł na godło wyryte w drewnie: „Tytoń Verzieri, od 1928 roku”.

– Czym mogę służyć? – odparła kobieta, wpatrując się w mankiety jego płaszcza i na krótką chwilę błyskając złotą muszlą kolczyka w uchu.

– Jest pani żoną właściciela?

– Właścicielką. On był zwyczajnym przedstawicielem i wciąż wierzy, że może być przedstawicielem czego tylko zechce na całym świecie.

– Ja w związku z telefonami. Jestem inspektor Stucky.

– Austriak?

– Nie, proszę pani, Włoch.

– Jak już panu powiedziałam przez telefon, nic szczególnego.

Dwa albo trzy razy w ciągu dnia, a potem już nic.

– Pamięta pani dzień?

– Trzynastego listopada, w sobotę.

– Co pani powiedziano?

– Żebym się wstydziła...

– Że jest pani ekspedientką?

– Ja?

– Ach, w rzeczy samej. Pani jest przecież właścicielką.

– Tak jak moja babka i moja matka. Od tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego.

Sklep z bielizną, w którym pracowała czwarta ekspedientka, był wciśnięty pomiędzy bank i księgarnię.

Przyglądając się witrynie, Stucky oszacował, że w sklepie nie może się znajdować więcej niż kilka kilogramów towaru. Jedną z najłżejszych działalności w mieście.

Signorina Bergamin, jak przedstawiła się dziewczyna, była wspaniałą przedstawicielką swojej kategorii: ciemnowłosą, magnetyczną, prostą jak słupek kwiatu lilii. Koordynowała spojrzeniem mały oddział dziewcząt, które zamieniały anatomiczne proporcje w rozmiary, rozdając uśmiechy i zachwyty – oczywiście, fantastycznie, czarująco, pięknie – podczas gdy niebiański orszak dam poruszał biustonoszami w kolorach malwowym, łososiowym i kwiatu truskawki.

– A więc otrzymała pani nieprzyjemne telefony, w których ktoś wypowiadał pod pani adresem niepocholebne słowa.

– Dostyc niepocholebne. – Mówiąc to, podniosła jednocześnie cieniutkie koronkowe stringi, które niemal zawisły w powietrzu.

– Obrażono panią?

– Usłyszałam męski głos, który powiedział mi, że mam się wstydić i że zostanę ukarana...

– Ukarana? Powiedział wprost, że będzie pani ukarana?

– Dokładnie tak powiedział.

– A jak pani zinterpretowała te słowa? Jako groźby?

Kobieta powolnymi ruchami rozciągała podwiązkę.

– Tak, groźby.

– Jest jakiś powód, z którego mieliby pani grozić?

– Nie wydaje mi się...

– Kiedy to się stało?

– W zeszłą sobotę.

– I natychmiast zawiadomiła pani policję?

– Zatelefonowałam od razu. Lepiej zachowywać ostrożność.

Wracając do kwestury, Stucky zaczął porządkować w głowie informacje, które uzyskał, i wbrew własnym chęciom zaczął traktować sprawę poważnie. Od telefonów do aktów agresji, sprawa się rozwijała. Martini się odmeldował w samą porę. Żadne tam „Zrozumiem, kiedy zrozumiem, ale jak już zrozumiem, to zrozumiem”.

Na schodkach piazza dei Signori Stucky zobaczył Checa Malagę, jak nazywała jegomościa większość ludzi, choć inspektor doskonale znał jego prawdziwe imię i nazwisko oraz przynależność do rodu najbardziej renomowanych cukierników w mieście. Ubranie pachniało mu jeszcze masłem i mlekiem, aromatami do ciasta, rumem i migdałami. Mężczyzna zebrał dla przyjemności, porządnie ubrany i ogolony, z długimi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu i w ciemnych okularach kryjących ślepotę, którą spowodował zbyt szybki motocykl marki Gucci przy wejściu w zakręt drogi prowadzącej między łagodnymi wzgórzami w okolicach Asolo. Zebrał tak, jak bogatemu przystoi, z białym kotem o błękitnych oczach na smyczy i małym Alim, Tunezyjczykiem z urodzenia i żebrakiem z zawodu, który trzymał zamiast niego kapelusz na datki, uśmiechając się bez cienia pretensji do przyspieszających kroku przechodniów. Stucky rzucił drobną monetę chłopakowi i przywitał się z Chekiem Malagą, który z serdecznością odwzajemnił powitanie, poznając policjanta po głosie.

– Jak się pan miewa, inspektorze?

– Nie narzekam.

– W samej rzeczy nie słyszałem.

– Jak pan sądzi, spokój w mieście?

– Miasto szykuje się do świąt.

Święta! Oto powód krzątania, którą w roztargnieniu wyczuwał przez ostatnie dni, przyczyna świecących girland w uliczkach i lampionów, uzasadnienie tłoku przed sklepowymi witrynami aż do późnego wieczoru: święta Bożego Narodzenia. I ekspedientki. Żeby to tylko nie miało ze sobą związku! Nie powinno mieć, powtarzał sobie w myślach, gdy przekraczał z powrotem bramę kwestury. Część popołudnia poświęcił na sprawdzenie właścicieli sklepów, do których dzwoniono z pogrózkami. Wszystko to były przejawy nienaganej działalności gospodarczej, elementy zróżnicowanych inwestycji: właściciele posiadali butiki oraz wakacyjne apartamenty nad morzem i w górach, gospodarstwa rolne i udziały w przemyśle włókienniczym. Stara handlowa burżuazja tego miasta, bogata i roztargniona, z dziećmi w liceach o profilu klasycznym albo prywatnych szkołach z internatem, rozsianych po okolicznych wzgórzach; zapewne na początku działalności, albo do czasu przyjścia na świat pierwszego dziecka, klientelą zajmowały się żony właścicieli, a później, wzięwszy na siebie ciężar wykarmienia spadkobierców, wciągnęły na listę płac młodą dziewczynę i przekazały jej obowiązki, nazywając ją, nie bez pewnej wyniosłości, ekspedientką.

Jednak pani Verzieri nie była ekspedientką. Błąd?

Musiał zwracać uwagę na właścicieli. Zacząć od nich. Musiał stawać przed witryną, wchodzić i wychodzić, udając zainteresowanie jakąś błyskotką, szalikiem czy płynem po goleniu. Właściciele, nawet jeśli nosili zwyczajny fartuch, jak u optyka, dawali się poznać od razu. Ojcowskie i opiekuńcze spojrzenie na przedmioty stojące w sklepie, pewien rodzaj prawdziwej fizycznej więzi, poczucia bliskości. Zнали zresztą część procesu ich materializacji, pochodzenie, sposób transportu i zapłaty, znali ich prawdziwą cenę, czas ekonomicznego trwania. Wiedzieli, jak się ich pozbyć na koniec cyklu ich życia, gdzie je



wysłać, jeśli by nikt ich sobie nie wybrał.

Przez witrynę obserwował księgarza, suchego, kościstego pana, który delikatnie i ze znanstwem gładził okładki książek; przyglądał się właścicielowi sklepu tekstylnego, który zdawał się głęboko wdychać zapach barwników, wciągać w nozdrza drobinki bawełnianego pyłu unoszącego się nad każdą rozwiniętą belą materiału.

Wszedł do sklepu odzieżowego z witryną w ramie z ciemnego drewna. Ona była ptakiem pyszniącym się krzykliwymi kolorami, także w tym, co odnosiło się do makijażu, a on stał w jej cieniu, w niebieskim swetrze, szarych spodniach i spuchniętym od niepamiętnych czasów okiem. Ona pokazała Stucky'emu kaszmirowy sweter, potrząsając złotem na nadgarstkach, jakby chciała roztoczyć dookoła aureę uwodzicielskiej harmonii. Inspektor nieśmiało dotknął swetra sztywną dłonią, doświadczając jego miękkości i delikatnego błękitu niczym wiosenna procesja. Jej mąż się nie odzywał, przyzwyczajony sprawdzać faktury i pozwalać swojej kusicielskiej połowicy usidlać klientów.

– Kaszmir jest piękny – westchnął Stucky.

– Wytworny – powiedziała.

– Słyszała pani o zaczepianiu ekspedientek?

– Nigdy nie chciałam mieć ekspedientek.

– Dlaczego?

– Zależy mi na moich rzeczach, prawda, Franco?

Mężczyzna przekartkował w myślach jakiś tuzin faktur, zanim kiwnął głową.

Piękny świat, pomyślał inspektor, wchodząc w jakiś zaułek. Większa część pracy fabryk i rzemieślników, hałas hangarów, nieprzerwany ruch ciężarówek dostawczych i ludzi dojeżdżających do pracy, stukot maszyn i krosien, dym z kominów i etykiety

opakowań, cały ten frenetyczny strumień łagodnieje i zwalnia za oświetlonymi witrynami. Uniwersum wystawionych artykułów, świadomie porozmieszczanych z myślą o przyciągnięciu uwagi roztargnionych przechodniów. A tam, za tymi lśniącoymi szklanymi taflami, ginie pamięć całego procesu, jego niedoskonałości, odpadów, wysiłku, jaki mu towarzyszy. Tam wszystko staje się magicznie nęcące.

Wrócił do biura i został w nim, dopóki nie zapadł zmrok. Zimą noc zapadała prędko, poprzedzona szarością mgły, gęstniejącej wraz ze spadkiem temperatury i przynoszącej wilgotny chłód, którego nie lubił.

Zszedł w stronę piazza Borsa, a potem ruszył wzdłuż rzeki, aż dotarł na wysokość dawnych koszar, tam gdzie bieg wody się rozszerzał i gdzie od wiosny do jesieni chodził popatrzeć na wędkarzy, którzy łowili na muchę, zarzucając przynętę eleganckim, szerokim i płynnym ruchem. Prawdę mówiąc, Treviso podobało mu się najbardziej w ciepłych, ale nie upalnych miesiącach roku: w maju, wrześniu i październiku. Swoją urok miały też chłodniejsze dni czerwca. Jasne poranki spędzane przy stoliku na piazza dei Signori na obserwowaniu, jak powoli rozpędza się życie miasta, były niczym pomyślna wróżba.

Przez dłuższą chwilę stał na moście, opierając się o jego kamienną balustradę. Potem nagle postanowił wrócić do centrum, gdzie pracowała signorina Gentili, pierwsza, która została zaatakowana pod samym sklepem. Zaraz potem przeniósł się szybkim krokiem do sklepu, w którym pracowała signorina Bergamin, ostatnia z dziewcząt obrzuconych inwektywami przez telefon. Prawdopodobnie facet, któremu nadał przydomek Klema, jak nazywał każdego tropionego przez siebie złoczyńcę, uważnie przeanalizował drogę ucieczki. Sklepów nadających się do tej gierki nie mogło być wiele. Na początek dyskretna obserwacja

i kto wie, może sprawa rozwiąże się sama.

– Dobry wieczór, *dada*.

Wuj Cyrus stał pośrodku sklepu. Rozpostarł ramiona, jakby chciał ogarnąć nimi swoje dywany.

– *Szirini?*

– Coś słodkiego? Chętnie.

– *Zulbiję<sup>7</sup>?*

Patrzył, jak mężczyzna wyciąga z pudełka słodycze powykręcane niczym koronki. Usiadł na stosie dywanów, kochał ich konsystencję, barwy, a nawet zapach. Miałby ochotę się na nich wyciągnąć.

Wuj Cyrus nalał herbaty do szklaneczek zwanych *kamarbarik*, powstrzymując się od wszelkiej niepożądaney ciekawości. Zaczął opowiadać siostrzeńcowi o tych szklaneczkach, zwężających się w środku i ponownie rozszerzających u góry, przypominających kobiece kształty i tak uformowanych, by schłodzić herbatę przy brzegu, a trzymać ją w ciepłe przy dnie. Każda dobrze zrobiona rzecz jest przemyślana, powiedział.

Wiedząc, do czego zmierza, Stucky pozwolił, by wymusnęło mu się:

– Mam mały problem.

– Są takie dni, kiedy nawet niedźwiedzi włos jest podarunkiem.

*Doktor Kuto Tarfusser patrzył, jak młody człowiek sadowi się na kozetce. Próbował wyciągnąć z klienta, dlaczego spośród tylu psychoterapeutów działających w mieście wybrał właśnie jego, ale nie dostał odpowiedzi. Fakt, to nie było dobre pytanie, na szczęście przeszło bez echa. Klient wolał zająć się badaniem obicia kozetki, sprawdzeniem oparcia i zakładaniem nogi na nogę, prawej na lewą i lewej na prawą, nie mogąc się zdecydować, która pozycja będzie wygodniejsza. Tarfusser włączył magnetofon i usiadł przy*

*swoim stoliku, otwierając notatnik.*

*Westchnął. Rodzina ostrzegąta go: Skończysz na równinie, otoczony ludźmi Piawy<sup>8</sup>, ale co on mógł wiedzieć o równinie, wilgotnym powietrzu i gęstym zaludnieniu.*

*Rodzice i rodzeństwo szybko pojęli, że gdy tylko skończy liceum, nie pozostanie w rodzinnej zagrodzie, ani nawet w Bolzano. Rok fizyki na uniwersytecie w Trieście, potem rok w Udine, na wydziale rolniczym, zrozumieli, że instynktownie migrował, podążając wzdłuż linii spadku wielkich rzek biegnących do morza, od Soczy po Tagliamento.*

*Migrował z miłości, ponieważ kochał góry i kochał morze, miłością podwójną, taką, która potrafi rozszarpać. Uciekał, jak twierdził dziadek, od siana, astmy i kiszzonej kapusty. Uciekał, aż zatrzymał się na psychologii w Padwie. Może psychologia jeszcze nie umarła, myślał.*

*– Może pan zacząć, panie...*

*Niech mnie pan nazywa Bizantin Dal Lago, syn świętej pamięci Bernarda, który pewnego dnia znikł, a przynajmniej tak uwierzyliśmy w rodzinie, to znaczy ja, mama Elisabetta, babcia Maria, mój brat Gino i najmłodsza siostra Antonietta. Prawdę mówiąc, powinniśmy się byli naprawdę zaniepokoić, bo wraz z ojcem znikła także wywrotka do przewożenia żwiru. Tylko że tato od czasu do czasu robił coś takiego, to znaczy znikał z domu na kilka dni, i nikt się tym nigdy nie zamartwiał, taki już był z natury, dwa albo trzy dni na Istrii, w Rovinju, i pięknie wypoczęty wracał do naszej żwirowni. Ale siedem dni to już było coś dziwnego i nigdy dotąd się nie zdarzyło, poza tym tato nigdy by nie pojechał wywrotką w dłuższą podróż, ryzykując jakiś wypadek, zbyt był do niej przywiązany.*

*Pierwsza zorientowała się Antonietta. Dla zabawy jeździła rowerem do żwirowni, kiedy my z tatą kursowaliśmy w tę*

*i z powrotem ciężarówkami pełnymi żwiru, a mama pracowała przy czerpaku. Może z roweru lepiej widać różne rzeczy, powolna jazda ma swoje zalety, faktem jest, że to ona zobaczyła ślady, dwa równoległe ślady, które od drogi prowadziły w dół, prosto w wyrobisko, w trzydziestometrową dziurę pełną wody.*

*I tak zaczęliśmy się domyślać, co się naprawdę stało. Mój brat Gino powiedział: „Tu by się przydała łódź podwodna pana Cousteau”. Nurkowie odnaleźli tatę na dnie wyrobiska, wciąż siedzącego za kierownicą ciężarówki niczym kapitan żaglowca, wyprostowany i dumny, a nam wydało się, że widzimy go, jak kręci kierownicą w chwili, kiedy koła zaczęły tracić przyczepność, a mama powiedziała: „Kto wie, ile herezji mu się wysnęło po drodze, pewnie strasznie bluźnił, kiedy leciał w dół, i martwił się tylko tym, że żwir mu się rozsypie”. Wyciągnięcie ciężarówki kosztowało nas wiele zachodu. Próbowaliśmy osuszyć wyrobisko, ale kiedy wypompowywałeś wodę, to nowa pojawiała ci się od spodu, wyjaśnili nam, że to są wody gruntowe, warstwa wodonośna, która znalazła okazję, żeby wypłynąć na zewnątrz, więc ja i Gino poszliśmy do zarządu gospodarki wodnej, żeby zapytać, czy można coś zrobić, żeby przekierować tę warstwę, bo zagraża naszej własności.*

*Pan wie, doktorze, jakie surowe jest prawo, nic nie wskóraliśmy. I tak przez trzy lata ciężarówka tkwiła pod wodą. Potem warstwa wodonośna sama z siebie popłynęła w inne miejsce i ślad po niej zaginął. Woda opadła, pokazała się ciężarówka, ale został z niej tylko kawał złomu pełen błota. Nie było nawet co myśleć o wyciąganiu jej i naprawianiu, licząc na to, że Antonietta robi prawo jazdy. Na dnie była jeszcze stara pralka Trevisanów, pojemniki z resztkami tynku wyrzucone przez Visentinów, którzy wymalowali sobie dom na obrzydliwą kanarkową żółć. Orasz stoiki, gruz, drzwi i armatura łazienkowa.*

*Od patrzenia na wyrobisko pozbawione wody ogarnęło nas poczucie beznadziei. To już nie było to samo. Kiedy się wychodziło z domu i szło na cały dzień pracować wokół jeziora, wśród drzew, które wyrosły wzdłuż jego brzegu, to było coś przyjemnego, zieleń, kontakt z naturą...*

*Nie mówię za szybko?*

*– Nie, w porządku.*

*Tak bardzo upadliśmy na duchu, że Gino zadeklarował, że chce zrobić prawo jazdy na ciężarówkę. Babci zrobili tracheotomię, a mama zapadła na depresję. Antonietta postanowiła zanurzyć się w świat kultury i zapisała się do studium hotelarskiego.*

*Ja zaś powziąłem decyzję, która zmieniła moje życie: przekształciłem żwirownię w składowisko odpadów. Piękny skok wzwyż, większy biznes.*

*Pan pewnie wie, że jest wiele rodzajów składowisk, prawda? Nie wszystkie są takie same. Prawo starało się wprowadzić dyscyplinę także do tej materii, chociaż siła doświadczenia każe mi nadmienić, że najpierw wyrzucało się wszystko razem, tymczasem teraz trzeba się uporać z całą masą problemów, by uzyskać ten sam rezultat. Ale mniejsza z tym.*

*Są składowiska, gdzie wyrzuca się odpady szkodliwe i toksyczne. Z tymi nigdy nie miałem do czynienia. Są takie, gdzie składowiesz stałe odpady miejskie, które są najgorsze, choć najbardziej dochodowe. Są wreszcie takie, gdzie się składowuje śmieci nietoksyczne i nieszkodliwe, bierne resztki po produkcji przemysłowej.*

*Dzięki Bogu, prawo jest złożone ze słów, a słowa są kopalnią znaczeń, tak samo jak wysypiska. Doskonale do siebie pasują.*

*Pewnego ranka wstałem, poszedłem do wyrobiska, popatrzyłem na nie i powiedziałem: „Zrobię z ciebie olbrzymie wysypisko śmieci”, i nic kompletnie nie wiedziałem o rodzajach składowisk*



*i obowiązującym prawie. Miałem dziurę w ziemi, a dziury, chwala Bogu, odkąd świat światem, należy zapęłniać, łatanie dziur to sztuka! Co oczywiście nie oznacza, że nie zasięgnąłem fachowej informacji. Człowiek fachu się uczy, a nie improwizuje.*

*Było w okolicy kilku drobnych przedsiębiorców, którzy nabyli sporego doświadczenia w branży śmieciowej, choć jeszcze w latach tłustych, kiedy nikt człowieka nie pytał, co tam zakopał pod ziemią. Kiedyś panowała większa świadomość społecznej wartości tej profesji i pozwalano ją uprawiać bez niepotrzebnego czepialstwa.*

*Pierwszy z dwóch dorobił się porszaka, grał w pokera od rana do wieczora i twierdził, że pogrzebał tyle syfu z fabryk, że powinni dać mu za to medal. Tam, gdzie zakopał materiały, posadził również topole, które błyskawicznie urosły, i bardzo był dumny z tego wkładu do ochrony środowiska. Mawiał, że zrobił wszystko porządnie i jak trzeba, beczki z jednej strony, a materiał płynny zgodnie z zasadami sztuki w rowach. Wszystko pięknie jak na cmentarzu.*

*Ten drugi nazywał się Giaretta, był nieco starszy i jeździł wiekowym mercedesem w towarzystwie Somalijki, kochanki i pomocy domowej w jednym. Miał niezłą willę, nawet za dużą jak na dwoje mieszkańców, żelazną bramę, której nie powstydzilby się średniej wielkości zamek, i domofon z kamerą, pod którym musiałeś odstać swoje i czuleś, że ktoś cię obserwuje, może to była ta Somalijka, która nie rozumiała ani dudu po włosku, a potem pytała cię o coś i znowu musiałeś odstać pod bramą dwadzieścia minut albo więcej. Ale to był inteligentny mężczyzna i podejmował się bardzo różnorodnych zadań, i zdobył wielkie doświadczenie w sektorze. Przez lata grzebał kurczaki, które ginęły na fermach, szybko i sprawnie, na polu lucerny. Poza tym utylizował popiół pozostały po spalaniu różnych rzeczy, przemysłowe ilości, trochę*

w ziemię, trochę do wody, a trochę w powietrze, bo przecież „prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Doprowadzał mnie do szaleństwa, kiedy o tym opowiadał.

Najwięcej z siebie dawał przy odpadach z pralni. Czego by się nie zrobiło dla odplamienia ulubionej marynarki! A co z sosem na krawacie? Z kroplą oliwy na spodniach? Z potem, tłuszczem i całym fizjologicznym świństwem? Trzeba je wyczyścić, a do czyszczenia potrzeba pewnych substancji, nie pamiętam, jak się nazywały, ale pan Giaretta mógł je wymieniać z pamięci, wraz z reakcjami, w jakie wchodziły, i założył firmę, która oficjalnie uchodziła za pralnię chemiczną, zbierał całą tę niestawną breję i tak robił, że znikala. W rowach, jak mi się wydaje. W tych stronach jest pełno rowów. Wszędzie tu pełno wody. Albo dlatego, że są warstwy wodonośne, albo dlatego, że zmeliorowali mokradła.

Woda to wszystko zabiera. O ile wiem, woda to rozpuszczalnik. Rozpuszcza. Przez dwa lata, kiedy uczyłem się techniki przemysłowej, nasz profesor chemii powtarzał, że woda jest wspaniałym rozpuszczalnikiem, i niech mi kto powie, że wykładowca chemii myli się w tak ważnej sprawie! Giaretta może i nie miał dyplomu z chemii, działał intuicyjnie, ale miał wielką biznesową intuicję, tyle akurat, ile wystarczyło do zbudowania willi, kupienia paru mieszkań pod wynajem i spokojnego życia z Somalijką u boku. Dobre życie za solidną pracę.

„Max, trochę tu i trochę tam. Sprawiedliwość rozdzielcza. Żadnej wielkiej koncentracji. Bierzesz w dzierżawę jedno pole dziś, a drugie jutro. Ile dostajesz z hektara kukurydzy? A z odpadków? Pomnóż to przez dwa albo trzy. Ja jestem anarchistą odpadów”.

Nie do końca rozumiałem, co miał na myśli. Anarchista odpadów. Co to, u diabła, jest?

– Max? Max to pan?

Mam na imię Bizantin...

*– Pseudonim artystyczny...*

*– I to w nie było jakiej dziedzinie, panie doktorze!*

## 6 grudnia

W poniedziałek wcześnie rano zadzwonił do niego *dai* Cyrus, niezadowolony z tego, co dzieje się w sklepie za ścianą, noszącym nazwę „Uniwersytet Papug”.

- On je napastuje.
- *Dada*, co to znaczy, że napastuje papugi?
- Krzyczy na nie, jeśli trzepią skrzydłami.
- Postaram się coś z tym zrobić.

Na biurku znalazł zgłoszenie signoriny Callegari. Kiedy w sobotę zamykała sklep, została silnie przez kogoś popchnięta. Biedaczka straciła równowagę i przy upadku nieprzyjemnie otarła sobie lewą dłoń. Na pogotowiu młoda kobieta rozpętała piekło, jakiś doktor powiadomił prasę i wiadomość pojawiła się w dziale wydarzeń lokalnych.

„Napaść na ekspedientkę”.

*Antimama...*

Policjant, który przyjmował zgłoszenie kobiety, do torebki na dowody włożył karteczkę z mottem z czekoladki. Klema zostawił swój zwyczajowy podarunek, ale tym razem czekoladka była częściowo rozwinięta i karteczka wypadła na ziemię. Ostrożnie otworzył: „Miłość jest z bogów najstarsza i najczcigodniejsza”. Platon.

Podniósł słuchawkę, zadzwonił do redakcji „Il Gazzettino” i poprosił dziennikarza, który napisał notatkę na temat napaści.

- Jestem inspektor Stucky.
- Tu Alessi, panie inspektorze.
- Rozmawiał pan z zaatakowaną dziewczyną?
- Policja się tym zajmuje?
- Zwykła rutyna, jak zawsze po zgłoszeniu napaści. Co panu powiedziała dziewczyna?
- Niestety nic szczególnego. Nic nie widziała...
- Ja również ją odwiedzę.
- Panie inspektorze, ale to wygląda na coś większego... Powiedziano mi o innych atakach. Telefonuję do różnych sklepów. To raczej poważna sprawa. Nie sądzi pan?
- Nic nie mogę powiedzieć.
- A więc to prawda... Jedna z zaatakowanych, signorina Mazzotti, to moja siostrzenica, w tajemnicy opowiedziała mi także o czekoladce...
- Panie Alessi, niech panu nawet nie przyjdzie do głowy pisać w gazecie o czekoladce!
- Mogę się z panem umówić na rozmowę?
- Jestem teraz bardzo zajęty.

Nieprzyjemne uczucie ścisnęło go w żołądku. Nie wyglądało na to, by ta sprawa rozwiązała się sama.

Poprzedniego dnia, w niedzielę, udał się na targ staroci. Ekspozycja cennych drobiazgów mieściła się w przyjemnym wnętrzu zadbanego półkolistego budynku gospodarczego z arkadami, zwanego w tych stronach *barchessa*. Choć dzień był szary i padał raz drobny, a raz zacinający deszcz, inspektor dał się zauroczyć przedmiotom wystawionym na stoiskach, drobnej biżuterii, blaszanym zabawkom, młynkom do kawy, kolorowym szkłom sprzed półwiecza i książkom – niektóre z nich były cenne – pamiątkom wojennym, medalom i fotografiom. Był tam gramofon, taki, jaki pamiętał ze starych filmów. Były kredensy, stoły, fotele

i jego ukochane krzesła, arcydzieła giętego drewna, kupiłby jedno z 1887 roku, gdyby nie cena.

Obiad zjadł w osterii za rogiem. Piękne belki sufitowe i jazz, jedzenie – niebo w gębie. Byli tam ci wszyscy rupiecie, ludzie z fantazją i pewną ekstrawagancją, przysadziste kobiety i nie do końca zwyczajni mężczyźni, po ich rozmowach, w grupie i w parach, dało się wyczuć swoistą mądrość i miłość do własnej profesji, jakiś rodzaj handlowego ezoteryzmu, z pewnością nie mogliby sprzedawać serów.

To był miły dzień, pogratulował sobie wyboru. A teraz obowiązki. Zaopatrzył się w mapę centrum z zaznaczonymi miejscami, gdzie prowadzono działalność handlową, i dzierżąc ją w dłoni, udał się do sklepu, w którym pracowała signorina Callegari, ostatnia z zaatakowanych ekspedientek.

Był to salon optyka. Przystanął, by spojrzeć na wystawę, udekorowaną czerwoną gazą i sztucznym śniegiem. Okulary, mimo ich pokutnej roli, miały swój urok. Jedne krzykliwe, inne afektowane albo nudne. Niebieskie. Cudowna para niebieskich. Patrząc przez witrynę, dostrzegł, że w sklepie znajdowały się jeszcze dwie inne ekspedientki.

– Czy to signorina Callegari zamykała sklep wieczorem?

– Tak, to jej obowiązek, ona jest zaufaną właściciela – odpowiedziała brunetka.

– Zaufaną! – zaśmiała się złośliwie druga, trzymając ręce w kieszeniach.

– Nie wiem, czy jest sens o to pytać, ale może wiecie: dostawała pogróżki? Zdarzyły się epizody napastowania?

– Nie... nigdy nic nam nie powiedziała.

– A wobec was?

– Nie, też nie...

– Mogłybyście mi pokazać, jak się zamyka sklep?

– Teraz? – zapytała jedna z nich.

– Jeśli to nie jest zbyt skomplikowane...

Ta druga wzięła klucze, Stucky wyszedł z nią na zewnątrz. Dziewczyna z pewną dozą zakłopotania zamknęła drzwi i uwiesiła się na kracie, z wyraźnym wysiłkiem ciągnąc ją w dół.

– Proszę się na chwilę zatrzymać – poprosił ją inspektor.

Spojrzał na okazały zamek na dole kraty. Wyobraził sobie atletyczne skoki łobuza zbliżającego się, by zaatakować ekspedientkę schyloną przy zamku i zniknąć w jednej chwili.

Sprawny i uważny typ. I doskonale obeznany z lokalizacją sklepów. Inspektor podniósł oczy ku górze, patrząc na strugi padającego deszczu. Poprosił ekspedientkę, by została jeszcze chwilę w takiej pozycji, jakby zamykała kratę, i przeniósł się na róg budynku. Stał przy murze i natychmiast ruszył biegiem ze swojego miejsca, w kilka sekund znalazł się obok dziewczyny, która popatrzyła na niego okrągłymi z przestachu oczami. Jakiś przechodzień zauważył tę scenę, przechodząc szybko na drugą stronę ulicy. Stucky skoczył do tyłu, wracając za róg. Wszystko trwało parę sekund.

Zapisał nazwiska obu ekspedientek, obiecał odpowiednią ochronę i pożegnał się, dodając grzecznościowe „Nie martwcie się”. Wyobraził sobie, że podąża trasą ucieczki delikwenta. Przeszedł po kładce, obok której nieprzerwanie obracało się koło wodne, pozostałość po starym młynie. Otoczona pełną wirów wodą wysepka była niemal zupełnie pusta i Stucky uświadomił sobie, że znajduje się w jednym z tych zakamarków Treviso, które lubił najbardziej. Przeszedł po żelaznym moście i skręciwszy w lewo, dotarł do kolejnego, Ponte della Fontana Gajarda, zwanego dawniej Ponte di San Parisio od nazwy ulicy, do której prowadzi. Napastnik pewnie zgubił się znacznie wcześniej, pomyślał. Nie ma sensu zgadywać, którądy poszedł. Wróciwszy tą samą drogą, na

drugim brzegu Cagnan stanął jak urzeczony przed Casa del Bacçalà. W witrynie sklepu pysznił się wspaniałe dorsz, suszony w całości razem z głową i wyszczerzonymi zębami, wyglądający jak starożytna skamielina. To było wspaniałe miejsce najlepszych smaków, stymulator dobrego humoru. Wystarczyło popatrzeć na kosze suszonych borowików – lekki przeciąg wyprowadzał ich zapach na zewnątrz – i stopy domowego makaronu, opakowania radicchio w oleju, warkocze czerwonej papryczki, małe wędliny przypominające szyszki wysokogórskiej sosny, plastry grubej pomarańczowej dyni, piramidy z nugatów, kosze orzechów wielkich jak piąstki dziecka, wszystko pozornie porzucane bez ładu i składu, jak na bazarze, by zachwycić wyobraźnię wspaniałą miksturą smaków i konsystencji, które spotkają się w żołądku – myśl o tej poetycznej operacji podnosiła go na duchu. Pozdrowił właściciela, który zanurzał szerokie ostrze w bryłę długo dojrzewającego alpejskiego sera. Martwiła go sprawa ekspedientek, ot co.

Signorina Callegari mieszkała na pierwszym piętrze kamienicy zaraz na początku Terraglio, wiecznie zakorkowanej drogi prowadzącej w kierunku Wenecji. Stucky zastał jej matkę na odświeżaniu drzwi pastą do drewna. Zanim go wpuściła, porządnie przetarła brzegi. Córka miała na sobie błękitną pizamę, która nie potrafiła odebrać zmysłowości jej ciała. Siedząc na kuchennym krześle, dokładnie zlustrowała Stucky'ego, uśmiechając się doń radośnie. Matka poszła do drugiego pokoju, żeby pogłośnić telewizor, a potem zamknęła drzwi.

– Wie pan, to dlatego, żeby dziadkowie tu nie wpadli, jak usłyszą obcy głos – wyjaśniła Callegari, jak się okazało, niezwykle wymowna blondynka. Poruszające się szybko mięsiste wargi hipnotyzowały niczym odległa i zakazana plaża. Opowiedziała inspektorowi wiele szczegółów dotyczących jej codziennego życia,



wszystkie doskonale bezużyteczne dla śledztwa, i wyśpiewała pieśń pochwalną na cześć właściciela zakładu optycznego, pana o nazwisku Sartor Alflevio, który rozpoczął tę działalność, nie mając za sobą żadnych studiów.

– Choć później zdobył tytuły, jakie trzeba. We wszystkie weekendy jeździł do Padwy, Werony czy Mediolanu, żeby się doksztalać.

Ma ścianę pełną dyplomów, ani jednego obrazka, ani jednego zdjęcia rodzinnego, a to bardzo piękna rodzina, mówiła kobieta, opisując żonę i dwie córki, aż Stucky z najwyższą trudnością wszedł jej w słowo i zapytał:

– I nie widziała pani żadnego szczegółu u napastnika?

– Nic. Z wyjątkiem butów, kiedy upadałam.

– Butów? Rozumiem...

– Sportowe, białe z czerwonym. Małe.

– Jakie małe?

– Rozmiar poniżej czterdziestki.

– Poniżej czterdziestki?

– Trzydzieści osiem albo trzydzieści dziewięć.

– Skąd pani to wie? Zna się pani nie tylko na okularach, ale i na butach?

– Kiedy zaczęłam pracować jako ekspedientka, trzy lata spędziłam w sklepie sportowym. Przede wszystkim tenis, to było jeszcze, zanim ludzie powariowali na punkcie squasha. Wie pan, pewne doświadczenie antropometryczne jest nieodzowne w tym fachu.

– A marka butów?

– Niemal na pewno Adidas.

– Niemal?

– Teraz wszyscy kopiują jedni od drugich. Poza tym już od pięciu lat zajmuję się soczewkami, a trendy zmieniają się bardzo

szybko, na pewno nie czekają, aż dotrzymam kroku zmianom.

– Trendy... no tak, rozumiem – mruknął inspektor.

W drodze do kwestury usłyszał, że ktoś go woła. Elegancko ubrany mężczyzna dał mu znak, by poczekał.

– Jestem Alessi z „Il Gazzettino”. Co się dzieje ze sprawą ekspedientek?

– Organizujemy odpowiednią ochronę. Liczymy na to, że uda się zapobiec kolejnym incydentom – odpowiedział inspektor, wiedząc, że kłamie.

– Sądzi pan, że tu chodzi o kogoś nie zrównoważonego?

– Nie możemy tego jednoznacznie potwierdzić.

– A to możliwe? Nie myśli pan chyba, że to projekt trzeźwego umysłu? Wszystko wskazywałoby na rodzaj paranoidalnego prześladowania. Ja tu wyczuwam wiele agresji, destrukcyjną energię...

– Panie Alessi, spokojnie. Rozumiem, że musi pan podkoloryzować historię. Ale do faktów trzeba podchodzić z najwyższym stopniem racjonalności.

Szli wzdłuż via Calmaggiore, a kiedy natrafili na bar pełen ludzi, Alessi zaproponował Stucky'emu aperitif. Stojąc wśród tłumu klientów, dziennikarz próbował przełamać lody, mówił, że kocha swoją pracę i że widać, jak bardzo Stucky kocha swoją. Dziennikarzowi podobało się przebywanie z ludźmi, pisanie o nich, ulepszanie ich, poprawianie dyskretnym makijażem słów.

– Poprawia pan także ludzkie wady czy tylko je ukrywa?

– Wady, gdy zostaną umiejętnie obnażone, stają się zaletami, którymi można się pochwalić. Lepsza jest wielka wada niż płaska normalność.

– Dlaczego normalność miałaby być płaska?

Pozwolił Alessiemu przywitać się z kilkoma kobietami.

– Jest płaska, bo wyrzeka się eksploracji. Jeśli masz w sobie

odwagę eksploratora, odkrywasz, że wszystko jest koliste, niemające prawdziwego początku ani końca.

– Ale posiadające centrum – skwitował Stucky, patrząc mu w oczy.

*Naturalnie, panie doktorze, praca w odpadach ma swoje sekrety i nikt ich nie odkryje drugiemu za darmo. Nie możesz nawet oczekiwać, że jasno i jednoznacznie odpowiedzą ci na pytania. Wszystkiego musisz nauczyć się własnym kosztem. Zawsze stajemy samotnie wobec tajemnic. Jednak to, co widziałem i słyszałem, wystarczyło mi, by podjąć decyzję: żadnych odpadów komunalnych, bo wraz z nimi pojawiają się szczury i mewy; żadnych odpadów toksycznych, bo potem zaczyna ci lecieć krew z nosa i rozwija się jakaś okropna choroba. Tylko solidne składowisko odpadów spokojnych, „pasywnych”, jak to mówią. Trzeba przejść przez niekończący się ciąg biurokratycznych procedur, złożyć wnioski o koncesję, dać teren do zbadania, dostać zgodę od upoważnionych organów. Bez obaw: czekają na ciebie z otwartymi rękami, bo tyle mają śmieci, że nie wiedzą, co z nimi zrobić, i jak tylko zobaczą dzielnego chłopaka, który chce założyć składowisko, na pewno nie pozwolą mu uciec. Także gminny asesor od ochrony środowiska jest po twojej stronie, bo nie może się doczekać, aż na jego terenie powstanie składowisko. A przynajmniej tak było w czasach, kiedy zaczynałem w tej branży. Później coś się zmieniło na gorsze. Pamiętam jeszcze moje pierwsze spotkanie z tym asesorem, jowialnym i szczerym facetem: „Podpiszemy eleganckie porozumienie”, powiedział mi, „pomiędzy samorządem a składowiskiem, na mocy którego pan przeleje do gminnej kasy określoną sumę pieniędzy za każdą tonę odpadów”. „Ale czy to nie jest łapówka?”, zapytałem. „Nie, to jest prawo”, odpowiedział. Otóż uznano, że samorząd ma prawo do odszkodowania za niedogodności spowodowane obecnością*

wysypiska na jego terenie. Krótko mówiąc, trochę dajesz, a trochę bierzesz, i wszystko w majestacie prawa. Wydawało mi się to szczytem postawy obywatelskiej. No i asesor był całkiem w porządku, prostolinijny i konkretny gość. Wszyscy jakoś musimy żyć na tym świecie.

Upoważnienia są ważne, ale żeby wyrzucić coś na składowisko, wystarczy jeden telefon. Dzwoni do ciebie połowa świata, są jak pszczoły przyciągane do nektaru. Jak tylko rozejdą się głosy, że powstało nowe legalne składowisko, wszyscy chwytają za telefon i pytają cię o ceny, o to, jak badasz odpady, jak bardzo wierzysz w rezultaty tych badań, jak się zachowujesz, kiedy dane wykraczają poza normę, czy przez przypadek nie jesteś jednym z tych typów, którzy odsyłają do nadawcy ciężarówkę, która pojawia się w środku nocy, może nawet po długiej podróży, ty na to odpowiadasz, że nie, proszę pana, podróżnych należy szanować, no i przygoda może się rozpocząć.

Najpierw trzeba zbudować solidne ogrodzenie wokół wyrobiska. Potem stawia się biura, małe laboratorium chemiczne, to wszystko w kontenerach, takich jak dla ludzi po trzęsieniu ziemi, które produkują tu w okolicy i trzymają gotowe na kataklizm. Porządkuje się teren, wyrównuje brzeg i dno wyrobiska, które musi być gładkie jak stół bilardowy. Potem trzeba wysypać na dno warstwę gliny i rozłożyć na niej wielką płachtę, bo w gruncie rzeczy wysypisko to taki wielki foliowy worek z nieczystościami w środku. Na pięćdziesiąt lat i więcej. Rozłożenie takiej płachty na brzegach wyrobiska było tak straszliwym wysiłkiem, że gdyby nie pomogła mi rodzina i przyjaciele, to jeszcze dotąd bym tam siedział, spalony słońcem jak jaka mrówka, i rozwijał czarną folię.

To jest fajne w rodzinie i u przyjaciół: pierwsi harują za darmo, a drugim płacisz grosze. Nie wiem, gdzie się narodził ten model, wiem, że działa. Babka nie mogła nam pomóc, bo była po

*tracheotomii i żeby mówić, musiała zatkać sobie palcem dziurę w gardle, a ona nie potrafi pracować w milczeniu. Mama, Antonietta i Gino byli ze mną aż do ostatniego metra folii. I pięciu albo sześciu przyjaciół za dziesięć tysięcy lirów<sup>9</sup> na godzinę, wodę i wino do woli i chleb z salami. Jedna wielka rodzina.*

*Zanim wysypaliśmy glinę i położyliśmy folię, musieliśmy przenieść wszystkie śmieci leżące na dnie i złożyć je w kącie. Także ciężarówkę taty. To była chwila wzruszenia, kiedy wszedłem do szoferki i wszyscy zobaczyliśmy go oczami wyobraźni, z gołym torsem, złotym łańcuchem błyszczącym w słońcu i grubym bluźnierstwem na ustach, bo sprzęgło nie chwytą.*

*Kiedy wszystko już zostało zrobione jak należy, wstałem o świcie i poszedłem obejrzeć moje składowisko. Ranek był wilgotny, słońcu nie spieszyło się ze wejściem, całkiem jak w Irlandii. Okoliczne pola były jeszcze nagie; ziemia po orce w odcieniach czerwieni i brązu, od czasu do czasu przelot ptaków, niektóre z nich to były mewy, już przyleciały na kontrolę, chciały wiedzieć, czy naprawdę otwieramy dla nich jadłodajnię, czy tylko marnujemy ich i nasz czas. Droga prowadząca do wysypiska wiła się jak mały wąż pełzający między dwoma brzegami porośniętymi przez akacje i topole. Ściana drzew sprawiała, że wielka dziura w ziemi była niemal niewidoczna z zewnątrz, nagle pojawiała się brama i gęste ogrodzenie, które zasłaniało widok na drugą stronę. Patrząc przez szczeliny w bramie, dało się zobaczyć ciemną foliową płachtę pokrywającą powierzchnię wyrobiska, drogę prowadzącą w dół, aż na samo dno, i pochylnie, po których miały jeździć ciężarówki pełne łupów.*

*Otworzyłem bramę na oścież. Stado szpaków wzbiło się w powietrze, za nimi parę turkawek. Powoli zszedłem główną drogą wiodącą w dół. Co to był za widok, panie doktorze...*

*– Wierzę, panie Dal Lago. Ale dlaczego nie powie mi pan, jak się*

*naprawdę nazywa?*

*Bo jestem artystą, panie doktorze.*

## 7 grudnia

Komisarz Leonardi wparował do jego pokoju, roztaczając woń wody toaletowej marki Pino Silvestre i powiewając egzemplarzem „Il Gazzettino”.

Na samym początku trewizańskich stron weneckiego dziennika znajdował się artykuł o atakach na ekspedientki podpisany przez Alessiego.

Dziennikarz wykonał dobrą robotę, w krótkim czasie docierając do większości informacji, które posiadała policja. W artykule zaś zbudował mroczną postać seryjnego agresora, trawionego chorobliwym pociąganiem do młodych i pięknych ekspedientek.

– Co za kretyn! Czegoś takiego nie umieszcza się na pierwszej stronie! I nie w taki sposób – wybuchnął Leonardi.

– Gość się ma za Alka Seltzer reportażu! Chce pan, żebym poszedł do redakcji i wlał mu trochę oleju do głowy?

– Nie trzeba, Stucky. Oni się opychają słowami, a zdrowy rozsądek zostawiają na talerzu. Tak czy owak, sprawa jest poważna.

– Nie, nie. To przecież drobiazg. Znajdziemy go.

– Za chwilę obudzi się kwestor...

Stucky otrzymał raport policjantów, których poprzedniego wieczora wysłał do patrolowania okolic sklepów. Nie wydarzyło się nic szczególnego i ograniczyli się tylko do wylegitymowania paru przechodniów, którzy wzbudzili ich podejrzenia swoim

zachowaniem. Trzej Albańczycy, jeden Ghańczyk i jeden Tunezyjczyk: DOBRZE, ŻE JESTEŚ numer 715, 389, 128, 919 i 488.

Zatelefonował do kolegi zajmującego się archiwizowaniem starych spraw. Miał nadzieję, że będzie pamiętał o jakichś analogicznych wydarzeniach z przeszłości, o kimś, kto by pasował do poszukiwanej kategorii; kogoś, kto pluł na pracownice w fabryce lamp albo wyżywał się na sprzedawczyniach w cukierni czy piekarni. Nie było się o co zaczepić, kolega nie pamiętał niczego podobnego.

- Zajmiesz się sprawą ekspedientek?
- Sprawą...?
- Prasa już zaczęła szaleć.

Dzień był piękny, przejrzyste powietrze pozwalało sięgać wzrokiem hen, aż po ośnieżone góry. Niemal słyszał chrzęst nart na zaśnieżonych górskich trasach, daleko ponad równiną. Przeszedł spacerem przez Pescheria, maleńką wysepkę od wieków goszczącą targ rybny. Klienci stali skromnie przed straganami, w niemal całkowitym milczeniu czekając na wezwanie „Kochanie, a tobie co podać?”, padające z ust gargantuicznej matrony z Chioggi, osiadłej na mieliźnie interioru, obsypanej na twarzy i ramionach łuskami labraksa, podczas gdy jej mążonek pozbawiał głów żabnice i patroszył dorady.

Inspektor uznał, że należy mu się kieliszeczek u Seconda. Klienci ci sami, co zwykle, tacy sami tutaj, jak na głębokim południu kraju, handlowcy na emeryturze i inni emerycy, malarz Serena ze swoimi akwarelami pod pachą i były nauczyciel szkoły podstawowej Manzoni, który zawsze brał ze sobą egzemplarz *Boskiej komedii* i czytał ją między jednym a drugim kieliszkiem wina. Stucky zamówił tartinki z radicchio i suszonym dorszem oraz kieliszek białego wina. Lubił siadać przy stoliku w rogu tuż



obok witryny, by swobodnie przyglądać się przechodniom. Ludzie to niesamowite widowisko. Kiedy mieszkał w Wenecji, uwielbiał spędzać czas na przypatrywaniu się ludziom, w ten sposób można się było wiele nauczyć o świecie.

Na chodniku przed barem przystanąła starsza pani i klienci zawołali:

– O, jest i wariatka!

Kobieta – jakby witryna baru była lustrem – zdjęła płaszcz i poprawiła spódnicę. Z powrotem włożyła płaszcz, wygładziła brwi, udała, że się uśmiecha, zmarszczyła brwi i zrobiła kilka grymasów z wystawionym językiem. Zakończyła pokaz, odwracając się tyłem i udając, że unosi płaszcz i spódnicę.

– Brawo! – W barze rozległy się oklaski.

To była pani Capuzzo, rentierka po tym, co pozostało z zakładu optycznego w Cadore, hotelu w Cortinie d'Ampezzo i wielohektarowego gospodarstwa w okolicach Caorle, które zostało odrolnione i przeznaczone pod zabudowę.

– Widział pan, *dottore*? Nie należałoby jej aresztować za obrazę moralności publicznej? – odezwał się zza baru Secondo, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Żeby każda obraza moralności ograniczała się tylko do tego...

– Co racja, to racja. Wariatka się zakochała w naszym przystojnym młodzieńcu.

– Młodzieńcu! Ja już co nieco przeżyłem, drogi panie Secondo...

– Widzę, że coś pana dręczy, *dottore*.

– Muszę się zająć delikatną sprawą...

– Kradzież na piazza Pola czy ta sprawa z ekspedientkami?

– Z ekspedientkami.

To jakieś żarty, stwierdził nauczyciel Manzoni, podnosząc wzrok znad swojej książki, wygłupy, niech się pan nie przejmuje, *dottore*, na pewno wszystko się wkrótce wyjaśni. Malarz Serena,

nieustannie poszukujący ramy odpowiedniej dla swoich obrazów, nie zgadzał się z przedmówcą. To zły znak, powiedział, w Treviso nigdy nie napastowano ekspedientek. To zły znak. I podniósł jedną ze swych akwarel.

– Signor Secondo, pan, co tak dobrze zna to miasto, co pan sądzi?

– Wariat albo... – barman rozejrzał się dokoła, zanim wyszeptał – wiem, że pan na mnie nie doniesie: albo obcokrajowiec...

– Wariat taki jak signora Capuzzo?

– Prawdziwy wariat, groźny.

– A więc pana zdaniem dalej będzie to robił?

– Na pewno! Bez wątplenia! Wariaci już tacy są. Zawzięci.

– Dość już o wariatach! – przerwał im nauczyciel Manzoni tubalnym głosem. – Pomówmy o cipach raczej, niechaj im Bóg wybaczy!

Stucky podzielał odczucia malarza. Najpierw była krótka rozgrzewka w postaci telefonów i zaraz potem pierwsze ćwiczenia terenowe: złoczyńcy nie podobało się laboratorium i symulacja, wolał działać wśród żywych. Niestety, informacje zebrane od ofiar były bardzo niejasne i w żaden sposób mu nie pomagały. Jedyne środki, które przedsięwziął, bazowały na nadziei, że uda mu się zlokalizować cel kolejnego ataku, i cała sprawa, o dziwo, wydała mu się nagle śmieszna.

Postanowił ponownie przesłuchać bratanicę komisarza Leonardiego.

Po drodze porządkował myśli. Znalazł się za plecami pary wyglądającej na małżeństwo. Ona ciągnęła go za sobą, pokazując zasłony i narzutę na łóżko. Przesuwali się ostrożnie, analizując drobiazgowo każdy detal wystawy w witrynie, palcami wskazując na to, co im się najbardziej spodobało. Wszedł za nimi do środka, do obszernego wnętrza z belkowanym sufitem i długimi stołami ze

starego drewna, pokrytymi cennymi tkaninami. Na każdy metr drewna z minionego stulecia przypadał jeden ekspedient w wieku przedemerytalnym, uzbrojony w okulary i najwyższe kompetencje. Stucky uświadomił sobie, że mógłby zapytać o cokolwiek pod pretekstem zakupów, mógłby zinwentaryzować każdy sklep w mieście, używając prostej, magicznej frazy: „Czy mają państwo...?”.

Stawiając stopy na skrzypiących drewnianych deskach, inspektor zapytał o zasłony z konopnego płótna, długo oglądał proponowane tkaniny, przyjął zaproszenie, by dotknąć materiału, i wyszedł, wypowiadając kolejne magiczne zdanie: „Dziękuję, wrócę do państwa”. Klema mógł wejść do każdego sklepu i wyjść z niego z taką samą łatwością, z jaką smutny gołąb przelatuje z dachu na dach.

Signorina Leonardi stała wyprostowana w wąskim korytarzu między sklepowymi półkami pełnymi towarów. Przypominała niektóre lampy – metalowe czaple, zdecydowanie bezużyteczne. Rozpoznała inspektora i zarysowała w powietrzu coś na kształt pozdrowienia, poruszając szczupłymi palcami.

– Ileż tu rzeczy! – powiedział Stucky, podnosząc szklany pojemnik zawierający dwa barwne płyny o różnej gęstości.

– Drobiazgi, bibeloty, zachcianki i kaprysy.

– Dużo sprzedajecie?

– Całkiem sporo.

– A na przykład te sprężyny na dole, do czego one służą?

– Do zawieszenia torby, wazonu z kwiatami, jakiegokolwiek ciężaru...

– A to ciekawe. Czy po tym pierwszym razie ktoś panią napastował, signorina?

– Nie. Ale słyszałam, że były jeszcze inne podobne wypadki, i czytałam też w gazecie.

– Słyszała pani, a od kogo?

– A, między nami ekspedientkami. Czuje się pewne zaniepokojenie.

– A gdzie pani parkuje samochód?

– Niedaleko siedziby klubu wioślarskiego.

– A więc wyszła pani ze sklepu, w trzy albo cztery minuty dotarła do samochodu i po kwadransie dojechała pani do domu. Mam rację?

– Tak.

– Facet widział panią w sklepie, wyśledził, w jaki sposób wraca pani do domu, zobaczył, gdzie pani parkuje, następnie poczekał na panią, pojechał aż do domu, może nawet zrobił to parę razy, a w końcu tamtego wieczoru, wiedząc, gdzie pani zostawia samochód, przeszedł do działania.

Dziewczyna milczała.

– Naprawdę nic pani nie pamięta? Żadnego szczegółu, niczego, co by pani zauważyła kątem oka?

– Nie, w strachu się nie myśli. Natychmiast uciekłam do domu.

– A pamięta pani chociaż, do której kieszeni ten drań wrzucił pani czekoladkę?

– Naprawdę...

– Niech pani spróbuje, proszę.

– A więc tak, do prawej.

– A signora Verzieri? Mówi pani coś to nazwisko?

– Nie, nigdy nie słyszałam.

– A signorina Bergamin?

– Znam ją z widzenia.

– Znał ją mój kolega Martini...

– Spotkałam go kilka razy w kwesturze. Nie mogę uwierzyć, że nie żyje – szepnęła dziewczyna.

– Dobrze, signorina Leonardi. Wszystko jest pod kontrolą.

Proszę być spokojna. A to lustro z matowym szkłem, ktoś je kupuje?

– Bardzo się podoba.

Wyszedł z tym niewiarygodnym stwierdzeniem w uszach.

W Izbie Handlowej zastał bardzo uprzejmą urzędniczkę, pyzată panią, która próbowała udzielić mu nieco informacji na temat kondycji zawodowej ekspedientek. Większość zatrudniali bezpośrednio właściciele sklepów, a podstawowymi kryteriami były: wygląd zewnętrzny, takt i odpowiednia troska o powierzone rzeczy. Oczywiście, kiedyś sztuka sprzedaży była profesją otoczoną powszechnym szacunkiem i aż do lat osiemdziesiątych wykonywanie tego zawodu w sklepach centrum było traktowane jako przywilej. Jednak w ostatnim dziesięcioleciu rotacja była coraz większa, zawód ekspedientki stał się jedynie etapem. Skończyły się czasy pani Fazzuoli.

– Pani Fazzuoli?

– To ona, drogi inspektorze, przygotowywała do zawodu najlepsze ekspedientki w Treviso.

– A gdzie mogę znaleźć tę panią?

– Och, ona od dawna jest na emeryturze. Będzie miała pewnie z osiemdziesiąt lat...

Stucky bez trudu odkrył, gdzie trafiła Maria Fazzuoli, rocznik 1921. Na ciepłe łóżeczko w pensjonacie dla seniorów w Castelfranco Veneto, dwa kroki od historycznego centrum miasta.

Nie miała już nikogo. Jeśli ktoś ją odwiedzał, to tylko dawne uczennice, ekspedientki wycofane z eksploatacji, pomne jej nauki, wdzięczne za to, że pozwoliła im spędzić zawodowe życie między kłębkami wełny i tkaninami, okularami do pracy i poszewkami firmy Bassetti. Pielęgniarkom z jej piętra nie mieściło się

w głowie, że do pani Fazzuoli przyszedł mężczyzna, i również ona, siedząca z gracją na wózku przy obszernym oknie, nie pojmowała, że przyszedł do niej w odwiedzin, i uparcie nazywała go doktorem oraz negowała potrzebę przyjmowania żółtych i czarnych pastylek.

– Ale ja nie jestem lekarzem.

– Wszyscy doktorzy to mówią i mówią też, że lekarstwa to nie lekarstwa, ale cukierki: Maria, zjedz cukierka. A to lekarstwa. Ja to wiem!

– Jestem policjantem.

– Ach tak! I jeśli nie zjem cukierka, da mi pan mandat, prawda?

– Ależ nie! Chciałem panią o coś zapytać, chodzi o ekspedientki...

– Ach tak! I teraz pan powie, że jako policjant chroni pan ekspedientki, odprowadza je do domu i daje im cukierki. A potem pan powie: jeśli ekspedientki biorą cukierki od policjanta, to i pani może je wziąć i zjeść. A ja wiem, że to są lekarstwa. Mnie pan nie nabierze.

– Signora Fazzuoli, w Treviso jest ktoś, kto napastuje ekspedientki. Ten ktoś pamięta, jak pani je wszystkie przygotowywała, jak uczyła je pani właściwego postępowania wobec klientów...

A przede wszystkim wobec właścicieli sklepów, powiedziała kobieta, próbując podnieść się z fotelika, znużona nadmiarem słońca wlewającego się do środka przez witrynę. Zamknęła oczy:

– Wobec właścicieli, ponieważ sklepikarze to osobna kategoria. Trzeba umieć się z nimi obchodzić. Z tymi, co siedzą przy kasie i bez przerwy patrzą na ekspedientkę, z tymi, którzy nigdy nie przychodzą do sklepu, za to wysyłają żonę albo córki, żeby się im naprzykrzały. Z tymi, co chcą czegoś w zamian, z tymi, co się zakochują w swojej ekspedientce. I jeszcze z żonami sklepikarzy,

z matkami sklepikarzy: och, dawałam moim dziewczynom rozwiązanie na każdą z tych spraw. Zachowuj się skromnie, pilnuj kasy, nigdy nie bierz niczego z zaplecza, nie zapraszaj przyjaciółek na zakupy, łudzac je obietnicą zniżki; nie przyprowadzajcie do sklepu chłopaka w godzinach pracy, nigdy nie bądźcie nudne, nigdy zmęczone, bądźcie czarujące i pewne siebie: musicie ich przekonać, bo to oni was potrzebują...

– Według pani, signora Fazzuoli, czy jakiś klient może żywić chorą nienawiść wobec ekspedientek?

– Wobec moich dziewcząt z pewnością nie.

– Chodzi mi tak ogólnie. Czy była pani świadkiem silnych napięć między klientami a ekspedientkami?

– Nigdy.

– Jest pani pewna?

– Chce mi pan dać lekarstwa?

– Nie, może pani być spokojna! Kto, według pani, mógłby nienawidzić ekspedientek?

– Wariat. Kto inny mógłby się źle zachowywać wobec młodych i pięknych kobiet?

– Czy jest teraz ktoś, kto wykonuje pani ważną profesję?

– Naprawdę jest pan policjantem?

– Chce pani zażyć lekarstwo?

Droga między Castelfranco Veneto a Treviso to koszmarne ciągi samochodów i ciężarówek, tworzących korki zaraz w drugiej albo trzeciej z kolei rozkopanej miejscowości, której mieszkańcy cierpią nieustanną karę za bezmyślność urbanistów. Stucky cierpliwie znosił czerwone światła, prace drogowe, ograniczenia prędkości i korki. Remont chodnika zamykał w kleszczach samochody z połowy świata, Bułgarów, Turków, Słoweńców i całą resztę zrezygnowanej populacji.

Podczas drogi myślał o telefonach z groźbami i o jedynej

kobiecie, która miała coś wspólnego ze sprawą, a nie była ekspedientką, o pani Verzieri, właścicielce trafiki. Dotarłszy w końcu do miasta, udał się prosto do niej. Pani Verzieri nie tryskała szczęściem na widok inspektora. Należała do tego rodzaju kobiet, które się nie zwierniają, jeśli nie widzą w tym dla siebie jakiejś korzyści, a pojawienie się Stucky'ego między jednym a drugim klientem, paczką papierosów a znaczkiem pocztowym, wyraźnie ją zirytowało.

– Wróciłem, ponieważ uważam, że może mi pani pomóc w decydującej kwestii. – Zobaczył, że twarz kobiety zrobiła się bardziej przyjazna.

– Chodzi o głos tego typu, który zadzwonił do pani. Jaki miał ton?

– Chce pan wiedzieć, jak bym zaklasyfikowała ten głos? Niemiły.

– Dobrze. Ale jaki był: wysoki, niski, przekonujący, agresywny, spokojny, powściągliwy, wzburzony...

– Niemiły i starczy.

– Co to znaczy starczy?

– Odniosłam wrażenie, że jest niemłodym człowiekiem. I jak teraz sobie myślę, to w tle było słycać hałas, inne głosy. Tak jakby dzwonił z jakiegoś lokalu, baru czy osterii.

– Nie odbierała pani już później podobnych telefonów...?

– Założyliście mi podsłuch?

– Nie, proszę się nie niepokoić.

Jeden szczegół nie pasował Stucky'emu, choć może był to drobiazg: czy ten przeklęty Klema połapał się, że Verzieri nie była ekspedientką?

– Zauważyłem, że numer telefonu zapisany na wywieszce sklepu jest inny niż ten, który ma pani tu na opakowaniach...

Kobieta przez chwilę milczała zakłopotana.



– Umowa na telefon była na mojego męża. Zmieniłam wszystko, ale wywieszka jest tak stara i cenna, że nie chciałam jej zastępować nową. Ale właściwy numer jest wydrukowany na papierowych torbach, w które pakuję towar klientom. Myśli pan, że ten kryminalista mógł wejść tutaj i mi się przyglądać? Albo że mnie zna?

– To możliwe. Zresztą pani nie jest ekspedientką. Mogła pani nie być atrakcyjna dla...

– Wydaję się panu nieatrakcyjna? – Kobieta nadeła się, jednocześnie zaczesując włosy za ucho.

– Dla napastnika, chciałem powiedzieć.

Wychodząc, Stucky czuł, że ma trudności z oddychaniem, *antimama!* Starzec, bar, napastnik, który nie żywi niezdrowej fascynacji do ekspedientek, ale do kobiet w ogólności.

– Czy to prawda, że maltretuje pan papugi? – zapytał człowieczka siedzącego na wysokim zydlu z wyplatanej słomy w sklepie „Uniwersytet Papug”. Wszedł ukradkiem, mając nadzieję, że *dai* Cyrus nie dostrzegł go ze swojego sklepu, zajęty kontemplowaniem arabeski na którymś ze swoich dywanów.

– To oszczerstwo! – odpowiedział nerwowo człowieczek.

Klatki wiszące przy ścianie roiły się od kolorowych ruchliwych papużek, tak sympatycznych, że można się było słusznie pytać, jak ktoś może się z nimi rozstawać. Na żerdziach siedziały, różniące się wielkością jak piszczałki organów, krzykliwe istoty składające się głównie z oczu i dzioba.

– Czy ten łańcuch nie jest za krótki? I czy w tych klatkach nie ma pan zbyt wiele papużek? – zapytał Stucky.

– Wszystkie znikną przed świętami – syknął zirytowany facecik.

Stucky spróbował wyciągnąć rękę w stronę napuszonej amazonki, która rzucała mu wyzywające spojrzenie. Gwałtowne

dziabnięcie zamknęło się milimetr od palców inspektora.

– Jeśli pan chce, wydłużę łańcuch – zarechotał akademik od papug.

Secondo patrzył na inspektora bez zrozumienia.

Stucky stał ze wzrokiem skierowanym na telefon wiszący na ścianie. Zza lady widać było dokładnie, kto z niego korzysta.

– Nikogo pan nie pamięta, signor Secondo?

– Wielu ich było...

– Stali bywalcy?

– Tu przychodzą przede wszystkim stali bywalcy, to na pewno...

– I nie widział pan kiedyś, żeby telefonował, no nie wiem, może nauczyciel Manzoni?

– A dlaczego Manzoni?

– Bo ma jakiś problem z kobietami i chropawy głos.

– Cóż, nauczyciel...

– Gdzie mieszka?

Wchodziło się po dość wąskich schodach w starym budynku przy via Tommasini. Na drugim piętrze błyszczała mosiężna tabliczka z napisem „Manzoni”, wygrawerowanym dużymi literami. Stucky zapukał dziarsko do drzwi, z których złaźła farba. Nauczyciel Manzoni ubrany w podomkę aż podskoczył na widok inspektora. Następnie skurczył się jak pod ciężarem niespodziewanego brzemienia. Rozczochrany, bez okularów, znużony życiem inteligent kuśtykający ku starości.

– Przyszedłem w związku z telefonami – powiedział Stucky bez wstępów.

– Proszę. – Wpuścił go do pomieszczenia oblepionego czarno-białymi fotografiami kobiet.

– Moje narzeczone – szepnął nauczyciel, ale wiadomo było, że chodzi tylko o pożądane piękności.

- Dlaczego dokuczał pan tym biednym dziewczynom?
- Były niemiłe...
- Piękny pretekst! Gdybyśmy mieli telefonować z obelgami do wszystkich, którzy byli niegrzeczni...
- Ale czemu tyle pięknych kobiet? Dla nich zawsze co najlepsze, a dla mnie co? Suche kasztany.
- Tego by jeszcze brakowało! – wrzasnął Stucky. – Dlaczego wy, starzy, nie zrobicie czegoś społecznie użytecznego zamiast być wrzodem na tyłku żyjących? – Zaraz pożałował wybuchu, patrząc na zapadnięte powieki mężczyzny przepełnione płynnym żalem.
- Aresztuje mnie pan? – zapytał Manzoni, zapadając się w fotel ze zniszczonej skóry.
- Na razie niech pan nic nikomu nie mówi. I proszę pozostać do dyspozycji...

*Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, kiedy wszedłem na teren składowiska, było skontrolowanie wagi. Miałem nadzieję, że pan Gropin odpowiednio skalibruje mechanizmy, żeby wychodziło na wadze parędziesiąt kilo więcej. Dziesięć kilo tu, dziesięć kilo tam i robią się z tego tony.*

*Słońce wyjrzało znad krawędzi wysypiska. Ja na dnie jego wnętrzości. Na folii.*

*Przysięgam, że podniosłem ramiona do słońca, szczęśliwy jak skowronek: już słyszałem dzwonek telefonu, warkot brzemiennych ciężarówek zjeżdżających z głównej drogi, stukot klawiszy kalkulatora, który przemieniał wagę w dochód, plusk wody obmywającej zabłocone opony pojazdów, spływające strużki wody, czyściutki wozy wspinające się po podjazdach, pozostające nieustannie w ruchu spycharki, przesuujące i ugniatające materiał, komory do spalania gazów, które zbierały się wraz z nagromadzeniem odpadów, frenetyczną aktywność laboratorium, formularze wysyłane do odpowiednich organów i:*

*„Och, dzień dobry, panie władzo, żadnego problemu z ruchem na drodze, prawda?”*

*„Drogi panie asesorze...”*

*„Jakie doskonałe wyniki analiz!”*

*„Wiem, dziękuję!”*

*Oczywiście nie obyło się bez paru problemów organizacyjnych. Zrobiłem szybkie podsumowanie: potrzebowałem kogoś przy wadze, kogoś do mycia ciężarówek, dwie osoby do spychacza, kogoś do laboratorium, no i kierownika, którym mogłem być ja. Razem pięć plus jeden. Antonietta – raz, mama – dwa, babcia – trzy, Gino – cztery, oraz dodatkowo ja. Brakowało jednego.*

*Miałem już w głowie cały schemat organizacyjny: Antonietta po powrocie ze studium hotelarskiego siądzie na spycharkę, żeby ugnieść materiał, który o poranku Gino wyrównał za pomocą tej samej maszyny. Mama pilnuje wagi i dba o dobre samopoczucie kierowców, żeby nawet nie przyszło im do głowy podejrzenie, że z urządzeniem mogłoby być coś nie tak. Babka optukuje ciężarówkę, a ponieważ mimo tracheotomii wciąż odczuwa przymus mówienia, wrzucę jej do strefy mycia mikrofon połączony z telefonem, jedną ręką będzie myć koła ciężarówek, a drugą przycisnie sobie dziurę w gardle i może dzwonić do radia, niech będzie błogosławiony ten wspaniały wynalazek, bez niego nie wiedzieć ile gospodyń domowych popadłoby w paranoję, a tak mają się gdzie wyżalić.*

*Hodowla jajek Kolumba. Ja nadzoruję całość. Brakowało kogoś do laboratorium, ale nie ma nic prostszego, niż znaleźć młodziaka po studiach bez umiejętności i pleców.*

*A jednak zatrudnienie personelu okazało się problemem.*

*Mój brat Gino nie przystał na propozycję stałego zatrudnienia. Widzisz, powiedział, może w jakąś sobotę czy niedzielę, ale chciałbym mieć własną działalność i w ciągu tygodnia pojeździć*

*trochę scanią i volvo. Okej, jesteśmy braćmi, odpowiedziałem, i dobrze, że mówisz wprost, ale Matko Boska, zostawisz mnie w samych portkach w środku czegoś, co jest typowo rodzinnym biznesem?*

*Nic nie dało się zrobić. Zresztą doskonale pamiętam, że od małego dziecka jego pasją były silniki i wielkie drogowe potwory, TIR-y i inne kolosy, na których widok był w siódmym niebie, i kiedy inni chłopcy zbierali fotografie piłkarzy, Gino rysował ciężarówki i marzył, że jak dorośnie, zostanie tirowcem i będzie miał na CB ksywkę Błyskawica.*

*No dobrze, Błyskawico, powiedziałem mu, niech diesel będzie z tobą.*

*Także Antonietta zaczęła kaprysić i wymyślać przeszkody, typu: że przez te popołudnia na spycharce będzie musiała codziennie myć sobie włosy. Matko Boska święta! Siedzisz sobie w wygodnej kabinie nowoczesnego pojazdu, mówię jej. A ona, że spycharka jeździ po odpadkach, które śmierdzą.*

*„No dobrze, to sprawisz sobie pachnący szampon”.*

*„Ale od częstego mycia włosów osłabiają się cebulki”.*

*„Nawet kiedy szampon jest delikatny?”*

*„Nawet wtedy”.*

*„A kto tak mówi?”*

*„Ekolodzy”.*

*No tak, ekolodzy.*

*Na szczęście Antonietta jest jeszcze młoda i w końcu dała się urobić. Mama bez problemu. Babcia bez problemu, pod warunkiem, że nie podłączę jej do Radia Maryja, którego nie znosi.*

*„Może być radio Bella & Monella?”*

*„Można do nich telefonować?”*

*„Ile tylko chcesz”.*

*Tak więc byliśmy gotowi, by ruszać z robotą, choć musiałem*

*jednocześnie obsługiwać spycharkę i robić za menedżera. Wciąż brakowało mi jeszcze jednego człowieka, więc dałem ogłoszenie w gazecie: Zatrudnię specjalistę chemika. Pasjonująca praca. Leniom dziękuję.*

*Ci wszyscy, którzy mówią, że nasza młodzież nie ma ochoty pracować, niestety, mają rację. Nie było ani jednego, dosłownie ani jednego paniczka z dyplomem, który by odpowiedział na ogłoszenie. Gdybym był na miejscu rodziców tych darmozjadów, dla których istnieje tylko autko i gry wideo, to porządnie skopałbym im wrażliwe miejsce; nie wiem, co bym zrobił tym bufonom, którzy zaraz po szkole chcą mieć własny gabinet lekarski, swoją stację benzynową albo sprzedawać fundusze emerytalne.*

*Zmusili mnie, bym dał kolejne ogłoszenie: Zatrudnię absolwenta chemii. Możliwość nabycia doświadczenia w zawodzie. Leniom dziękuję.*

*Naturalnie wziąłem pod uwagę większe koszty zatrudnienia i przez moment myślałem nawet, że sam mógłbym robić analizy, gdybym tylko miał większą znajomość chemii od tego, co wyniosłem ze szkoły. Ale ostatecznie uznałem, że jeśli jeszcze odrobinę przekalibruję wagę, to ona pokryje mi koszt zatrudnienia inteligenta i wyjdę na swoje.*

*Łudziłem się, że sens ogłoszenia będzie jasny: kraj jest pełen bezrobotnych magistrów i jeśli młody przedsiębiorca oferuje, że zostanie promotorem zmniejszenia wskaźnika nieudolności zawartego w dyplomie ukończenia studiów, to nie można oczekiwać niczego innego niż czyste dobro. Miejsce w rajku. Bo jak wiadomo, ci, co kończą uniwersytet, w większości prawie nic nie wiedzą i jeśli nie nabiorą doświadczenia, to nie rozwiną umiejętności i skończą jako urzędnicy w gminie albo nauczyciele, co, z całym szacunkiem, jest porażką dla inteligenta. Przynajmniej*

*ja tak to widzę.*

*No i tak, panie doktorze! Oczekiwałem, że mnóstwo ambitnych młodych ludzi ze świeżym dyplomem odpowie ze zrozumieniem: Drogi panie przedsiębiorco, dziękujemy za propozycję pracy, którą bardzo cenimy. Wdzięczni za możliwość rozwoju, którą nam pan daje, jesteśmy gotowi przyjąć najniższą krajową. A nawet, niech się pan nie kłopotczy, przez pierwszy rok, póki nie nauczymy się pracy, nie chcemy okradać pana z pensji.*

*Jednak na ogłoszenie odpowiedział tylko jeden. Niejaki Filiberto. Filiberto Trentin.*

*Powinienem od razu domyślić się, że coś nie gra. Jak się ma trzydzieści osiem lat, to nie kończy się dopiero studiów. Ale uznałem, że za słabo się znamy, by go pytać, czy miał problemy rodzinne, a może przeżył wyczerpanie nerwowe, długie i wycieńczające, które na dobre paraliżuje człowieka. Poza tym miał wygląd budzący zaufanie: wysoki, rzadkie rozwichrzone włosy i spokojny ton głosu człowieka, który zna się na swojej robocie. No i nie miał wygórowanych oczekiwań finansowych, a nawet zaproponował mi zmianę pensji na udziały w przedsiębiorstwie, jako że jego zdaniem odpady miały przed sobą wielką przyszłość. Odpowiedziałem mu, że pomyślę nad tym, bo to rodzinny biznes i nie należy się spieszyć z przyjmowaniem nowych współników spoza rodziny. On też powiedział, że pomyśli, kiedy go zapytałem, jakie przyrządy powinniśmy kupić do laboratorium. Jak to: pomyśli? Powinienem był w tym miejscu nabrać podejrzeń. W tym właśnie momencie powinienem. Ale przeszło mi przez głowę, że gość zna się doskonale na przyrządach i musi zaprojektować wszystko tak, by osiągnąć najlepsze rezultaty przy najmniejszych kosztach.*

*Po trzech dniach przedstawia mi wykaz pehametrów, spektrofotometrów, konduktometrów i innego diabelstwa, patrząc*

*na kosztorys i szeroko otwieram oczy. Ale on mówi: można oszczędzić. Jeśli zrobimy po mojemu.*

*„Czyli jak?”*

*„Pan mi daje wolną rękę i nie wchodzi pod żadnym pozorem do laboratorium”.*

*„I ile to będzie kosztować?”*

*Filiberto Trentin pisze mi sumę na kartce.*

*„Miesięcznie?”*

*„Rocznie”.*

*„Za taką cenę mogę nazwać twoim imieniem drogę dojazdową!”*

*Drużyna była w komplecie.*

*Nadąża pan za mną, dottore?*

*– W zasadzie tak...*

*Widzimy się w czwartek?*

*– Dobrze.*

*Tak samo, o dwudziestej trzydzieści?*

*– Tak jak się umówiliśmy przez telefon.*

*Kiedy Bizantin Dal Lago (pseudonim artystyczny) wyszedł już z gabinetu, doktor Tarfusser siedział jeszcze długo z palcami we włosach i wpatrywał się w swój notatnik. Oni wszyscy tacy będą? Znaczący, przyszli klienci. Ten jego pierwszy przypadek nieco go niepokoił.*



## 8 grudnia

Nauczyciel Manzoni mógłby napaść na ekspedientki tylko pod tym warunkiem, że wymieniliby mu łąkotki, a opieka społeczna zafundowała buty z turbodoładowaniem. Jego wyczyny głęboko zirytowały komisarza. Sprawa telefonów zabrała mu czas, a okazała się drobiazgiem, z kolei śledztwo w sprawie napaści wciąż było daleko w polu.

Wieczór 7 grudnia Stucky postanowił spędzić, zanurzając się w muzycznej przeszłości: Beatlesi, wideo, fotografie, ściany wyłożone opakowaniami starych longplayów.

Nie pałał szczególną miłością do angielskiego, lubił tylko dźwięk niektórych słów, na przykład *Alabama* i *cadillac*. Ale Beatlesi wyznaczyli początek epoki, a epoki, formalne granice, które stawiamy, by ogarnąć upływ czasu, były dla niego intrygujące.

Siedząc przy stoliku, otoczony muzyką i ludzkim zgiełkiem, odniósł wrażenie, że goście lokalu nie mieli żadnego szczególnego powodu, by się tu pojawić, że to był dla nich po prostu banalny pretekst do spędzenia wieczoru. Tutaj nie mógłby spojrzeć po ludziach i zachwycić się: o, ci to się znają! Zebrało ich tu razem nie intensywne poszukiwanie, nie pasja wypływająca z trzewi, ale sprawny organizator wieczorków tematycznych. Klienci, on i oni. Beatlesi, towar i ekspedientki...

Właśnie. Dlaczego ofiarami nie były kelnerki, zapytał sam siebie, patrząc na dziewczynę podchodzącą do niego z drugim kuflem ciemnego piwa. Kelnerki zazwyczaj nie zamykają lokali.

A barmanki? Wiele barmanek to robi. Oczywiście ekspedientki są o poziom wyżej, przynajmniej w powszechnej opinii. Bardziej delikatne, bardziej szykowne, nie mają, przynajmniej większość nie ma, jednolitego stroju, nie widzisz, żeby czyściły toaletę, wystukiwały fusy po kawie z kolby ekspresu, plamiły się majonezem.

Zobaczył, że jakaś kobieta kilka stolików dalej kiwa mu na powitanie. Odruchowo podniósł dłoń. Zajął mu chwilę, by rozpoznać w niej jedną z ekspedientek, które przesłuchiwał. Była z kilkoma koleżankami i Stucky poczuł się w obowiązku podejść i przywitać się z nią jak należy.

– Dobry wieczór, signorina Bergamin. Wszystko w porządku?

– A dziękuję. Sprawa, jak mi się wydaje, jeszcze się nie zakończyła?

– Mogę panią zaprosić do mojego stolika i wykorzystać okazję, by zadać pani jeszcze parę pytań?

– Nie popsuje mi pan wieczoru?

– Uchowaj Boże!

Zamówił dla kobiety oranżadę z rumem.

– Ta pańska blizna nad brwią to albański nóż? – zapytała, popijając swój trunek.

– Nie. Nic albańskiego. Kant biblioteczki. Mogę zapytać, co pani myśli o całej tej sprawie?

– Czy to nie należy do pana pracy?

– Ale chyba wyrobiła pani sobie jakiś pogląd?

– Ja biorę pod uwagę to, co zdarzyło się mnie, i o czym czytałam w gazecie. Kobiety dostają pogroźki telefoniczne znacznie częściej, niż się myśli. Moja kuzynka była dręczona w ten sposób całymi miesiącami. Nigdy nie znaleźli drania. W końcu się zmęczył i zmienił ofiarę. Sytuacja wygląda inaczej, kiedy odbierasz telefon z pogroźkami, a potem niektóre z twoich koleżanek zostają

zaatakowane. Za czymś takim musi stać jakiś plan. Jakiś cel.

– Odwet.

– Otóż to. Jest w tym coś z chęci ukarania, szydzi z nas, obraża.

Nie wiem, czy to nienawiść, czy co innego...

– Dlaczego ekspedientki, jak pani sądzi?

– No właśnie: skoro nie jesteśmy adwokatkami czy menedżerkami...

– A więc odtrącony zalotnik?

– Kto wie... Ale to raczej nie mój przypadek. Chłopaka trzymam przy sobie. Poza tym który adorator tak by się męczył?

– A więc to nie miłość.

– Miłość nie ma z tym nic wspólnego.

– A więc nie należy pani do tych, które twierdzą, że zawsze chodzi o miłość.

– Inspektorze, niech nas pan nie ceni tak nisko.

– Za nic w świecie...

– Żadna z nas nie czytała *Pachnidła* dlatego, że pracuje w drogerii, ani *Jedwabiu*, bo sprzedaje majtki. Jeśli chodzi o mój zawód, to ja zgłębiłam antropologię zapachu...

– Dobrze już, dobrze! Rozejm...

– A pan... nie ma pan z kim spędzać wieczoru?

– Chodzi pani o kobietę? Moja partnerka jest w Toronto, na trzymiesięcznym kontrakcie.

– W Toronto jest mnóstwo wencjan.

– To gościnne miasto.

– Niech nas pan chroni, inspektorze. Liczę na pana – powiedziała kobieta, wracając do koleżanek.

Dziwna jest, pomyślał Stucky.

Wyszedł z lokalu wprost pod rozgwieżdżone niebo. To była jedna z tych przejrzystych zimowych nocy, które wlewają spokój w duszę, przekonując, że naprawdę już niedługo Boże Narodzenie.

Niech nas pan chroni, inspektorze! Te słowa brzęczały mu w uszach, kiedy 8 grudnia kwadrans po ósmej jechał radiowozem do szpitala. Karetka właśnie zawiozła tam zaatakowaną i, jak usłyszał, zranioną w głowę ekspedientkę. Lekarz pogotowia częściowo go uspokoił: żadnego niebezpieczeństwa, dość silne uderzenie wymierzono w lewą skroń, kobieta ma trochę spuchnięte okolice powiek i kości jarzmowej, ale oko nie doznało urazu.

Tępe narzędzie, domyślił się Stucky. Albo upadek, odpowiedział lekarz, wzruszając ramionami. Pacjentkę umieszczono na obserwacji neurologicznej.

Lekarz oddziałowy zaprowadził inspektora na miejsce. Rodzice poszkodowanej byli już przy jej łóżku, matka trzymała dziewczynę za rękę i gładziła ją po głowie, uważając, by nie dotknąć lekkiego bandaża. Ojciec, wyczuwając w nim policjanta, zerwał się na nogi.

– Podaj rękę panu komisarzowi – powiedział.

– Właśnie ją nakremowałam...

– To bardzo dobrze robi na skórę. I jestem inspektorem.

– Zbiera się jej na płacz – powiedziała matka.

– Boli mnie – szepnęła dziewczyna.

– Mogę panią zapytać o kilka rzeczy? Czuje się pani na siłach?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Signorina Racci, czy kiedykolwiek otrzymywała pani pogróżki?

– Nie.

– Gdzie to się stało?

– Stawiałam rower na zapleczu sklepu.

– Czym panią uderzył?

– Zaszedł mnie od tyłu. Kątem oka zobaczyłam coś ciemnego.

– Kij?

– Może... Powiedzieć coś panu, inspektorze?

– Proszę.

– Widziałam go.

Co za dureń z ciebie, pomyślał Stucky. Wszystkie inne nic nie widziały, więc teraz nie przyszło mu na myśl najbardziej oczywiste pytanie.

– Naprawdę? – zawołał, stając nad samym łóżkiem.

– Tak, od tyłu. Kiedy uciekał. Niezbyt wysoki, w brązowej kurtce, krótkie kasztanowe włosy, jasne spodnie, chyba beżowe albo... nie, beżowe.

– A buty?

– Buty?

– Sportowe?

– Niech pomyślę... nie, nie sportowe. To były czarne buty w wojskowym stylu.

– W wojskowym stylu. Dobrze. Wyślę do pani policjanta, żeby przyjął zgłoszenie i załatwił papierkową robotę.

– No tak, zgłoszenie – powiedziała matka.

– Jeszcze jedna rzecz: zna pani pozostałe zaatakowane dziewczyny?

– Jesteśmy z tego samego środowiska.

– Środowiska... – mruknął inspektor.

Na placu przed szpitalem, mimo wspaniałości słonecznego dnia, Stucky poczuł, że ogarnia go niepokój: był 8 grudnia, uroczystość Niepokalanego Poczęcia, dzień, kiedy na dobre rozpoczynało się przedświąteczne zakupowe szaleństwo, a wariat coraz bardziej zdecydowanie obiera za cel ekspedientki. Ten nowy atak na pewno nie umknie uwagi dziennikarzy, należy się spodziewać artykułu w jutrzejszej porannej prasie, a pierwszych doniesień jeszcze dziś, w wieczornych wiadomościach lokalnej telewizji.

Tak jak się spodziewał, wezwał go do siebie kwestor, pochodzący z Werony i monstrualnie tłusty. Pytał o stan śledztwa,

przeczytał kilka zeznań zaatakowanych ekspedientek i uznał, że są niespójne; chciał wiedzieć, czy jego podwładny wyrobił sobie jakiś pogląd na sprawę.

Myślę o tym, powiedział Stucky, i już wiedział, że kwestor ma własne zdanie, zauważył, jak przełożony drgnął, czytając w raportach wyrażenia takie, jak „niewierna” i „piekło”, dobrze znał implikacje słów tak prostych, bezpośrednich, potężnych. Jemu one wydały się dziwne, ale kwestor już zaczął dokonywać krystalicznie przejrzystej rekonstrukcji i ustawił w jednym rzędzie świąteczne zakupy, bożonarodzeniową symbolikę religijną i możliwość rasowych fantazji.

– Nie myślał pan o rozszerzeniu śledztwa na islamskich imigrantów? – zapytał i jakby dotknięty nagłą wątpliwością dodał:

– Pan ma perskie korzenie, dobrze pamiętam?

– Połowę genów. Ze strony matki.

– Czyli ma pan odpowiednią wrażliwość. A więc... to islam?

– Nie, doprawdy. Nie widzę żadnych elementów prowadzących w tym kierunku.

– Dobrze. Gdyby pojawiły się jakieś poszlaki, niech mnie pan uprzedzi zawczasu.

– Wedle życzenia, panie kwestorze.

– Wie pan, że przydzieliłem panu kolegę? Nazywa się Landrulli.

– Do pomocy?

– To dzielny chłopak. Całkiem świeży, ale bardzo zaangażowany. Przysyła go kwestura z Parmy, choć sam pochodzi z Neapolu. W ramach integracji regionów. Oczywiście to nie to samo, co pana dawny kolega Martini, ale...

Landrulli, Landrulli, nie najgorzej to brzmiało. Wzbudzało pewną sympatię: trulle, cebule, landrynki, bergamotka. Właśnie, kojarzyło mu się z bergamotką.

Martini to był karob, orzeszek ziemny, mały zimorodek

nurkujący do wody. Miał tętniaka większego od aorty. Szczupły facet, którego szlag trafia przez tętniaka, to już szczyt wszystkiego.

Może to przez kawę, a może przez trydenckich przodków, po których odziedziczył skłonność do szyderstwa i lekceważenie wszelkiej świętości. Najzabawniejszy policjant w trewizańskiej kwesturze. Umarł z powodu tętniaka w wieku czterdziestu trzech lat. Może tyle wystarczyło.

Parę minut później stał już przed nim nowy współpracownik, na pierwszy rzut oka żywiołowy, energiczny chłopak.

Zatrzymałem się u przyjaciół, powiedział, śpię na kanapie, ale szukam jakiegoś mieszkania, kawalerki, mówią, że jest tu takich mnóstwo.

– Przyjechałeś z kwestury w Parmie, ale jesteś z Neapolu. Jak było w Parmie?

– Lepiej niż w Neapolu, panie inspektorze.

– Żałujesz, czy tylko sobie narzekasz?

– Narzekam, panie inspektorze, narzekam...

– A tymczasem tu trzeba się uśmiechnąć. Wiesz, że w obecnym budynku kwestury urodził się maestro Simonetto, słynny dyrygent? Nasza kwestura jest najbardziej muzykalna w całej Italii! Tu jest rytm. Wszyscy jesteśmy jedną wielką wibracją.

– Coś takiego! A więc będę robił za fagot...

Biorę cię na kawę, powiedział Stucky.

W tym mieście trzeba się zadowolić tym, co mamy, odparł Landrulli.

– Jest tu porządna kawiarnia, Caffetteria Goppion, nie martw się.

– Daleko?

– Umiarkowanie. Jesteś leniwy?

– Umiarkowanie, panie inspektorze.

U Goppionów można jeszcze wypić porządną kawę, której aromat rozchodzi się po całym wnętrzu, składa się zamówienie przy kasie, tak jak być powinno, baristki bez żadnej pozy podają kawę za kawą, szybkie, ale nie przesadnie, grzeczne i skoncentrowane. Nie to co w innych barach, gdzie mieszają się zamówienia, barista robi kilkanaście rzeczy naraz i kawa wychodzi cienka jak pozbawione smaku ziółka.

– Panie inspektorze, tu na północy nie potrafią parzyć kawy – powiedział Landrulli.

– Da się wypić...

– Panie inspektorze, powinienem zrobić porządek z moim kontem w banku, ale nigdzie nie widziałem oddziału Banku Neapolu.

– Bo od paru lat już go u nas nie ma.

– Jeszcze tego brakowało...

– Landrulli, wiem, że już ci dali materiały. Co myślisz o tych napadach?

– Kiepska sprawa, inspektorze. Maniak...

– Maniak! Wszyscy jesteśmy maniakami.

– Napastuje piękne dziewczyny, czy to nie będzie jeden z tych, co...

– Landrulli, posłuchaj: łatwe myśli, kiedy pojawiają się z nadmierną częstotliwością, wskazują na umysł wykorzystujący do pracy minimum energii. Dodamy gazu tej cudownej maszynie, najwspanialszemu wytworowi ewolucji?

– No to gazu, inspektorze.

– Dobra kawa?

– Da się wypić, inspektorze.

– Chcę, żebyś poznał jedną z ofiar. Jedziemy do szpitala.

Landrulli prowadził z takim namaszczeniem, jakby przewozili oryginał konstytucji. Kiwał tylko głową, kiedy wyprzedzający go



kierowca zachowywał się zgodnie z kodeksem drogowym.

– Nie jesteś już neapolitańczykiem. Parma cię odmieniła! – powiedział Stucky, dając mu znak, żeby przyspieszył.

– Łatwo się adaptuję...

– Ach tak? No to żeby przyspieszyć kurs, wieczorem biorę cię na lekcję trewizańskości do Osterii Da Secondo.

Elena Ricci patrzyła na Stucky'ego tylko jednym okiem, jak cyklop z kolorowego czasopisma. Jej matka próbowała zatrzymać inspektora i drugie indywiduum stojące za jego plecami.

Jest zmęczona, powiedziała i z nadzieją na wsparcie swej sprawy wskazała na pielęgniarkę przechodzącą korytarzem. Kobieta podniosła na chwilę bandażę i odkryła opuchliznę po lewej stronie twarzy, między kością jarzmową a brwią.

– Boli panią jeszcze? – zapytał inspektor, starając się skupić spojrzenie na błękitnie jedyne oko dziewczyny.

– Trochę mniej – odpowiedziała niewyraźnie.

– Potwierdza pani, że zaszedł panią od tyłu?

– Musiał stać... za kolumną.

– I co myślisz – zapytał Stucky, kiedy wychodzili z oddziału.

– Całkiem, ale to całkiem osobiście chciałbym wiedzieć, czy dziewczyna miała jakieś szczególne znajomości, kogoś dziwnego...

– W jakim sensie dziwnego?

– A bo ja wiem? Dziwnego, jak potrafią być dziwni tutaj...

– W sensie: czy nie ma jakiegoś maniaka wśród znajomych...

– O właśnie!

– Brawo, Landrulli. Teraz skoncentruj się na znajomych maniakach Eleny Ricci. Zrobisz mi raport... powiedzmy... na jutro. Może być?

– Inspektorze... nie powinienem tego mówić, ale może pan mi zaufać. Ja jestem twardziel. Zaczynałem zupełnie od zera i niczego się nie boję.

– Tu nie ma się czego bać. Nie wiem, czy to dobrze...

Stucky wolał wrócić ze szpitala pieszo, miał ochotę na długi spacer, by dotlenić mózg, popatrzeć na piękne wille, wejść do centrum przez Porta Carlo Alberto i zgubić się w zaułkach po drodze do via Pescheria.

Wszedł do Muscoli's, zamówił spritz z aperolem i mieszając zawartość kieliszka nabitą na wykałaczkę oliwką, zastanawiał się nad raną signoriny Ricci i próbował sobie wyobrazić, co takiego złego zrobiły temu wariatowi ekspedientki.

U optyka przy piazza San Leonardo signorina Callegari, zaatakowana ekspedientka, wróciła już do pracy, nie bacząc na widoczny opatrunek na lewej dłoni.

– Nie wzięła pani wolnego?

– Tu mam więcej wolnego niż w domu z dwoma dziadkami pod opieką.

– Starsi, wiadomo...

– No i żyjemy coraz dłużej, w tym problem. W końcu dochodzimy do takiego momentu w życiu, że problemy przewyższają dostępne rozwiązania. Będzie trzeba o tym pomyśleć w przyszłości.

– Chciałbym panią jeszcze o coś zapytać.

– Może miałby pan ochotę przy okazji skorzystać z kontroli wzroku?

Zaprowadziła inspektora do pokoju obok i przed oczami Stucky'ego stanęła tablica z literami różnej wielkości.

Z uśmiechem usadowił się na fotelu, a dziewczyna wskazywała mu litery do odczytania.

– K...

Co mam panu powiedzieć, zaczęła, nie spodziewałam się czegoś takiego, nikt się nie spodziewał, rozmawiałam z dwiema innymi

dziewczynami, którym przytrafiło się to samo, są przestraszone, ale wciąż jakby nie dowierzały, jakby to był jakiś błąd czy coś. Tak, ten wariat zaszedł mnie od tyłu, chwycił mnie za ramiona. Jakie to litery?

– Wydaje mi się, że „O” i „B”...

– Nie, to „C” i „P”.

– Chwycił panią mocno? Chodzi mi o to, czy wydawał się pani osobą o dużej sile fizycznej.

– Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć... zaskoczył mnie, byłam jak sparalizowana... to wszystko stało się naprawdę bardzo szybko.

– Kiedy się pani odwróciła, uciekł.

– Tak.

– Boi się pani?

– Zrobiłam się bardzo czujna. Niech pan usiądzie tutaj, zajrzemy do oka.

Astygmatyk i odrobinę krótkowidz.

W kweturze czekał na niego Landrulli. Sprawdził najbliższy krąg znajomych Eleny Ricci, paręnaście osób płci obojga, w większości studentów, jednego mechanika, jednego przedstawiciela handlowego firmy krawieckiej, jeszcze jedną ekspedientkę. Wszyscy w związkach, wszyscy normalni.

– Maniacy?

– Zasięgnąłem dyskretnie informacji u sklepikarzy handlujących blisko mieszkania rodziny Ricci: nic interesującego.

Wszyscy są zaniepokojeni tym atakiem.

– I co mówią?

– Że to musi być jakiś maniak. Zapytałem: jaki typ maniaka?

I wie pan, co mi odpowiedzieli?

– Wsiok z południa albo obcokrajowiec...

– Dokładnie tak! Skąd pan wie?

– Ech! Kwestor z pewnością nie podziela tej opinii.

– Na temat maniaka?

– Na temat obcokrajowców. Według kwestora mają coś lepszego do roboty niż atakowanie naszych ekspedientek.

– Kwestor ma pewnie swoje źródła informacji...

– A jakże! To my ich mamy niewiele, drogi Landrulli. Ale teraz trzeba się posilić. Nie chcę, żebyś płakał za Parmą.

Po krótkim spacerze Stucky zaprowadził go w miejsce, gdzie schodzi się Cagnan i Sile, do Trattorii Al Dante.

U nas się naprawdę dobrze je i pije, powiedział, siadając przy stoliku. To miasto rozpieszcza człowieka, nawet za bardzo. I taka seria ataków wydaje ci się jeszcze bardziej irytująca, może odebrać apetyt albo pogodę ducha.

– A jednak, Landrulli, to wciąż są bardzo wstrzemięźliwe napaści.

– Może to ostrożny maniak.

– Znasz wielu ostrożnych maniaków? Miałeś takich w Neapolu czy Parmie?

– Co tu mogę zamówić, inspektorze?

– Ravioli z radicchio, potrawkę z koniny w radicchio, radicchio z Castelfranco na przystawkę i ciasto z radicchio.

– Wszystko z radicchio?

– Jest też grappa z radicchio. Nie chcesz się zaaklimatyzować?

– No przecież, inspektorze.

A dla mnie, powiedział, puszczając oko do kelnerki, porządna porcja duszonej gęsi i polenta.

– Dla pana gęś, a dla mnie radicchio.

– Właśnie. I dwa kieliszki prosecco, bo świętujemy – dodał.

Świętujemy na cześć cholesterolu, powiedział Landrullemu. Nieustępliwa bestia, uczepiła się mnie, kiedy żyłem sobie wygodnie w kwesturze w Wenecji. Grzech dobrobytu.

– A nie stres, inspektorze?

– *Antimama!* Jaki stres? W Wenecji siedziałem najczęściej w kasynie, od czasu do czasu jechałem do Mestre albo do Marghery. Niewiele do roboty. Jeśli miałem ochotę, szedłem w teren, na piazza San Marco albo na Zattere. Wiosną i jesienią jest więcej słońca niż przestępców. Potem coś poszło nie tak i przez dwa lata każdego ranka wsiadałem do pociągu na dworcu Venezia Santa Lucia i jechałem do Treviso, a wieczorem do tego samego pociągu z powrotem, dzień w dzień. Trzy lata temu znalazłem mieszkanie tutaj, przy vicolo Dotti, jeśli cię to interesuje...

Kelnerka przyszła z misą radicchio.

– Oto pańska gęś, inspektorze.

– Doprawiona?

– Olejem orzechowym, tak jak zwykle.

– Przecież to jest radicchio! – wykrzyknął niepocieszony Landrulli.

Na schodkach piazza dei Signori ślepiec Checo Malaga prosił małego Alego, żeby przyniósł mu coś ciepłego. Chłopak się migał, skacząc w górę i w dół po schodach, kręcąc się wokół mężczyzny, który wyczuwał jego ruchy i narzekał na jego zachowanie. Para uspokajała się natychmiast, kiedy idący przez plac przechodnie zbliżali się do strefy zbierania jałmużny. Wówczas chłopak podstawiał kapelusz, a Checo prostował plecy, przybierał wyraz twarzy człowieka noszącego swą chorobę ze stoicką nonszalancją, niczym ranę, która nie zdołała nawet zadrasnąć jego wnętrza. Dzięki wrażliwości na zapach, brzmienie kroków i niedostępne percepcji zwykłego śmiertelnika fluidy Checo zawsze wiedział, kiedy zacna dusza upuszczająca monetę do kapelusza jest kobietą. Niekiedy, wiedziony jakimś niezrozumiałym mechanizmem preferencji, szeptał do Alego, by zrobił fotografię, a ten

błyskawicznie wyciągał spod kurtki aparat fotograficzny, z tych, co robią zdjęcia bez potrzeby ustawiania parametrów, i uwieczniał ofiarodawczynię.

Stucky z niedowierzaniem patrzył na taką właśnie scenę, a następnie podszedł do chłopaka:

– Hej, mały! Pokaż mi to! – powiedział, wyciągając rękę po aparat.

– Ale ja nic, proszę pana, nic... – odpowiedział Ali, chowając się za plecami Checa Malagi.

– Panie inspektorze, o co chodzi?

– Mały robi ludziom zdjęcia z ukrycia.

– Musiało się panu wydawać.

– Otóż nie, widziałem to wyraźnie.

– A nawet jeśli? Czy to przestępstwo?

– Nie powinno się tego robić.

– Niech pan da spokój, inspektorze. Przecież tyle ważniejszych rzeczy ma pan na głowie...

Chłopak schronił się za plecami mężczyzny niemal w całości, widać było tylko kawałek głowy z ciemnymi oczami wpatrującymi się w inspektora.

– Tak nie wolno robić – powiedział Stucky.

I zwracając się do niewidomego, dodał:

– Pan zna którąś z zaatakowanych dziewczyn?

– Ja tu znam wszystkich.

– Coś się o nich mówi?

– Pyta mnie pan, czy ktoś się tu do mnie kiedy przysiadł, żeby mówić w dziwny sposób o ekspedientkach?

– Mniej więcej.

– Masa ludzi ma różne myśli na temat ekspedientek.

– Ktoś, kto lubi sobie pobiegać.

– Nikt mi nie przychodzi na myśl.

– Niech się pan zastanowi.

Stucky wysłał Landrullego, żeby zrobił wizję lokalną w okolicach sklepów, na które Klema mógłby mieć chrapkę. Przy okazji chłopak zacznie poznawać miasto. Naturalnie na tyle, na ile dało się je poznać. Przede wszystkim jednak chciał go mieć na jakiś czas z głowy: zbliżanie się do siebie jest procesem wymagającym dozowania obecności w homeopatycznych dawkach. Lucio Martini był dobrym kolegą, porządnym gościem w prawdziwym sensie tego wyrażenia, sensie, który on sam dobrze znał. Umarł młodo, jego pogrzeb był zaskoczeniem, dopiero co dostał kredyt na mieszkanie. Może to była przyczyna? Zresztą, jak to sprawdzić? Statystyka powinna lepiej wykonywać swoją robotę.

Policjanci nie umierają lepiej od przestępców, taka była gorzka konkluzja. Nie ma do zdobycia żadnego pozaziemskiego bonusu, a tym bardziej doczesnego. „Kodeksy nie chronią cię przed życiem, to zbyt skomplikowane dla prawodawcy”. To naturalnie Martini, tydzień przed śmiercią.

Otrząsnął się. Jego spojrzenie raz jeszcze powędrowało ku sklepowym witrynom i wydało mu się, że te wzdymają się i puchną. Całe historyczne centrum miasta nabrzmiewało od wszelakich dóbr, swetrów, pierożków *agnolotti*, książek i blenderów zagarniających przestrzeń przeznaczoną dla szopek: jakieś niepokieszone Dzieciątko Jezus rozkładało ręce nad ekspresem do kawy między wzgórzem rajstop a pagórkami majtek, resztką pasterzy i pasterek, magów i wielbłądów rozproszyła się wśród kryształowych kieliszków i przenośnych komputerów.

Jakby gigantyczny strumień krwi wydał całe miasto niczym balon, jakby jakaś kolektywna erekcja popychała nie w stronę boskiego złóbka, ale do kasy, i nie kończyła się zachwytem i osłupieniem wobec cudu, lecz paragonem fiskalnym.

Skierował kroki w stronę kvestury, wyobrażając sobie (najczarniejsza z myśli), że wzywa go biskup Treviso we własnej osobie, aby prosić, by zadbał o bezpieczeństwo wszystkich w czasie przedświątecznych zakupów. Zamiast tego zatelefonował do niego kvestor z informacją, że lokalna prasa i telewizja powiadomiły go uprzejmie, iż zamierzają nagłośnić sprawę i że rozpęta się piekło, przynajmniej w środowisku tych, którzy kupowali jeszcze gazety.

Odwiedzał wuja Cyrusa nie tylko z racji pokrewieństwa. Z Ponte della Malvasia, parę kroków od sklepu z dywanami, Stucky kontemplował zawsze fasadę starej kamienicy: w całym mieście nie było drugiej kamiennej ściany, która tak by mu się podobała. Szlachetna dekadencja szorstkiej ściany, balkon, lukarna wzięta w posiadanie przez gołębie, długi przewód kominowy, który zakorzeniał się w murze i wyrastał ponad dachem, jaśmin porastający balkon po prawej, resztki warkocza czosnku i siatka zapomnianych pomarańczy w oknie na najwyższym piętrze. Całość budząca w nim sympatię, zakłęcie czasu i nieporządku.

Zapukał do drzwi sklepu.

– Rozmawiałem wczoraj z gościem od „Uniwersytetu Papug”...

– No i?

– To zwierzęta, które trzeba traktować z pewną dozą surowości  
– stwierdził Stucky.

– Rozumiem. Nie byłeś gotowy na konfrontację.

– To fatalny czas.

– Wiesz, co mam ci ochotę powiedzieć, bez obrazy?

– Co takiego, *dada*?

*Dai* Cyrus wziął z miseczki pistację i włożył do ust. Miał wrodzoną zdolność jedzenia ich z gracją, która przyprawiała inspektora o zazdrość.

– Co się dzieje z człowiekiem, który uważa się za bardziej nieszczęśliwego, niż jest w rzeczywistości?



Znał odpowiedź, ale czekał w milczeniu.

*Dai* Cyrus wyciągnął nogi, uważając, by mokasyny nie zniszczyły dywanów.

– Otóż dzieje się to, że dwa kije zstępują z nieba. Pierwszy wciska się w siedzenie nieszczęśliwego człowieka...

Wiedział, że teraz należy zadać pytanie:

– A drugi?

– A drugi patrzy i czeka.

*Kocham muzykę, panie doktorze. Moje ulubione zespoły to Pink Floyd i Genesis. Pierwsza ciężarówka z odpadami przyjechała z Rovigo, kiedy na cały regulator rozległo się If Floydów: If I Were a Swan... Kazałem zainstalować w biurze porządną aparaturę stereo z głośnikami na zewnątrz, żeby dodać życia otoczeniu.*

*Byłem na koncercie Floydów w Bolonii. Stałem daleko od sceny, ale światła i latające świny zrobiły na mnie ogromne wrażenie. I podobało mi się, że stoję tam, wśród fanów, jakby naprawdę coś nas łączyło, ta sama muzyka, te same marzenia, to samo odkrycie zespołu, pierwszego, który zrobił na mnie takie wrażenie, odkąd razem z kolegami zwiąłem z lekcji i poszliśmy do domu jednego z nich i słuchaliśmy starych Floydów, A Saucerful of Secrets i Careful with that Axe, Eugene, i zacząłem śnić o Eugene, kiedy inni rozmawiali i palili, o Eugene i jego siekierze, widziałem tego gościa o wielkiej głowie i rozczochranych włosach, żółtych i suchych, i o mięsistych wargach, który biegał po wielkim domu, wbiegał i wybiegał z pomieszczeń, wielkich ciemnych pomieszczeń wytapetowanych na zgniłą zieleń, z masywnymi drewnianymi stołami świeżo pomalowanymi na czarno, Eugene wchodził i wychodził, jakby czegoś albo kogoś szukał, i od czasu do czasu nieostroźnie rozbijał coś tą siekierą: uważaj, Eugene! I rozpadał się ceramiczny wazon, kryształowy dzban, szyba w oknie; o, teraz*

*Eugene wychodzi na zewnątrz, do wielkiego ogrodu pełnego drzew, do bezkresnego ogrodu otoczonego wysokimi drzewami, a tam leży wielu ludzi, wielu ludzi wyciągniętych na słońcu, wygodnie leżących i czytających książki, tylko jeden nie czyta, ale śpi, i Eugene biegnie w jego stronę z tą swoją siekierą: uważaj, Eugene! Obudziłem się z ostatnim wyobrażeniem kawałka mięsa zamiast twarzy i strużki krwi spływającej po torsie, na którym wisały złote łańcuchy.*

*If I Were a Swan... o, tak...*

*Pamięta pan o Filibercie, analityku z laboratorium? Tamtego pierwszego dnia wyszedł z laboratorium jak żołnierz, wsadził sondę do wywrotki, by zebrać próbki do badania, i szybko pobiegł z powrotem, jak badacz walczący o nagrodę Nobla. Ja wziąłem potwierdzenie dostawy i zaraz potem pobiegłem z buteleczką prosecco na dno składowiska. Mama zważyła pojazd i wystukała należność. Babcia, choć z pewnym wahaniem, bo akurat walczyła z odbiornikiem radiowym, dała mu przejechać obok pompy wodnej, trzymając dyszę w pozycji prezentuj broń, gotowa już zająć się nim, gdy wyjedzie pozbawiony swego brzemienia. Na dole czekałem na niego ja, siedząc w kabinie spycharki. Człowieczek w kaszkiecie na łepetynie opróżnił swą wywrotkę z ciemnej i lekko wilgotnej brei. Otworzyłem prosecco z Valdobbiadene i wypiliśmy za pierwszą dostawę. Wiwat! Potem wsiałem na spycharkę i wyrównałem wszystko.*

*Grała muzyka, był piękny dzień, babcia słuchała radia Bellla & Monella, mama wystawiała faktury, Filiberta pochłoneły jego tajemne badania, a świat mienił się kolorami, w powietrzu latały turkawki, zbliżała się wiosna. Dobry czas na inaugurację składowiska odpadów. Przy bramie zobaczyłem też Gina siedzącego w swoim volvo 740, który pomachał do nas zza kierownicy. Kochany braciszek! Wiedziałem, że się pojawi.*

*Przez dwa miesiące nie mieliśmy nawet chwili spokoju i nawet ja, choć przecież na tym zarabiałem, zacząłem się zastanawiać: kto produkuje te wszystkie odpadki? Przybywały z każdego krańca Włoch, o każdej porze dnia, niektóre ciężarówki przyjeżdżały nawet w środku nocy i zatrzymywały się na placu przed składowiskiem; to wyglądało jak targ owocowo-warzywny, z tymi wszystkimi ciężarówkami, które o świcie zostawiają towar i zaraz jadą dalej. Postawiliśmy też automat do kawy, porządnie przymocowany do ogrodzenia, który w mgnieniu oka napełniał się monetami. Kierowcy ciężarówek to szczególny typ ludzi. Niektórzy są milczący i trochę śmierdzą. Inni mają rozbiegane oczy i nie przestają nawet na chwilę opowiadać o wypadkach, które widzieli, o swoich domach, o dziwkach na przydrożnych parkingach, o grze w karty na postojach, o jedzeniu, o wartości pieniądza, o jakości cappuccino. Niektórzy przynoszą ze sobą zapach wiatru wiejącego na wiaduktach, woń drogi przed deszczem, aromat górskiego powietrza w Apeninach. Przynoszą ci prognozę pogody, realne dane o inflacji i nie musisz już nawet otwierać gazety; mówią o aktualnym kursie walut i dzielą się okruchami odległego życia, które odrywają cię od pracy, i całe szczęście, że babcia nie może odejść od pompy, dzwonić do radia Bella & Monella i jednocześnie rozmawiać z kierowcami, bo to już byłby koniec. Niektórzy podrywają Antonietę, kiedy przychodzi do pracy na popołudnie, i muszę ich trzymać krótko. Zwłaszcza tych starszych, co im brzuchy sterczą znad paska i co noszą czarne, sfatygowane buty. Antonietta siedzi w spycharce i nie zwraca na nich uwagi. Ale jeden czy drugi co bardziej przedsiębiorczy wskakuje jej do kabiny, zaczyna pytać o to i owo, mówi, jaka jest zdolna, jak dobrze prowadzi i jakie ma piękne włosy, a włosy to jej słabość, i widzę, że mięknie, widzę to po tym, że nierówno przejeżdża po odpadkach, że zostawia za sobą pagórki, a ja potem muszę po niej poprawiać*

*i przez to wypadam z rytmu.*

*Później zaczęły się letnie upały. Prawie całkiem zapełniliśmy pierwszą parcelę. Jeszcze parędziesiąt ciężarówek i zastonimy całość folią, a potem przysypimy ziemią. Dogadałem się już z jednym rolnikiem, żeby przekazał mi wierzchnią warstwę swojego pola, zanim sprzeda ją facetowi od żwirowni. My, wydobywcy żwiru, zawsze aktywni, zawsze przedsiębiorczy! I właśnie wtedy przyjeżdża asesor od ochrony środowiska, bo wydzwanają do niego ludzie z zarządu prowincji, że wszystkie składowiska w regionie mają po brzegi odpadów komunalnych, i pyta mnie jak brata, czy mogę przysłać mi tu nieco komunalnych, dziesięć procent dziennej kwoty, całkiem legalnie, prawo na tyle pozwala. Ja drapię się po głowie: proszę mi pozwolić, panie asesorze, że nad tym pomyślę. Potrzebuję czasu, bo nad tą sprawą trzeba się dobrze zastanowić. Powinienem wiedzieć, jaka jest konsystencja materiału, jego gęstość, przestrzeń, jaką zajmuje, i czy cena jest wystarczająco konkurencyjna w stosunku do innych odpadów. Biorę się do obliczeń, nie czekając, aż Filiberto, którego poprosiłem o wsparcie techniczne, raczy mi pomóc. Bo ten nie zostaje nawet o nanosekundę dłużej, niż musi. O siódmej trzydzięci wieczorem wychodzi, wsiada do swojego bladoczerwonego renault 4 i odjeżdża. Waham się, bo za komunalne płacę dobrze, ale nie mam doświadczenia na tym polu. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co taki wybór oznacza. Czuję się niepewnie, bo chodzi o materiał, który zajmuje dużo miejsca, a miejsce to pieniądz, miejsce, nie czas, bo czas to tylko ludzki wynalazek! Poza tym to są substancje organiczne, problematyczne, jak to mówimy w branży.*

*Ale jak tu powiedzieć nie, gdy ma się choć minimum postawy obywatelskiej i kiedy asesor od środowiska dzwoni do ciebie co godzinę, bo już coś obiecał jakiejś grubej rybie z zarządu prowincji.*

*No i zaczynają przyjeżdżać śmieciarki i nawet nie trzeba im robić analizy chemicznej. Przemykają wśród innych ciężarówek, tym swoim dziwnym wyglądem odróżniają się wyraźnie od reszty, i zrzucają kaskady czarnych nabrzmiałych worków. Ja i Antonietta szybko je rozgniatamy. Skrzypią, pękają i rozlewają swoje wnętrzości. Gąsienice spycharek jęczą, ślizgając się po ich powierzchni. Odrażająca masa kawałków pizzy, opakowań mrożonek, liści kapusty, wszystkich gatunków brokuła, polenty, wkładek higienicznych, grudkowego beszamelu i rybich ości. Antonietta ma dość tego smrodu i wyskakuje ze spycharki, która przez chwilę kręci się wokół własnej osi jak bączek do zabawy. Zatrzymuję ją. Po raz pierwszy widzę na jej pyzatej twarzy spływającą łzę.*

*„Więcej tu nie wrócę”, szlocha.*

*Daję jej w twarz. Ale stało się, naprawdę już więcej nie przyszła. Nie było rady. Zaczęła wymiotować i co zjadła, to zaraz zwróciła. Potem w ogóle przestała jeść i zrobiła się chuda jak patyk.*

## 9 grudnia

A co, jeśli Klema był katolickim integrystą trawionym obsesyjnym pragnieniem ukarania sprzedawczyń, bezpośrednio służących konsumpcjonistycznej orgii towarzyszącej świętom Bożego Narodzenia?

Powinien już zacząć sobie wyobrażać tego Klemę: wszystko kazało mu przedstawiać go sobie jako postawnego, sprężystego gościa, typ nerwusa, który wietrzy okazję i działa, małego spontanicznego drapieżnika, który błyskawicznie zbiera potrzebne sygnały, wychwytuje to, co zasadnicze. Obiekt nie mógł być cierpliwy ani szczególnie dokładny, zresztą brał na cel łatwe ofiary, nie potrzebował precyzyjnego planu. Zatrzymał bieg myśli, prowadziły go coraz dalej od faktów. Jego wyobrażenia – i to go zdumiewało – buntowała się przed nadaniem sprawcy jakiejś konkretnej formy na podstawie dowodów, jakimi dysponował.

Na stole miał lokalną prasę z krzyczącymi nagłówkami. Obiecali i dotrzymali słowa. Telewizyjne wiadomości poprzedniego wieczoru buzowały niczym wstrząśnięte prosecco: wypowiedzi rodziny, przyjaciół, zwyczajowa sonda uliczna. Głupoty wyciągane od pierwszego z brzegu przechodnia.

Dało się czytać jedynie artykuł Alessiego:

Ekspedientki...

Pierwsze z nich spotykamy już w sklepach otaczających dworzec autobusowy. Nie w butikach prowadzonych przez rodziny ani w tych, które oferują towary dające się sprzedać przez szorstką

męską dłoń: sklepy myśliwskie, arsenały z japońską białą bronią, trafiki z ekspozycją fajek z wrzośca. Nie ma ich również w sklepach spożywczych, ponieważ pracujące tam osoby płci żeńskiej – zgodnie z wymogami norm sanitarnych zakryte różowymi fartuchami i chowające włosy pod czepkiem, co niszczy ich wrodzone piękno – nie należą, ściśle rzecz biorąc, do kategorii ekspedientek.

Zaczynają pojawiać się w sklepach z drobną galanterią, z bielizną, w perfumeriach, w zakładach optycznych. Z wdziękiem pokazują wam trzewiki, kozaczki i krawaty; rozpylają wam na nadgarstku miękkie obłoczki zapachu i dyskretnie wdychają jego bukiet; zakładają wam na nos okulary, okazując najżywsze zainteresowanie; sprawdzają odcienie podkładu pod makijaż, wyciągają się na drabinie, żeby zdjąć ostatnią koszulę z półki, i idą na zaplecze w poszukiwaniu ostatniej pary spodni o zdecydowanie nietypowym rozmiarze.

Ubierają się w harmonii z estetyką sklepu, na sportowo albo prowokująco, z mocnym makijażem albo bez, urocze, uśmiechnięte, czasem przesadne jak przedmioty, które sprzedają, wielkie pierścienie z bursztynem albo egzotyczne naszyjniki. O włosach kręconych, prostych, farbowanych na różne kolory. Łagodne, dyspozycyjne, zachęcające. Kto kupuje jakąś rzecz, otrzymuje także piękny uśmiech w darze. Są wśród nich postaci prawdziwie fascynujące: magnetyczna rudowłosa, która siedzi w perfumerii przy vicolo Calmaggiore i maluje paznokcie z gracją Tycjana; niewiele dalej, w stronę kościoła San Vito, para blondynek wietrzy prześcieradła i kołdry lekkie niczym obłoczek. Cały zastęp brunetek tańczy wśród płaszczy, jedwabnych parasoli i kabaretek na zapleczu piazza dei Signori.

Nie lekceważmy ich nigdy: cały pracowity geniusz naszej ziemi zdałby się na nic, gdyby zabrakło ich delikatnych dłoni, przemieniających zimny towar w użyteczne i błahe bawidelka, we wdzięczne rozpraszkajki.

Gdyby je wszystkie zebrać, mielibyśmy przed oczami paradę młodości. To będzie prawdziwie zły znak, jeśli kiedyś zobaczymy, jak ekspedientki posuwają się w latach i starzeją. Jeśli coś

złowieszczo zatrzyma ich odświeżającą i nieustanną wymianę. Kiedy w sklepach zadowolimy się rutyną. Kiedy ustanie oferta młodych spojrzeń i jędrnej skóry. Kiedy ten zachwycający dar, ten znak rozrzutnej obfitości i szlachetności wyschnie.

Może nigdy tak się nie stanie. Może od starych murów do stacji nadal będzie prowadziła zachwycająca droga przez kanały i place, mosty, piękne widoki i sklepy – stare i piękne oraz nowoczesne i kruche: te ostatnie jedynie ekspedientki zdolne są uratować od wulgarności.

Rodzice ostatniej z zaatakowanych, Eleny Ricci, powiedzieli mu, że jej siostra, niemieszkająca już z rodziną, pięć lat temu miała przykre doświadczenie. Była wtedy młodą ekspedientką w sklepie odzieżowym i posprzeczała się z klientem, a sprzeczka przeszła w fizyczny atak. Zdarzenie zostało zgłoszone policji i Stucky wyszperał z archiwum akta sprawy. Okazało się, że osobą atakującą była siostra dzisiejszej ofiary i klient wyszedł z tego na tyle solidnie poturbowany, że zdecydował się zgłosić zdarzenie. Skończyło się procesem i odszkodowaniem, choć dziewczyna motywowała swoje zachowanie odpowiedzialnością na nękanie ze strony klienta.

Dziewczyna opuściła krąg lepszych sklepów i zaczęła się przy lokalnym targowisku koło Porta San Tommaso, czynnym we wtorki i sobotę rano, a w pozostałe dni tygodnia pracowała na targu miejskim. Stucky zastał ją za stertą głów kapusty i porów grubości rurociągu. Poświęciła się handlowemu nomadyzmowi, który oglądał świt na ulicy i pił pierwszą kawę na niemal pustym placu. Stucky kupił kilogram mandarynek, dziewczyna pokazała mu każdą z osobna. Czy takie mogą być, proszę pana? Podobała mu się ta grzeczna życzliwość, pomarańczowe kule lądowały w papierowej torbie, było coś szczególnego w spędzaniu poranka w ten sposób, w kupowaniu nieco dalej świeżego sera asiago, a potem degustacji wina w barze na rogu. Doskonałe okazje do



tracenia czasu, spacerowania bez pośpiechu, rozmyślania, znał to z Wenecji.

– Signorina Ricci, prawda? – zapytał, zmylony powierzchownością kobiety, wyglądającej jakoś przyciężko w płaszczu i grubym szalu, a przede wszystkim zdradzającej pewien brak ostrożności w odżywianiu, który odróżniał ją od szczupłych sylwetek z centrum.

– Nic nie wiem o mojej siostrze – powiedziała kobieta, szukając spojrzeniem nowego klienta.

– Nawet tego, że została zaatakowana?

– Mniej więcej.

– Mniej więcej?

– Nie kontaktuję się z rodziną od dawna. Nie rozumiemy się.

– Zdarza się. Pani też doświadczyła agresji. To musi być straszne doświadczenie...

– Molestowanie. Zaczął mnie dotykać... ale nie sądzę, żeby te same intencje miał dureń, który zaatakował Elenę.

– Nie sądzi pani, że te dwie sprawy mogą mieć związek?

– Że to mógłby być ten sam gość? – roześmiała się kobieta. – Nie wiecie, jak się do tego zabrać, co? – dodała.

– Sprawdzamy wszystkie hipotezy.

– Doprawdy? A mojego stanu cywilnego pan nie sprawdził? Wie pan, za kogo wyszłam?

– Dobrze już, dobrze...

– Domyślił się pan, prawda? Za molestatora! Przynajmniej odszkodowanie zostało w rodzinie. Nie, serio: prześladował mnie, bo był zakochany po uszy. Okazja jedyna w swoim rodzaju. Nie, to nie ma nic wspólnego ze sprawą mojej siostry. Świat ekspedientek z centrum to coś całkiem innego. Wokół nich kręci się wszystkiego po trochu.

– Niech pani nie mówi: narkotyki, prostytutka, handel bronią

i organami.

Zobaczył, że się uśmiechnęła.

Zajął się siostrą Eleny Ricci, dobrze wiedząc, że nic to nie da. Jakby chciał odsunąć od siebie problem. Doświadczenie zdobyte przy rozwiązaniu sprawy zabójstwa małżeństwa Barbisanów, które zajęło mu zaledwie dwa dni i uczyniło sławnym w kwesturze, popychało go do zaglądania w najbardziej nieprawdopodobne miejsca. Doskonale umiał wykorzystywać do działania głupotę.

Miasto opasane bożonarodzeniowymi błyskotkami kierowało jego wzrok na kamienice, po stokroć już podziwiane, na ich wyższe piętra, jeszcze bogatsze i bardziej eleganckie, i przyprawiało go o rodzaj męczącego drżenia. W miarę jak zbliżał się do centrum, ulice zapełniały się przechodniami i narastało ożywienie kupujących: różnorodne plemię klientów rozlewało się na chodnikach, oblizywało spojrzeniami sklepowe witryny, porównywało kształty i ceny, oceniało relację towaru do głęboko ukrytej w sercu fantazji, przystawało z zaskoczeniem przed dziwaczną ofertą, nietypowym towarem, chciwie tłoczyło się wokół produktów zwyczajnych, podstawowych, nieodzownych: jak wśród tych wszystkich ludzi mógł znajdować się wariat, drań i łobuz, Klema?

Znalazł się kilka kroków od sklepu, w którym pracowała signorina Bergamin. Zajrzał przez witrynę, by zobaczyć, czy jest zajęta.

Przyglądał się, jak opakuje zakup na prezent, uśmiechając się nawet wtedy, gdy nie patrzyła na klienta. Ciekawe, czy to była nieprzerwana gra, czy kobieta naprawdę była zadowolona z własnej manualnej sprawności, ze srebrnego papieru, czerwonej kokardy, którą przytwierdzała, z biustonosza, który właśnie sprzedawała.

- Mogę przeszkodzić? – Wszedł, kiedy klientka opuściła sklep.
- Boimy się. Wszystkie.
- Domyślam się.
- O niczym innym się nie rozmawia.
- Czy zauważyła pani jakiś szczególny drobiazg, może ktoś wszedł do sklepu i zrobił na pani nietypowe wrażenie?
- Co ja mam panu powiedzieć? Żeby pan wiedział, ilu my cudaków codziennie oglądamy. Sądzi pan, że napastnik wchodził do wszystkich sklepów i nam się przyglądał? Każdej po kolei?
- To możliwe...
- Jakiś czas przed tym, jak zostałam zaatakowana, wszedł tu jeden mężczyzna, dwa razy z rzędu, szukał damskiej podkoszulki z napisem...
- Jakim napisem?
- Takim o miłości. Ale nie produkuje się ich przynajmniej od dwóch sezonów.
- To była dziwna prośba?
- Niezupełnie. Ale zachowywał się...
- Niech pani powie.
- Badał wzrokiem.
- Może mi go pani opisać?
- Średniego wzrostu, jakieś trzydzieści pięć lat, ubrany na sportowo, kasztanowe włosy, gęste brwi i... dwa sygnety na prawej dłoni, na palcu serdecznym i na małym.
- Pamięta pani, jak wyglądały.
- Dość ogólnie. Ten na małym palcu miał ciemny kamień, a ten drugi... był srebrny z takim wzorem przypominającym bluszcz.
- Dobrze, dziękuję. Do widzenia.
- Bywa pan jeszcze w tamtym klubie?
- Od czasu do czasu.
- Ja też.

Jak ją zdobyć? Nie, nie chodziło o to zawołane zaproszenie, które wciąż mu wirowało w opuszczonych zaułkach umysłu, ale o informację na temat klienta. Może Ricci, świeżo pobita, ma ostrzejszą pamięć. Zanim udał się do szpitala, pomyślał, że czas coś zjeść.

Bony obiadowe, które kwestura przeznaczała dla restauracji prowadzonych przez obcokrajowców, Stucky wydawał u Chińczyków. W chińskich traktierniach dla prawdziwych Chińczyków, rzeszy sprawnych robotników spędzających cały dzień w zakładach produkcyjnych. Bardziej nawet od jedzenia lubił ruch, okrągłe stoliki ustawione jeden obok drugiego, obserwował tam gesty, dłonie, roześmiane i hałaśliwe dzieci, podobał mu się sposób palenia niektórych mężczyzn, trzymających papierosa między opuszkami palców, jakby chcieli oddalić od siebie dymną duszę, zaciągając się w kąciku ust; nadzwyczajne były oczy niektórych; wąskie, zamknięte i uważne, poważne i radosne.

Sajgonki i pierożki gotowane na parze były szczególnie, kelnerka zachowywała się jak na sobotnim targowisku, była chłodna i pospieszna, zajęta rachunkami dającymi się przełożyć na ideogramy.

Traktierna, do której chodził, położona o krok od Porta San Tommaso, nie miała wielu podobnych jemu klientów i dzięki jakiemuś tajemnemu zmysłowi kobieta wyglądająca na właścicielkę odgadła, że jest policjantem, i za każdym razem dawała mu w podarunku drobiazgi, symboliczne łapówki, zółwie z fałszywego jaspisu czy papierowe parasolki.

Lepsze to niż grappa różana, tej po prostu nie był w stanie wypić.

– Glappa różana?

– Nie, dziękuję.

- Ale dobla jest glappa lózana.
- Nie, naprawdę.
- A to żółw na schrzęszcie...
- Skoro na szczęście, to jak tu takiego nie przyjąć?

Szpital był spokojnym miejscem, w gruncie rzeczy tak samo spokojnym, jak to miasto. Żywy obraz efektywności. Poszedł trasą, którą dobrze znał, pokonując schody piechotą. Signorina Ricci wyglądała wyraźnie lepiej, matka czytała jej gazetę.

- Stała się pani słynna – zaczął Stucky.
- Akurat...
- I widzę, że ma się pani lepiej.
- Jakież postępy w śledztwie?
- Minimalne.
- Tak myślałam.
- Czemu?
- Bo to zwariowana sprawa.
- Tak pani sądzi? Mogę spytać, czy w okresie bezpośrednio przed atakiem zauważyła pani jakiegoś szczególnego klienta?
- W jakim sensie?
- Nie wiem... niech mi pani powie.
- Nikt mi nie przychodzi do głowy... jest mnóstwo szczególnych klientów.

Stucky delikatnie podpowiedział:

- Ktoś z dwoma sygnetami na prawej ręce...
- Młody mężczyzna, jeden sygnet z ciemnym kamieniem... drugi jasny... jakby ze starego srebra...
- Pamięta pani?
- Przyszedł dwa albo trzy razy, szukał konkretnego produktu, którego nie mamy w ofercie...
- Czemu wracał kilka razy?
- Żeby zapytać, czy możemy go zamówić... od jakiegoś dostawcy

albo z hurtowni.

– Mogłoby to być całkiem normalne.

– Mogłoby.

Resztę dnia Stucky spędził na próbie wyostrzenia obrazu tego młodego upierścienionego człowieka, który zaczynał wyłaniać się niczym mina z dna rzeki. Wszystkie zaatakowane ekspedientki, które nie widziały nic więcej poza obuwiem agresora, na dodatek niejednakowym, po szczegółowym dopytaniu przypominały sobie męczącego klienta, poszukującego szczególnego rodzaju podkoszulka, ręcznie zdobionego skórzanego paska, spinki do krawata w kształcie konia, paska do zegarka marki Tissot sprzed trzydziestu lat.

Landrulli przyszedł do jego biura z przekonaniem, że odnalazł interesujące związki między zaatakowanymi ekspedientkami.

– Byłeś już dziś na lekcji trewizańskości? – zapytał go Stucky, zanim ten jeszcze zdążył wyciągnąć notatki.

– Opowiedzieli mi całą historię rzeki Sile od zamierzchłych czasów, i już wiem, co to jest „spokojne” wino. Bez bąbelków, inspektorze.

– Brawo. A więc mówisz, że ekspedientki mają coś wspólnego...?

– Powiedziałbym, że tak. Cztery zaatakowane i signorina Bergamin, ostatnia, która została zwyczajnie przez telefon. Jedynie pani Verzieri nie wziąłem pod lupę.

– Pani Verzieri możemy dać spokój.

Landrulli zaczął czytać o kolegium nauczycielskim, do którego chodziły dwie z napadniętych dziewczyn.

– Ale wiesz, że kolegia nauczycielskie zlikwidowali parę dobrych lat temu i zamienili na zwyczajne licea?

– Kolegia też? Ani Banku Neapolu, ani kolegiów nauczycielskich...

– Mów, co dalej...

Dwie niedoszące nauczycielki pochodziły z rodzin zaangażowanych w drogę neokatechumenalną. Dwie kolejne kilka lat wcześniej pracowały razem. Ostatnia należała do związku zawodowego i była honorową dawczynią krwi.

– Która należy do związku?

– Signorina Bergamin.

Landrulli pokazał mu wykres z rodzicami, rodzeństwem, narzeczonymi i najbliższymi przyjaciółmi. Jeden z tych ostatnich, bibliotekarz, mógł być elementem łączącym. Jedna z dziewczyn była regularną bywalczynią biblioteki, w której pracował; on sam był przyjacielem brata drugiej ofiary i kuzynem pierwszego stopnia trzeciej. Czwarta z zaatakowanych ekspedientek uczyła się w kolegium nauczycielskim razem z jego kuzynką: mógł ją znać, może widywał z daleka.

– Krótko mówiąc, te relacje wydają ci się wystarczające, by ustalić głębsze powiązania?

– Dokładnie tak.

– Jakiego rodzaju?

– A według pana?

– Landrulli, wiesz, jaka jest różnica między homologią a analogią?

– No... tak nie do końca.

– W takim razie spróbuję dopełnić twoją wiedzę. Co mają wspólnego skrzydła nietoperza ze skrzydłami motyla i skrzydłami ptaka?

– Wszystkie są skrzydłami...

– Otóż to. Innymi słowy, spełniają tę samą funkcję. A jednak nie mają ze sobą żadnego pokrewieństwa poza tym, że służą do tego samego celu. A co mają ze sobą wspólne ręce małpy i płetwy wieloryba?

– Nic, inspektorze!

– Tak właśnie myślałem. Tymczasem one są wobec siebie homologiczne, skrzydła zaś wobec siebie – analogiczne. Rozumiesz?

– Częściowo...

– Homologiczne oznacza, że choć rzeczy spełniają różne funkcje, mają podobną strukturę, która adaptuje się do różnych warunków, analogiczne zaś oznacza, że choć są różne, spełniają tę samą funkcję...

– Ach! Sugeruje mi pan, że elementy łączące nasze ekspedientki mogą być przypadkowymi zbiegami okoliczności, analogicznymi...

– Właśnie, Landrulli, gazu, gazu, niech mózg pracuje! Widzisz, że to działa...

– No to gazu! Ale gdyby zaatakowane ekspedientki się znały, nie byłoby potrzeby stawiania problemu analogii i homologii. Tak?

– Brawo!

Popołudnia uciekające szybko i zmieniające się w ciemną noc, gwiazdy wreszcie widoczne w zimne i suche wieczory, grudzień bez deszczu i czas, by wejść do cukierni, usiąść przy stoliku w sali lustrzanej, zamówić gorącą czekoladę i patrzeć, jak czas i życie banalnie pozerają kolejne Boże Narodzenie, lekceważąc sobie wszelkie świętowanie, bezlitośnie podążają dalej, zostawiając człowiekowi tylko udrękę – dziękuję, bez cukru – zresztą, czy bez udręki życie miałoby tę samą intensywność? Natomiast to nie ma nic wspólnego z ekspedientkami, one nie są winne tym dylematom ani nie znają na nie lekarstwa. To praca, powiedział sobie inspektor, podnosząc filiżankę i trzymając ją bez ruchu tak, by zasłaniała usta, patrząc sobie w oczy w lustrze, wciąż w płaszczu – nigdy pan nie zdejmuje płaszcza, inspektorze? Zawsze w pośpiechu? Potrzebuję miejsca, żeby przystanąć, troszkę posiedzę i już sobie idę. – Niespokojny wieczór. Nie powinien był dawać tej głupawej lekcji biologii Landrullemu. Nie zwrócił



wystarczającej uwagi na aż nazbyt oczywistą kwestię: jeśli dziewczyny faktycznie się znały, to zmieniało to całą sprawę! Młodziak miał rację, przełknij tę pigułkę bez popitki, powiedziałyby Martini, cześć jego pamięci. Durny umarłak. Durne ekspedientki...

Sklepy przedłużyły godziny otwarcia do dwudziestej pierwszej. Nie wydawało się, by historyczne centrum miasta pałało szczególnym pragnieniem, by skorzystać z okazji. Roje klientów wracały do domu, na kolację. Pozostawali tylko nieliczni spóźnialscy albo ci, którzy wyszli na ulicę po długim dniu pracy. Oświetlone sklepy były pustawe, a ekspedientki za kontuarami wyglądały jeszcze bardziej bezbronne.

Co ciekawe, jedynymi miejscami, które cieszyły się popularnością po wprowadzeniu nowego harmonogramu, były księgarnie. Klientów nie brakowało i wielu z nich zatrzymywało się między półkami, otwierało książkę i kartkowało w poszukiwaniu czegoś ekscytującego.

Krótko po dwudziestej pierwszej ekspedientki, niczym panny z baśni, gasiły światło, zostawiając w witrynach tylko blade jarzeniówki, zamykały zbrojone drzwi i opuszczały kraty. Inspektor mógł na własne oczy przyjrzeć się prostocie tych czynności, prędkiej pewności ruchów. Młode kobiety, widząc go między arkadami portyku, wzdrygały się, ale szybko dochodziły do wniosku, że to dyskretna ochrona, którą kwestura obiecała zapewnić po ostatnich napaściach.

Stucky rzucił okiem na ulicę, na rogu zobaczył patrol idący powoli wzdłuż linii sklepów.

- Odprowadzę was – powiedział trójce odchodzących spod sklepu dziewczyn, przedstawivszy się wcześniej. – Nie boicie się?
- Troszeczkę – odpowiedziały unisono, otulone szalami.
- W takim razie możecie być pewne, że jesteście chronione!

– Przez kogo? – zapytała najmniejsza, z wielką czarną skórzaną torbą na ramieniu.

– Przez służby porządkowe.

– Ach tak. Bardzo nas to uspokaja...

– Pani się ze mnie śmieje!

– Ależ nie!

– Myślicie, że sprawa was nie dotyczy. Mam rację?

– A chce pan, żebyśmy miały takiego pecha?

– A zaatakowane dziewczyny miały?

– Możliwe...

– A więc wierzycie własnemu szczęściu.

– A wydaje się panu, że to mało?

Zostawił je w miejscu, gdzie zaparkowały samochód. Pewnie, jeśli się zdarzy coś niefajnego, świat nie stanie w miejscu, pomyślał.

Ekspedientki...

Wzmocnienie patroli, zdaje się, przyniosło rezultaty, od czwartku dziewiątego grudnia do soboty jedenastego nic się nie wydarzyło. Nie można było wykluczyć, że napastnik zadowolili swoje pragnienia, osiągnął jakiś tylko sobie znany cel, uderzając w twarz biedną Elenę Ricci.

A może trafili na właściwy trop.

– W każdym razie trzeba pogłębić śledztwo – powiedział Landrullemu.

– W jaki sposób?

– Idźmy za twoją intuicją: zacznij deptać po piętach typowi, którego wskazałeś, i nie zostawiaj go nawet na sekundę.

– Mario De Pol.

– To jest twój element łączący, nie?

– A wie pan, że Conte wciąż mnie męczy i mówi, że mam pana poprosić o dwie rzeczy? Mówi: każ sobie opowiedzieć, jak genialnie

rozwikłał tajemnicę zabójstwa Barbisanów...

- A ta druga?
- Chce, żebym nauczył się wymawiać jedno zdanie.
- Znowu! *I ga igà i gai.*
- Właśnie! Ale jak pan...
- Trzeba dużo ćwiczyć.
- Proszę jeszcze raz powiedzieć.
- *I ga igà i gai.*
- To znaczy?
- A, to bardzo skomplikowane<sup>10</sup>.
- Tak jak sprawa Barbisanów?

*To prawda. Odpadki komunalne cuchną. Ale jeśli przywożą ci dziesięć procent całości, to ten smród stanowi tylko dziesięć procent tego, co wydobywa się ze stu procent odpadków komunalnych, czysta matematyka. Jeśli ktoś czuje przykry zapach, to prawdopodobnie dlatego, że ludzki nos jest zbyt wrażliwym instrumentem. To pewnie kwestia ewolucji. Rozróżniać zapachy milionów cząsteczek. Nadmiar, pewnie po to, żeby ci mniej obdarzeni też coś czuli, na pewno dlatego. Tak, że stary Cavasin, który miał dom paręset metrów dalej, po zawietrznej, zaczął wariować. Fakt, lato było zabójczo upalne. Na dnie wysypiska, między ciemnymi plandekami i gorącym materiałem czekającym na wystygnięcie, wśród warkotu ciężarówek i sycharek, przy radiu Bella & Monella grającym na cały regulator, tak że nawet Money Floydów nie było w stanie go zagłuszyć, mózg doświadczał czegoś na kształt Camel Trophy. Jedyne Filiberto w swoim laboratorium wydawał się niewzruszenie robić swoje. Intelktualista! My na dno kotła i z powrotem, a on na górze, otoczony lekkim powiewem chłodu. Ciekawe, do czego on był zdolny. Mówił mi, że między jedną a drugą analizą składu śmieci wymyślał reakcje odświeżające powietrze. „Potrafię wyzwalać*

reakcje endotermiczne”, mówił, żeby mi zaimponować. Ale ja patrzyłem do słownika i miałem wszystko pod kontrolą.

Zostawmy na boku upał, który dawał się nam we znaki. Najgorsza była materia organiczna, która ożywała natychmiast po rzuceniu. Skwierczała, wrzała, parowała i ulatywała niczym wałka przy najlżejszym podmuchu wiatru. Złorzeczyłem sobie, że nie posadziłem porządnej bariery z topól na brzegu składowiska, zatrzymałyby ten bezczelny wietrzyk, tę cieką strużkę powietrza, która nie wiadomo jak powstawała i schodziła północną ścianą wyrobiska, wsysała zapach śmieci, ogrzewała się w nich i unosiła, cicho, cichuteńko, aż trafiała do nozdrzy starego Cavasina, który dziewiętnastego lipca ze swojego balkonu posłał w naszą stronę parę kul ze swojej starej myśliwskiej dwururki. Zbyt daleko, by zaszkodzić. Przy panującym na składowisku hałasie nie słyszeliśmy nawet odgłosu strzałów. Gdyby nie radiowóz karabinierów, który od czasu do czasu patrolował okolicę, nic byśmy nie wiedzieli. Tylko że kulki, znajdujące się już w stadium wolnego spadania, zabębniły jak lekkie gradobicie o dach pojazdu władzy, zrobiło się zamieszanie, a ponieważ dom Cavasina był jedyny w okolicy, szybko dodali dwa do dwóch. Starzec, chociaż zarekwirowali mu dymiącą jeszcze dubeltówkę, wyparł się wszystkiego w żywe oczy i nie omieszkał wykorzystać okazji do złożenia na mnie skargi z powodu dokuczliwych zapachów. Wojskowi przyjechali nas przesłuchać, a my odpowiedzieliśmy, że nie, nie słyszeliśmy żadnych wystrzałów; nie, nie wydaje się nam, żeby zapachy były dokuczliwe, ale akurat wietrzyk powiał w stronę sierżanta, który o mało nie zemdlał. Później stary Cavasin utrzymywał, że wojskowi natychmiast oddali mu strzelbę i poradzili, żeby wybrał sobie stanowisko strzeleckie nieco bliżej wysypiska. Ale starszy sierżant był dawnym przyjacielem ojca i trzymał naszą stronę. Był z nami i dał nam odczuć wsparcie

władzy te dwa razy, kiedy staliśmy się obiektem tchórzliwego ataku. Jednej nocy ktoś przeskoczył przez ogrodzenie i zjechał po folii na samo dno (jeśli zjeżdżał na tyłku, to musiał go sobie poparzyć od tarcia). Na dole poruszał się jak ktoś doskonale obeznany z sytuacją. Znalazł miejsce, w którym składowaliśmy odpady z fabryk tekstylnych, i podłożył ogień. Anonimowy telefon zawiadomił karabinierów o pożarze. Starszy sierżant zadzwonił do nas w środku nocy. Razem z mamą pobiegliśmy na miejsce w samych piżamach. Łunę widać było z daleka. Wozy strażackie wezwane przez karabinierów zjeżdżały się z wyciem syren.

Otworzyłem bramę, wołając: „Ratujcie wysypisko!”. Po godzinie ciężkiej pracy ugasili pożar. Smród i zapach spalenizny był piekielny. Siedziałem na progu laboratorium i miałem ochotę rzucić to wszystko. Dowódca strażaków przyszedł do mnie z papierami do podpisania. Podał mi dokumenty, a potem otarł pot z czoła i z kieszeni kombinezonu wyciągnął cukierka. Papierek upuścił na ziemię. Nie poddam się, powiedziałem sobie wtedy. Jesteśmy ostatnim bastionem cywilizacji.

Drugi atak był bardziej symboliczny niż szkodliwy. Przy wejździe mieliśmy zamontowaną kamerę. Oczywiście nie była do niczego podłączona, ale wydawało się nam, że tyle wystarczy do odstraszenia potencjalnych wandalii. Któregoś ranka znaleźliśmy w jej obiektywie dłuto murarskie. Od tego dnia toczono przeciwko nam małą, ale nieustającą wojnę podjazdową.

Dziury w zewnętrznym ogrodzeniu, brama poplamiona farbą, gówno na placu, kura powieszona na tym, co zostało z kamery. Starszy sierżant robił naloty na Cavasinów, ale choć były podejrzenia, brakowało dowodów.

Poszedłem więc sam do starego Cavasina. Miał gospodarstwo odnawiane etapami, tak jak przychodziły pieniądze. Stary, ale dobrze utrzymany ciągnik, narzędzia, kury, gołębnik na dachu.

*Wielki orzech rosnący na rogu domu, betonowy chodnik, plastikowe żaluzje i wejście do mieszkania pilnowane przez psa łańcuchowego.*

*Przy wejściu, na wpół ukryty za zieloną zastoną, stał wielki chłopak z podejrzliwą miną. Nie musiałem się zbliżać, by widzieć, że mimo dziecięcej twarzyczki miał już swoje lata. Zdradzały go zmarszczki wokół oczu, bruzda na policzku i nieco zgasłe oczy. Kiedy zobaczył, że się zbliżam, schował się całkiem za zastoną, ale zrozumiałem, że ma zespół Downa, że jest jednym z tych, których rodziny trzymają w domu ze wstydem, i nie czułem się na siłach, by załatwić sprawę z Cavasinem. On już dźwigał swój krzyż, choć zastanawiałem się, dlaczego tak go drażni ta odrobina smrodu, skoro coś takiego ma na głowie. Może starzec widział, że przyjeżdżam, i przyglądał mi się teraz z któregoś balkonu. Pomyślałem, że zrozumiał mój gest, widząc, jak zawracam bez słowa.*

*Tymczasem dwa dni później, wieczorem, zamykam bramę wjazdową, a tu oślepiają mnie długie światła samochodu i tak świecą na mnie przez chwilę, aż w końcu przechodzą w tryb mijania. Widzę fiata sto dwadzieścia siedem, naszego narodowego gruchota, a za kierownicą dostrzegam masywną sylwetkę Cavasina. Zatrzymuję się i czekam na jego ruch, ale na wszelki wypadek ściskam w dłoni ciężki łańcuch, którym miałem zamknąć skrzydła bramy. Jak mi zacznie zawracać dupę, załatwię go jednym uderzeniem łańcucha. Stary opuszcza szybę, sklejoną chyba silikonem, bo się wykrzywia i piszczy.*

*„Jestem tu z powodu smrodu”.*

*„Jakiego smrodu?”, pytam.*

*„Jestem tu z powodu smrodu”, powtarza.*

*„Ja żadnego smrodu nie czuję”, odpowiadam, trzymając się swego.*

*„Bo masz gówno zamiast nosa. Ale mój wart tyle złota, ile ma milimetrów”.*

*W lot zrozumiałem i zgodziliśmy się na ciche odszkodowanie. Raz w miesiącu jechałem do tego downa i wręczałem mu trzysta tysięcy lirów<sup>11</sup>, które ten, zręcznym i wyćwiczonym ruchem, chował niczym urodzony iluzjonista. Jednego razu miał nawet odwagę twierdzić, że nic mu nie dałem.*

*„Nie cwaniakuj ze mną! Powiem ojcu!”, ale ten nic sobie nie robi, pokazuje puste ręce i chce pieniędzy. Nie dało się nic zrobić. Musiałem dorzucić trzy banknoty. Po dziesięć tysięcy.*

## 12 grudnia

– Nie wierzę – powiedział inspektor Stucky policjantowi, który przekazywał mu informację, ale to nie była prawda, spodziewał się tego, spodziewał się nieszczęścia, spodziewał się zwłok. Czuł się okropnie, że zostawił pracę na dwa dni, to był urlop uzgodniony dawno temu, kiedy jeszcze liście kasztanowców nie zmieniły koloru. Popełnił błąd. Dał się wciągnąć w sprawę ekspedientek wbrew sobie. Martini i może coś jeszcze oprócz niego zamienili go w strażnika wspomnień i chryzantem. No, Martini akurat chryzantem nie znosił.

*Antimama...* mruknął, wychodząc z kwestury prosto w mrok, szczypany zimnym wschodnim wiatrem zamiatającym ulice. Sklep znajdował się kilkaset metrów dalej, pokonał je tempem zakochanego dwudziestolatka, oczywiście dostał zadyszki, biegnąc wśród budynków rozżłoconych świątecznymi iluminacjami. To był sklep z odzieżą damską, luksusowy, jeden z tych, do których chodzą na zakupy prawniczki, prezeski, eleganckie panie.

Ciało zauważyła sprzątaczką, która jak każdego ranka weszła od zaplecza, gdzie była mała łazienka. Zajęła się jej sprzątaniem, a potem porządnie odkurzyła i umyła podłogę. Kiedy spojrzała w kierunku witryny, dostrzegła ciało kobiety, leżące u stóp palta w musztardowym kolorze.

Stucky spojrzał na zegarek, była szósta trzydzieści osiem rano. Przed sklepem zebrała się grupka gapiów, złożona z cierpiących



na bezsenność rannych ptaków, paru samozwańcych stróżów prawa, kilku psich opiekunów i rozespanego baristy. Wmieszawszy się między nich, inspektor dosłyszał „goła” i „czarna”. W witrynie zobaczył zakryte już ciało, spod palta wystawało ciemne ramię. Morderca musiał się napracować, by ułożyć ją w tej pozycji. Wszedłszy do sklepu i poleciwszy, by zasłonięto witrynę, zobaczył, że ofiara została ułożona na prawym boku, z lewą ręką podłożoną pod głowę i lewą nogą zgiętą w taki sposób, by zakrywała intymne części. Naga i sztywna, z ciałem obsypanym maleńkimi karteczkami, niczym białe płatki kwiatów. Stucky rozpoznał je natychmiast, to były bileciki ze złotymi myślami, wyjęte z tych samych co dotąd czekoladek. Zaskoczyły go włosy obcięte na pazia, które wydawały się nadal miękkie. Pomyślał, że na gapiach większe wrażenie zrobił kolor skóry niż włosy, nie było innych czarnoskórych ekspedientek w mieście.

Spojrzał na kolegów z kryminalistyki, zajętych swoją robotą i czekających na prokuratora. Dręczyła go ta scenografia wymyślona przez mordercę. Ubranie ofiary zniknęło. Nie było torby ani płaszcz. Tylko jej ciało wystawione w witrynie i nic więcej.

Nie wyważono ani wejścia od frontu, ani tylnych drzwi, wychodzących na wewnętrzne podwórze, do którego szło się pomiędzy przymierzalniami i małym magazynem. Nic nie sprawiało wrażenia, żeby majstrował przy nim włamywacz. Dał znać technikom, by je obfotografowali. Stucky pomyślał, że biedna dziewczyna została uduszona. Instynktownie uznał, że morderca wszedł od tyłu w chwili zamykania i że odczekał parę minut, by ją zaskoczyć. Inspektor nie zauważył oznak szamotaniny w sklepie, na półkach panował porządek. Cały lokal pozostawał nietknięty w swej elegancji, ubrania wisiały rzędami, powściągliwe i podstawowe kolory, delikatne jak obłoczek płaszcz, bluzki

i spódnice wyglądające tak, jakby miały się pognieść od samego patrzenia. Może właśnie dlatego, by nie burzyć tego ładu, morderca zabrał ubrania ofiary i wszystko, co do niej należało.

Zanotował wszystko w swoim notesie. Zbliżył się do sprzątaczk, która siedziała przygnębiona na progu sklepu. Była Rumunką, DOBRZE, ŻE JESTEŚ numer 1006, pachniała zupełnie jak Rumunka, ufarbowana na rudo i tłustawa. Jej narzędzia pracy zabrano już do przebadania. Siedzące na gzymsach gołębie zdawały się obserwować całą scenę, a ciekawskich przybywało z minuty na minutę.

– To nie jest pierwszy sklep, który pani sprząta, prawda?

– Przedostatni, proszę pana.

– Ile ich pani sprząta rano?

– Osiem, proszę pana.

– Same odzieżowe?

– Jeden ze środkami czyszczącymi, jeden z płytami, a reszta z ubraniami, proszę pana.

– Ma pani tylko klucz od zaplecza, prawda?

– Tak, proszę pana.

– Jak wyglądał sklep, kiedy pani weszła?

– Normalnie...

– Nic dziwnego?

– Nic, proszę pana.

– Od jak dawna pani wykonuje tę pracę?

– Od roku, proszę pana.

– Znała pani ofiarę?

– Nie, proszę pana. Ja znam tylko panią Veneziani, to ona mnie tu zatrudniła...

Spojrzał na kobietę odchodzącą w towarzystwie jednego z mundurowych i zamyślił się nad tym, jakim rodzajem człowieka może być morderca, który zapewne stanął obok nieżyjącej kobiety,

nie jedząc, nie paląc ani nie wkładając kaszmirowego swetra. Bo, pomyślał Stucky, nic nie znajdziemy w worku odkurzacza.

Była tylko ta garstka bilecików, pozostałości po czekoladowym obżarstwie, pięćdziesiąt dwie, jak powiedział jeden z techników, który je policzył. Teraz Klema wydał mu się kruchy, bardziej kruchy niż w poprzednich dniach.

Jeden z mundurowych uprzedził go, że zbliża się kierowniczką sklepu.

Opowiedział jej, co się stało, i zapytał, czy chce zobaczyć ciało. Gwałtownie pokręciła głową i inspektor postanowił zabrać ją do kwestury, daleko od całego zamieszania. Poprosił, by usiadła, przyglądając się uważnie jej zachowaniu. Widać było, że jest to osoba na poziomie sklepu, który prowadziła. Atrakcyjna blondynka lat około czterdziestu, spojrzenie przestraszone, ale błyszczące. Ubrana z powściągliwą elegancją, bez krzykliwości kolorów czy form, bez przesadnego pierścionka, nieodpowiedniego guzika, najdrobniejszej niedokładności szminki czy tuszu. Cierpiała, ale z gracją. Ścisnęła w dłoni małą chusteczkę, którą przykładła do nosa, jakby była nasycona zapachem rajy.

– Dobrze znała pani ofiarę?

– Nazywa się... Jolanda... Schepis. Pracujemy razem od dwóch lat. Odkąd przyjechała tutaj z Triestu...

– Od jak dawna prowadzi pani ten sklep?

– Od dziesięciu lat.

– I to nie pani zamyka?

– Otwieramy zawsze razem. Przychodzimy trochę wcześniej, żeby wszystko przygotować. Ja zazwyczaj wychodzę pół godziny przed zamknięciem. Tyle, żeby zdążyć jeszcze zrobić małe sprawunki. Jolanda jest absolutnie godna zaufania.

– Powiedziała pani: wychodzę zazwyczaj...

– Przez tydzień przed Bożym Narodzeniem nie, pracowałyśmy

razem do ostatniej minuty.

– Kto miał klucze do sklepu?

– Ja i Jolanda. Pani od sprzątanania ma tylko klucz od zaplecza.

– Nikt nie mógł go sobie dorobić?

– Nikt, o kim bym wiedziała...

– Czy drzwi od zaplecza są w ciągu dnia zamknięte?

– Zazwyczaj tak.

– A pani sprzątająca przychodziła każdego ranka?

– Jak najbardziej.

– Jak pani tłumaczy to tragiczne zdarzenie?

Kobieta długo milczała, jakby szukając czegoś w pamięci. Kilka razy zamykała oczy. Coraz silniej zaciskała palce.

– Nie ma wytłumaczenia. Wariat atakuje ekspedientki. Najpierw napaści, a potem, widząc, jak się sprawy mają, posunął się dalej.

– Widząc, jak się sprawy mają. W sensie, że nie było odpowiedniej ochrony.

– Przestanie?

– Mam nadzieję, że tak. Przypomina pani sobie jakiegoś szczególnego klienta w ostatnich dniach?

– Klienta... mężczyznę?

– Dokładnie tak. Macie chyba klientów, nie tylko klientki...

– No tak, mamy. Czasem przychodzą, żeby zapłacić. Niekiedy sami coś wybierają na specjalny prezent.

– Dla specjalnych relacji, jak się domyślam. Poproszę, żeby udostępniła nam pani informacje o tych klientach...

– Zobaczę, co będę mogła zrobić.

– Będziemy dyskretni, jeśli o to się pani niepokoi. Proszę mi teraz opowiedzieć jak najwięcej o ofercie.

– Przedstawili mi ją dobrzy znajomi. Pochodzi z Triestu, naturalnie jest adoptowana. Cudowna osoba. Czasem nieco

pochmurna, nie mówiła niemal wcale o rodzinie ani o przeszłości. Bardzo grzeczna wobec klientek, a także bardzo przekonująca.

– Klientki... nie miały nic przeciwko temu, że...

– Że była czarna?

– Właśnie.

– Do naszego sklepu nie przychodzi byle kto.

– Czy był ktoś, kto przychodził po nią albo odprowadzał ją rano do pracy?

– Nie, nikt. Przynajmniej nikt, kogo bym pamiętała.

– Spotykałyście się po pracy?

– Dlaczego pan mnie o to pyta, inspektorze?

Stucky patrzył jej w oczy, zielone jak morska woda, wydało mu się, że płyną w niej duchy.

– Żeby wiedzieć, czy miałyście wspólnych znajomych.

– Nie, każda z nas miała swoje życie.

– Czy jest jakaś szczególna cecha, którą trzeba się odznaczać w waszej pracy?

Kobieta z pewnym zaskoczeniem popatrzyła dłużej na Stucky'ego.

– Dobra postawa, prezencja...

– Uroda?

– Tak, panie inspektorze. Ale jeszcze bardziej trzeba mieć intuicję i zdolność uwodzenia.

– A więc zostajemy z niczym? – zapytał Landrulli, kiedy kobietę zabrano, by odwiedzić ją do domu. Dotąd przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu.

– Chciała nam powiedzieć, że ledwie się znały, że to tylko powierzchowna znajomość, że nie spotykały się poza pracą, żadnej szczególnej zażyłości...

– Ale wydawała się zanadto poruszona, jak na tylko taką znajomość.

– Prawda.

– A rodzina ofiary?

– Mieszkała sama. Rodzice są z Triestu i jak na razie, nie licząc formalności, zamierzam uszanować ich cierpienie.

– Z Triestu? A więc friulijczycy?

– Nie, julijczycy, Landrulli. Uważaj, bo to nie to samo.

– Inspektorze, za krótko tu jestem, muszę się jeszcze zaaklimatyzować...

– Chodźmy zobaczyć, gdzie mieszkała ofiara.

Ale najpierw, dodał, chodźmy zapytać signorinę Bergamin, czy znała tę Schepis.

Słabo, odpowiedziała mu kobieta, obracając na palcu wskazującym podwiązkę do sylwestrowej kreacji.

– Nie pokazywała się w towarzystwie.

– To możliwe, żeby ktoś taki jak ona pozostał niezauważony?

– Była typem samotniczki. Nie ona jedna zresztą. Poza tym czarna mniej się rzuca w oczy niż ładna blondynka...

Jolanda Schepis wynajmowała mieszkanie z oknami wychodzącymi na piazzetta San Parisio. Budynek z kamienną fasadą, przed którym stały stragany z owocami. Placyk, na którym bawią się dzieciaki, paru starców przysiadła na ławeczkach pod ścianą, zwłaszcza w słoneczne dni. Technicy kryminalistyczni zakończyli już rutynowe badania w mieszkaniu.

– A mamy klucz?

– No przecież, Landrulli, jak byśmy inaczej weszli?

To był całkiem przyzwoity apartament. Dwie łazienki, porządnie wyposażona kuchnia, salon o białych, niezagraconych ścianach, urządzona z powściągliwą elegancją sypialnia. Sto metrów kwadratowych.

Nie ruszamy niczego, pamiętaj, powiedział Stucky. Mamy wyrobić sobie zdanie o ofierze i spróbować się dowiedzieć, czy

morderca był tu po zabójstwie. Poza ubraniami ofiary Klema zabrał też klucze, powiedział inspektor, patrząc na fotografię dziewczyny wiszącą na ścianie. Było wyraźnie widać, że miała etiopskie korzenie. Twarz skomponowana z księżyców i półksiężyców, czarny księżyc oczu, biały księżyc zębów. Bez wątplenia bardzo piękna dziewczyna, uśmiechnięta, bez cienia smutku na twarzy. Oczy i usta mówiące tym samym językiem. Jolanda, dziewczyna z Triestu. Adoptowana ciemnoskóra dziewczyna, która trafiła do granicznego miasta i prawdopodobnie z niego uciekła.

Delikatnie otworzył szafę w sypialni, przyjrzał się bluzkom i spodniom. To były eleganckie ubrania, dobrze dobrane kolorystycznie. Zresztą to było oczywiste, biorąc pod uwagę pracę, jaką wykonywała. Spróbował wyobrazić sobie, jaki nosiła rozmiar, przypominając sobie zwłoki. Dość wysoka, wąska w talii, szczupłe ramiona. Czarny sweter, pierwszy na stosie złożonych ubrań, miał rozmiar XL na etykiecie. Za duży, pomyślał Stucky. Może nie należał do niej.

– Landrulli, zapamiętajmy ten szczegół, dobra?

W szafce na obuwiu stały zadbane buty, lubiła wysokie obcasy, nawet bardzo wysokie. Żadnych kozaczków. Chodziła dobrze, prosto, nie było szczególnych śladów zużycia na podszewkach.

– Mam to też zanotować?

– Nie, tego nie trzeba...

Kuchnia była jak nowa, mała spiżarka na to, co konieczne, kawa i cukier, sól, oliwa, parę paczek makaronu, sos pomidorowy w kartoniku. Żadnych owoców, warzyw, serów. W zamrażarce opakowania dań błyskawicznych. Jadła prawie zawsze poza domem, powiedział Stucky, to są zapasy na wszelki wypadek.

– Notuję?

– W głowie, Landrulli. Spokojnie...

– Mogę coś powiedzieć, inspektorze?

– A jakże.

– To bezosobowe mieszkanie. Nie ma kalendarza, porządnego obrazu, nawet telefonu...

– Może lubiła taki surowy styl. Teraz chodźmy popytać sąsiadów.

Mieszkanie naprzeciwko zajmowała pani Pitzalis, sędziwa kobieta, która nie chciała wpuścić przez próg Landrullego, kiedy usłyszała jego południowy akcent.

– Nie będę rozmawiać z obcokrajowcami, nawet jeśli mi pan wlepi mandat.

Nie podała wielu szczegółów. Owinięta szalem, blada i skurczona, jak stary imbryk z porcelany. Powiedziała, że niemal wcale nie rusza się z domu, nawet zakupy jej przynoszą na piętro. Nie знаła się z lokatorką z naprzeciwka, nie wiedziała nawet, że nie żyje. Przeczytała by to następnego dnia w „Il Gazzettino”. Może powiedzą o tym na mszy w kościele Świętego Franciszka, o ile dziewczyna była dobrą chrześcijanką. Po chwili zastanowienia dodała:

– Dobrych chrześcijan nikt nie morduje.

– A co w takim razie z Chrystusem?

– On nie był chrześcijaninem, on był Chrystusem.

Inspektor Stucky musiał następnie zapewnić staruszkę, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa i że do opuszczonego mieszkania nie wprowadzą się Chińczycy.

– Przez jakiś czas będzie zamknięte.

– Potem wprowadzicie tam Chińczyków.

– Nie, zapewniam panią, że nie. Co najwyżej może się tam wprowadzić mój kolega Landrulli.

– Przecież to wsiok z południa!

– Ale dobry człowiek.



Landrulli czekał na niego na klatce schodowej. Stucky powiedział mu, żeby się nie przejmował, stara żywiła zupełnie niemodną niechęć do południowców. Teraz, przy globalizacji, tacy jak wy, z drugiego brzegu Padu, staliście się już całkiem akceptowalni.

– Tacy jak my? A pan, inspektorze, z takim nazwiskiem?

– Ja jestem kryty z każdej strony. Urodziłem się w Wenecji, a moja matka pochodziła z Szirazu. W Persji. A jej ojciec był Ormianinem.

– Coś takiego! A pana ojciec?

– Ech, mój ojciec. Ten to się wszędzie urodził.

Treviso to rozkoszne miasto. Zdaje się, że zostało zbudowane i zachowane tylko po to, by podkreślić harmonię wód i budowli, zakamarków i panoram. By podprowadzić do sztuki. By urodzić artystów. Pokonywanie go powolnym spacerem zdaje się nie tyle ćwiczeniem fizycznym, ile estetycznym. Treviso jest najpiękniejsze w obrębie dawnych murów obronnych aż po linię Sile, schodzącą w stronę starych koszar.

– Widział pan wiele zabójstw, inspektorze?

– Przez ostatnie pięć lat tylko trzy sprawy. Z czego jedna nigdy nierozwiązana.

– Trudna?

– Może nie stanęliśmy na wysokości zadania. Często tak jest. Zależy od chwili.

– A więc także to pozostanie nierozwiązane?

– Płacą nam za prowadzenie dochodzeń, Landrulli. Nie za cudotwórstwo. Ani za tracenie czasu, jeśli już o to chodzi.

Doktor Panzuto, któremu powierzono przeprowadzenie autopsji, zadzwonił do Stucky'ego późnym popołudniem. Lekarz potwierdził śmierć przez uduszenie, prawdopodobnie około dwudziestej drugiej, i zapewnił inspektora, że ofiara nie była zgwałcona ani

nie doszło do wcześniejszego stosunku seksualnego. Ale jest jedna mała rzecz, powiedział lekarz.

– Dobrze by było, żeby pan tu przyjechał...

Inspektor Stucky zastał doktora Panzuta w gabinecie. Medyk drzemał w fotelu, z dłońmi na brzuchu i zwisającą mięsistą wargą. Obserwował go przez chwilę, wydawał się seraficznie wzniosły, jakby nigdy nie oglądał ciał i ich brzydoty, jakby nie profanował ich czaszek uderzeniami młotka firmy Stryker.

– Doktorze Panzuto!

– Widzę pana, inspektorze, proszę się nie martwić – odpowiedział mężczyzna, nie otwierając oczu. – Właśnie medytuję i nie mogę opuścić miejsca, do którego dotarłem.

– Po jakim czasie według pana morderca ułożył kobietę w witrynie?

– Nie dłużej niż dwie godziny od śmierci.

– Udusił ją... a ona się nie broniła... przecież nie należała do drobnych dziewcząt...

– Jeśli chce pan usłyszeć moje wrażenia...

– Ale bez szczegółów anatomicznych, bardzo proszę.

– Pan zawsze taki delikatny! Sądząc po stanie tkanki chrześnej tchawicy, powiedziałbym, że mamy do czynienia z przedłużonym podduszaniem, a nie gwałtownym duszeniem.

– Doktorze, czy to znaczy, że morderca zabił ją powoli?

– Musimy poczekać na wyniki badań toksykologicznych, ale mogę już powiedzieć, że kobieta musiała być poddana częściowej sedacji i że morderca, z okrucieństwa albo innej wrodzonej cnoty, nie spieszył się ani nie przesadzał z naciskiem.

– Wrażliwy typek...

– Ach, zapomniałbym o jeszcze jednym szczególe: miała wcześniej pobieraną krew... Jakieś cztery albo pięć dni temu. Nie spostrzegłbym tego, ale igła spowodowała małe krwawienie

i został po tym ślad...

Pozegnawszy doktora, inspektor wszedł do najbliższego baru, potrzebował kawy, na stojąco, w pośpiechu, połkniętej jednym haustem zaraz po wmieszczeniu cukru. Pozwolił, by łyżeczka ze śladem pianki espresso ześlizgnęła się z talerzyka na bar i rzuciła cień na lśniącą stal blatu.

Przy brzegu rzecznej odnogi błysnął pstrąg. Także tego roku nie udało mu się wejść do grona szczęśliwców, którzy otrzymali prawo do łowienia ryb na terenie miasta, farciarzy prowadzących woblery po wodnym lustrze i w tym samym czasie, kiedy zagonieni ludzie maszerują przez Pescheria albo wzdłuż brzegów Cagnan, zapominających o udręce tego świata. Znał kilku z nich, wiedział, jak uzyskuje się ten przywilej: przedstawiają wniosek do wydziału ratusza odpowiedzialnego za udzielanie koncesji wędkarskich, czekają na odpowiedź i jeśli znajdą się pośród pierwszych trzystu wnioskujących, idą sobie po południu albo w sobotę rano przez miasto z wędką, podbierakiem i wiaderkiem na zdobycz. Jeśli coś złowią, to dobrze, jeśli nie, wchodzi do osterii, opierają wędkę niedaleko wejścia albo siadają przy stoliku, patrzą na przechodniów i czekają, aż ktoś zapyta: Jak tam na rybach? Jak się panu udało zdobyć pozwolenie? I dawaj, chwalić się, tłumaczyć, że to wysiłek albo że to szczęście, a na pewno przywilej. Siedzący, uśmiechnięci, świat biegnie obok, a pstrągi nieruchomo unoszą się w wodzie z pyskiem zwróconym pod prąd.

Wróciwszy do kwestury, inspektor wyszperał dokumenty dotyczące ofiary. Wszystkie informacje, jakie różnym instytucjom w ciągu jednego dnia udało się zebrać na temat zmarłej obywatelki. Przeanalizował certyfikaty, książeczkę zdrowia z nazwiskiem lekarza prowadzącego, sytuację zawodową, cefalkę, dane z urzędu stanu cywilnego i z pracy najbliższej rodziny.

Przejrzał każdy z pięćdziesięciu dwóch bilecików rozwiniętych z czekoladek Baci pozostawionych na cieple Schepis. Jeden z nich zawierał wers z Rimbauda. Nienawidził Rimbauda. „Żyj i pozostaw ogniovi mroczne nieszczęście”.

Zadumał się długo, zanim w końcu poszedł do domu.

– Wujku, mogę cię zaprosić na kolację?

– Wolałbym nie.

– Jest rocznica śmierci mojej matki, twojej siostry, Parwane...

– Wiem, wiem... – *Dai* Cyrus otrząsnął się i poszedł przesunąć dywan w żywych kolorach.

– Wujku, proszę cię, to irańska restauracja i zapewnili mnie, że mają *halwa*, porządnie zrobioną...

– Mąka, masło i szafran. Ja wolę *tarhalwa*<sup>12</sup>.

– Słodysz na złagodzenie bólów ciężarnej kobiety. Rozumiem, *dada*. Wolałbyś, żebym ja i Silvia...

– Patrz w przyszłość.

– Dobrze. Ale teraz chcę tylko wspominać: *Szab-e sal-e maman Parwane*<sup>13</sup>.

– To dobrze, że wspominasz, to dobrze...

*Jedyne prawdziwe problemy, którym musiałem stawić czoła, to wyzwania biznesowe. Bo jeśli masz właściwe nastawienie, to problemy pomagają ci rosnąć, znajdować rozwiązania, są siłą rozwojową, która zmienia i udoskonala twoje zdolności. Tak jak cała sprawa z odpadkami komunalnymi i CavaSinem. Rzeczywiście, odpadki zawierające materię organiczną tworzą inne problemy niż odpadki spokojne, pozostałości produkcji fabrycznej albo bitum. Przekleństwem jest upał. Pod koniec lipca wietrzyk wędrujący od składowiska przez gospodarstwo CavaSina, połączone już ze sobą paktem pokoju, docierał aż do miasteczka, położonego dwa kilometry dalej w linii prostej. Smród roznosił się*

najchętniej wieczorem. Z powodu inwersji termicznej, jak stwierdził Filiberto. Masa śmieci nagrzewała się w ciągu dnia i wieczorem, kiedy powietrze ochładzało się szybciej, ciepło wznosiło się znad gór śmieci na zewnątrz, zabierając ze sobą zapachy uprażone w ciągu dnia. Na pierwsze domostwa miasteczka, na werandy albo stoliki pod gołym niebem, gdzie krojono arbuzy, opadał smród niczym legion chińskich wyrobów tekstylnych. Punktualnie o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. A przełamawszy przyczółki miejscowości, wdzierał się w lipowe aleje i rozchodził po ulicach zgodnie z nieprzewidywalną logiką, dzięki której dla części mieszkańców pozostawaliśmy porządną, ciężko pracującą rodziną, dla innych zaś, zamieszkujących okolice ulubionych szlaków smrodu, staliśmy się źródłem wszelkiego zła. Nieznane ręce pisały na murach placu nasze nazwisko, a obok niego „równa się rak”. Mama nie mogła wybrać się do miasta, by nie czuć na sobie pełnych złości spojrzeń. Sytuacja zmusiła nas do robienia zakupów w dyskoncie kilka kilometrów dalej, który przy okazji miał znacznie niższe ceny i nie mogę powiedzieć, że bardzo żałowaliśmy. Kościół i plebania zostały oszczędzone przez wonne zjawisko, ale też świątynia nie była odwiedzana w godzinach inwersji termicznej. Ksiądz Angelo nie miał więc powodu do narzekania i jego neutralność – zachowywana mimo nacisków tego i owego parafianina, by zajął w sprawie publiczne stanowisko – była dla nas ważna i pozwoliła stawić czoła problemowi. Odprawił też mszę w rocznicę śmierci ojca, na którą w geście sprzeciwu nie stawiało się wielu naszych znajomych, w homilii mówiąc o wyrozumiałości i miłości bliźniego, i nie było nawet trzeba strzępić języka, kiedy złożyłem ofiarę, odpowiednio zwiększoną w uznaniu jego uczytności.

Wzięliśmy jednak na siebie ciężar przyniesienia ulgi współobywatelom gminy i był to z naszej strony akt wrażliwości

społecznej. Z pewnością takie rzeczy nieczęsto się zdarzają. W tych stronach nie znalazł się żaden przedsiębiorca, który zachowałby się tak jak my.

Zainstalowaliśmy – i to za niemałe pieniądze – filtr cząsteczek, cwane urządzenie, rozpylające w powietrzu ciecz, która ściąga na ziemię cząsteczki zapachów i perfumuje powietrze. Skutek był wyraźnie odczuwalny, a przy tej okazji udało się wyplenić chwasty porastające wysypisko. Tylko mewy nie dają się zwieść sztucznymi zapachami. One widzą odpadki z wysoka lepiej niż systemy satelitarne.

Zlatują się. Bezlitosne. Grzebią jak kury na szczycie gór śmieci, chwytają w dziób rozkładające się odpadki, poruszając szyją, jakby mówiły „tak”, i nie da się przegonić ich nawet spycharką, bo mają doskonały refleks. Zainstalowaliśmy przeszkadzajki, coś w rodzaju armatek, które od czasu do czasu robią hałas. W rezultacie mewy zrywają się przy każdym wystrzale, ale zaraz lądują pięć metrów dalej, ani trochę nie przestraszone. Niekiedy strzelałem do nich z dwururki. Pięć, sześć strzałów w stertę śmieci. Gdybym się dowiedział, gdzie zlatują na noc, włożyłbym ubranie maskujące i wystrzelałbym co do sztuki, ale znikają o zachodzie słońca, a rano przybywają w tej samej liczbie.

Nauczyliśmy się współżyć z mewami. Podśpiewuję sobie piosenkę i staram się je ignorować, kiedy rzucają się za spycharką, by napchać się dopiero co zgniecionym żarciem. Wystarczy, że nasze spojrzenia się nie krzyżują.

Praca na składowisku zostawia mi bardzo niewiele wolnego czasu. Ale nie sądzę, bym miał wykonywać ją na zawsze. Średnia działalność wysypiska to około piętnastu lat. Za oszczędności chciałbym otworzyć działalność w Kenii albo Brazylii. Mam masę krewnych w São Paulo i wygląda na to, że całkiem nieźle się tam żyje. Mógłbym otworzyć restaurację. W Kenii to sam nie wiem.

*Podobają mi się czarne, ot co. Podobają mi się czarne dziewczyny, bo są proste, takie jak nasze kobiety kiedyś. Nie musisz się zastanawiać, jaki prezent jej kupić, o czym porozmawiać czy co masz na siebie włożyć, jak z nią wychodzisz. Żadnych komplikacji. Godzinka w sobotę wieczorem i wszystko gra.*

*Z biegiem lat kobiety zrobiły się skomplikowane. Widzę to w Antonietcie, a nawet mama też ma swoje zdanie i stara się je narzucić. Babcia nie, babcia jest z jednego kawałka ciosana. Patrzy na życie prosto. Gdyby nie to nieszczęście z dziurą w gardle, byłaby najlepsza. Tato też ją uwielbiał, nie na darmo była jego matką. Moją matkę, jeśli mam być szczery, uważałem za nabytą krewną, kogoś, kogo przyjęliśmy do rodziny, kto nie był z naszej krwi, to znaczy mojej i ojca, i babci, i Gina, i Antonietty. Tyle dobrze, że pracowała.*

*Aż do wypadku. W którym straciła nogi. Tysiąc razy jej powtarzałem: Kiedy ważysz wjeżdżające ciężarówkę, zanim wrócisz do biura, żeby wystawić im fakturę, poczekaj, aż ciężarówka się przemieści.*

*Dobry Boże! Mama miała robić tylko tyle: dać wjechać ciężarówce na wagę, spojrzeć, czy dobrze najechała, wejść do przybudówki i wyciągnąć karteczkę z odczytem z wagi, z tą karteczką iść do biura po drugiej stronie i przygotować fakturę. Zdaję sobie sprawę, że nieszczęście by się nie zdarzyło, gdybyśmy zbudowali biuro z aparaturą do odczytów z wagi. Mama nie musiałaby wtedy w ogóle wychodzić z pomieszczenia. Ale wydawało mi się, że w ten sposób czułaby się bardziej odizolowana, że te dwa kroki między biurem a wagą sprawią, że poczuje więcej życia. Poza tym wagę kupiliśmy używaną i nie dało się jej zmodyfikować. Jedynym niebezpieczeństwem w jej pracy było przemieszczanie się ciężarówek. Te czekają w kolejce do wagi i jak jedna zostaje zważona, to zjeżdża od razu, żeby zrobić miejsce*

*dla następnej. Mama musiała tylko uważać na jedno: żeby iść do biura, kiedy ciężarówka jeszcze stoi albo, najlepiej, dać jej zjechać, a potem iść do biura. Tylko że ona nabrała zwyczaju przechodzenia przed maską ciężarówki w chwili, kiedy kierowcy włączali silnik. Oni brum, a ona siup! No i jeden taki z Bergamo, z tych, co mają te czapki z daszkiem jak taras hotelowy, ruszył, wciągnął mamę pod koła i połamał jej nogi.*



## 13 grudnia

Biała bluzka z niedużym dekoltem powiewała z klamki w drzwiach sklepu z sukniemi ślubnymi. To zrozumiałe, że ekspedientka się zaniepokoiła.

Stucky stał sztywno z gazetami pod pachą, dręczony dwojaką ciekawością: co będzie na pierwszej stronie i co miała na sobie biedna Schepis dwa dni temu.

To mógł być zarcik Klemy, pomyślał, rozwiązując węzeł łączący rękaw bluzki z klamką.

Szybkim krokiem ruszył do kvestury, ściskając gazety i bluzkę.

Zatelefonował do pani Veneziani, która podjęła wysiłek przypomnienia sobie, jak była ubrana Schepis ostatniego wieczoru, tak, biała bluzka, tak, ten model.

Spadły mu na chodnik gazety. Podnosząc je, rzucił pospiesznie okiem na tytuły wielkimi literami: „Morderstwo młodej ekspedientki” i „Złowieszczy cień nad świętami w mieście”.

Dopiero w kvesturze udało mu się spokojnie przeczytać: tylko na marginesie wzmiankowano, że kobieta była ciemnoskóra. Musiał wymienić parę uwag z kwestorem, zaniepokojonym, choć niedostrzegającym żadnego niebezpieczeństwa natury rasowej.

– Pozostałe ekspedientki były białe.

– Ale ta jest czarna. Uważa pan, że to przypadek? – zaoponował Stucky.

– Pan niech traktuje tę sprawę zwyczajnie. Nie ma tu nic szczególnego. Dla nas wszyscy zmarli są tacy sami.

– Dla nas tak. A dla mordercy?

Kwestorowi wyraźnie podniosło się ciśnienie. Stucky z zadowoleniem wyszedł z jego gabinetu.

Sekretarz biskupa telefonował wielokrotnie do kwestora i w końcu uzyskał możliwość bezpośredniej rozmowy z odpowiedzialnym za dochodzenie:

– Zbliża się ważny moment dla naszej społeczności.

– Jestem tego świadomy.

– Boże Narodzenie może zostać zakłócone przez wydarzenia takiej natury...

Stucky pomyślał, że Boże Narodzenie widziało już niejedno, choć bezdyskusyjnie należało uważać je za pozostające poza wszelkim podejrzeniem.

– Mam nadzieję, że święta Narodzenia naszego Pana odbędą się zgodnie z tradycją: w pogodnej atmosferze.

– Ja również mam taką nadzieję.

– Wiem, że pracuje pan dzień i noc i nie będzie się wahał zaangażować z najwyższą determinacją...

Niewiarygodne, jak go karcił, chwając jednocześnie. Prawdziwy profesjonalista.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Jestem pewien, że to wystarczy.

Kręcąc głową, Stucky otworzył kartkę, którą przysłał mu patolog. Doktor Panzuto pisał, że zanim Jolanda Schepis została zamordowana, wypła nieco wina i przyjęła środek usypiający. Morderca nie chciał, by się przeraziła w chwili umierania.

Zatelefonował do lekarza rodzinnego, który opiekował się ofiarą. Widział ją tylko raz i dość dawno temu. Zdrowa jak ryba.

Wyszedł. Stając na środku podwórza za sklepem, w którym zginęła Schepis, Stucky próbował wyobrazić sobie tę scenę: Jolanda czekała na Klemę w sklepie, on miał ze sobą butelkę, dwa

kieliszki i środek uspokajający.

Popatrzył na ślepe mury okalające podwórze, zacieki na tynku i dwie bramy, jedną prowadzącą przez główne wejście budynku na modne ulice i drugą prowadzącą do sąsiedniej kamienicy i wychodzącą na kolejne anonimowe podwórze.

Może Klema miał klucz do tylnych drzwi, może zapukał i miał miły głos...

Włożył sobie do ucha słuchawkę i włączył odtwarzacz z relacją Landrullego, który przez całą sobotę śledził Maria De Pola.

*...I ga... raz dwa trzy, raz dwa trzy, próba mikrofonu... I ga igà... godzina dziewięta trzydzieści, obiekt wychodzi z domu i wsiada do swojego samochodu marki Ford Focus, kolor czerwony, lekkie wgniecenie na tylnym zderzaku, daje znak kierunkowskazem i przepisowo włącza się do ruchu, jadę za nim obwodnicą, skręca w prawo, w kierunku Castel... Castelfranco, przejazd kolejowy zamknięty... I ga igà... nie pamiętam, jak było dalej, jedziemy dalej, obiekt prowadzi ostrożnie i równo, zgodnie z przepisami...*

Stucky przewinał dobry kilometr taśmy do przodu.

*...stoimy na przejeździe kolejowym... I ga... Teraz rusza z piskiem opon, przekracza ograniczenie prędkości o dwadzieścia na godzinę, skręca w lewo, w długą aleję wysadzoną drzewami, zgubiłem się w terenie, jest coraz mniej domów, a coraz więcej drzew, wszystkie bezlistne, włączył kierunkowskaz i zatrzymuje się przed drewnianym domem, trochę zaniedbanym, muszę jechać dalej, za chwilę zawrócę... I ga igà igà... może nie, o, samochód dalej stoi, obiektu nigdzie nie widać, wychodzę się rozejrzeć, przed domem jest wywieszka, to jest park...*

Obiekt naturalista!, wyrwało się Stucky'emu, który dobrze wiedział, o jakie miejsce chodzi. Wjechał w jedno z miejsc parku krajobrazowego rzeki Sile, pewnie po to, żeby fotografować olchy.

Jeśli nie spostrzegł, że śledzi go Landrulli, ma się rozumieć, i nie zabrał go na spacer po urokliwych okolicach Treviso.

Ponownie włączył rejestrator.

...nie mogę zatrzymać się w tym miejscu, jestem za bardzo widoczny, będę czekał na obiekt na skrzyżowaniu, z którego zjechaliśmy, jest dziesiąta dwanaście. Jest dziesiąta czterdzieści pięć i wciąż go nie widzę. Jest jedenasta dwadzieścia. Widzę go: jedenasta dwadzieścia siedem, wraca. Jadę za nim...

Zatelefonował do Landrullo.

– Przesłuchałem część przedpołudniową. Streść mi, co się działo później.

– Wrócił do domu. Nie ruszył się aż do szesnastej. Potem poszedł do centrum na zakupy.

– Świetnie. Zanotowałeś sklepy?

– Bielizna dziecięca, cukiernia i obuwniczy. Kupił czekoladki, cukierki i coś w sklepie dla dzieci...

– Prezenty. Sprawdziłeś jego sytuację rodzinną?

– Nie jest żonaty, ojciec zmarł trzy lata temu, ma dwóch braci, jeden mieszka w Genui. A drugi w Feltre, dwa lata temu się ożenił i ma małe dziecko, dziewczynkę.

– A co kupił w obuwniczym?

– Kazał sobie pokazać parę modeli, ale... wie pan, gdzie jest ten sklep?

– Niedaleko tego, gdzie pracowała ta biedaczka Schepis?

– Naprzeciwno... Analogia czy homologia?

– Za wcześnie, by to stwierdzić. Trzeba się dowiedzieć, z kim spotykała się Schepis...

– Mam jechać do rodziców do Triestu?

– Wątpię, żeby byli na bieżąco ze znajomościami córki z takiej odległości. Nie, na razie postaraj się ustalić, kto jest właścicielem sklepu Schepis, załatw umowę najmu, znajdź, kto płaci za media, wyciągnij spis lokatorów kamienicy, gdzie mieszkała ofiara, a ja wrócę pogadać z jej sąsiadką, ale już bez ciebie, wsioku z południa.

- Jak pan sobie życzy, inspektorze.
- A! A potem znajdź mi panią sprzątającą, tę Rumunkę.

Na drzwiach sąsiadki Stucky zobaczył karteczkę skierowaną do asystenta pomocy społecznej: „Jestem na targu na Borgo Mazzini, zaraz wracam”.

Inspektor zastał kobietę zajętą szperaniem w starych pocztówkach na jednym ze stoisk.

- Dzień dobry, pani Pitzalis.
- Pan policjant...
- Nie wiedziałem, że kolekcjonuje pani pocztówki.
- Prawdę mówiąc, szukam tylko jednej.
- Jakiejś szczególnej?
- Pocztówki z Istrii z tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego.

Z Fiume<sup>14</sup>. Takiej, jaką mój ojciec wysłał swojemu bratu, pisząc, że jeszcze tam wrócimy.

– A więc pochodzi pani z Istrii. Wydawało mi się, że dosłyszałem to w pani akcencie.

Kobieta go nie słuchała.

– Na tym stoisku zawsze są listy i kartki z Istrii. Co tydzień jakieś nowe. Jeśli jej tu nie znajdę...

- Taka ważna jest ta pocztówka?
- To już moja sprawa!
- Przepraszam...
- Czego pan chciał?
- Zastanawiałem się, czy pamięta pani coś jeszcze na temat zmarłej signoriny Schepis...
- Ledwie się widywałyśmy...
- Nigdy nie widziała jej pani w towarzystwie?
- A jak bym miała ją widzieć?
- Może mijałyście się na schodach, jak z kimś szła...
- Przy jej godzinach... nie, nigdy.

- Jej godzinach? Czyli wychodziła gdzieś poza pracą?
- A czy ja ją szpiegowałam?
- Ależ kto by to pomyślał...
- Słyszałam, jak zamyka drzwi, bo wychodziła prawie każdego wieczoru. Ale ja ją widywałam tylko, kiedy pukała, żeby pożyczyć sól albo szklankę mleka. Była szczodra, oddawała mi potem całą paczkę soli albo karton mleka...
- Piękna czarnoskóra dziewczyna, na dodatek szczodra. Ale piękna kobieta rzadko bywa samotna...
- Dlaczego? A ja to co?
- Ma pani rację. Jednak...
- Oczywiście, że mam rację! Nie wiem, czy to się panu przyda, ale z mojego okna widać placyk pod domem. Któregoś wieczora zauważyłam panienkę w uścisku jakiegoś mężczyzny. Widziałam go od tyłu, był wyższy od niej...
- Jaki miał kolor skóry?
- Kolor skóry? Był wieczór...
- To był jeden z nas?
- Tak, biały. Coś jeszcze, panie policjancie?
- Jakieś hałasy, krzyki, kłótnie...
- Nic z tych rzeczy.
- Dobrze, dziękuję pani bardzo.

Stucky zatelefonował do Landrullego.

- Mario De Pol jest wysoki czy niski?
- Wysoki, inspektorze.
- Landrulli, skoro już przy tym jesteśmy: sprawdź, od kiedy pani Pitzalis mieszka w Treviso i kto jest właścicielem jej mieszkania.

Poszedł do pani Veneziani dowiedzieć się, czy już sporządziła listę klientów. Sklep był jeszcze zamknięty przez policję i musiał odwiedzić ją w mieszkaniu. Drugie piętro w kamienicy z oknami

wychodzącymi na kanał.

Kobieta przyjęła go bardzo formalnie. Czekwała na niego w drzwiach, ledwie uchylonych, i wręczyła mu kartkę, skrupulatnie wypełnioną elegancką kaligrafią. Widać było, że jest niespokojna i źle się czuje, ściągnięte usta z trudnością otwierały się, by mówić.

– Macie aż tylu męskich klientów?

– Cieszymy się pewnym prestiżem.

Stucky rzucił okiem na listę. Ważne nazwiska: dyrektorzy wydziałów w urzędzie miasta, przedsiębiorcy, notariusze, dostrzegł pana Sartora, utytułowanego właściciela salonu optycznego, i dyrektora banku, znanego lepiej jako dyrygent orkiestry.

– Jeszcze jest pani w szoku?

– To straszna sprawa. Nie uwierzyłabym...

– Proszę już o tym nie myśleć. Wie pani może, czy signorina Schepis miała telefon komórkowy?

– Miała...

– Na pewno zna pani numer...

– Oczywiście.

Stucky włożył rękę do kieszeni, dodając karteczkę z numerem do listy klientów.

Postanowił raz jeszcze porozmawiać z jedną z pierwszych zaatakowanych ekspedientek. Pozwolił, by kierowała nim sympatia, i wybrał signorinę Bergamin. Zastał ją obleżoną przez klientów, zapytał więc tylko, czy mogą się spotkać w czasie przerwy obiadowej.

Kręcąc się po mieście w oczekiwaniu na spotkanie, odniósł wrażenie, że wieść o śmierci ekspedientki okazała się stymulatorem dla kupujących. Jeśli nie było to skrzywienie percepcji uwarunkowanej sytuacją, sklepy wyglądały tak, jakby

otaczała je niezdrowa ciekawość, jakby ludzie w głębi serca zakładali się, że nastąpi kolejna zbrodnia, i biegali od sklepu do sklepu z nadzieją, że kupią jakąś pamiątkę, zanim morderca uderzy ponownie.

Signorina Bergamin nie wyglądała na uszczęśliwioną z powodu odebrania jej przerwy, więc inspektor uznał, że należy poprawić jej nastrój i oszczędzić udręki baru szybkiej obsługi. Zaprosił ją do małej restauracji znajdującej się parę kroków od sklepu.

– Przyda się pani coś gorącego – powiedział, siadając przy stoliku.

– Jesteśmy przerażone! A policja nie wydaje się... – urwała. – Zdaje pan sobie sprawę, jak się czujemy? Wciąż w witrynie. Wystawione...

– Dwa razy risotto z radicchio i mieszana sałata? Mam rację?

– Nie słucha mnie pan! Pan wciąż uważa, że nasza praca to taka robótka za parę groszy, że kiedy nie wiesz, co ze sobą zrobić, albo nie masz innych umiejętności, to się zatrudniasz jako ekspedientka w oczekiwaniu na prawdziwą pracę! Nawet sobie pan nie wyobraża, jakie problemy rozwiązujemy naszą wrażliwością, ile nieprzyjemności nas dotyka, ile musimy przełknąć z uśmiechem na ustach. Gdybym panu opowiedziała jedną czy drugą historię... A ile rodzin zeszło się z powrotem na naszych oczach. Tak, lepiej coś zjedzmy...

– Ma pani rację. To trudna sprawa, nie będę ukrywał. Wasz strach ma podstawy.

– Zrobi to znowu?

– Morderca? Nie wiem. Może już osiągnął swój cel...

– Ona była celem? Chce pan powiedzieć, że zainscenizowałyby to wszystko tylko po to, żeby zabić tę biedną dziewczynę?

– Być może. Powiedziała mi pani, że ledwie знаła signorinę Schepis...



– To prawda.

– A przecież jej sklep znajduje się paręset metrów od pani, a kilka dni temu sama mi pani powiedziała, że prawie wszystkie się znacie.

– Prawie. Jej nie. Powtórzę, co już mówiłam: musiała być z tych, co wolą być same.

– A reszta zaatakowanych? Przecież znałyście się wszystkie...  
Kobieta zeszywniała.

– Obracamy się w tych samych kręgach.

– A ktoś taki jak Mario De Pol... Zna go pani?

– Mario! Pracuje w bibliotece... – Dziewczyna lekko się zaczerwieniła.

– Zna go pani?

– To bardzo dobry bibliotekarz, zorientowany w starej i nowej literaturze. Nigdy się nie myli, kiedy doradza...

– Porządna osoba...

– Z tego, co można powiedzieć, patrząc z pewnego dystansu.  
Chyba nie podejrzewacie jego?

– Nie, absolutnie. Próbuję tylko wyrobić sobie zdanie na temat waszego kręgu.

– Sądzi pan, że morderca może do niego należeć?

– Na razie jeszcze nic nie sędzę.

– Nie chce mi pan powiedzieć, ot co. Tajemnica państwowa.

– Ech, tam...

Nieco później Landrulli poinformował go, jak mu poszła rozmowa telefoniczna z niejakim panem Springolo, którego wskazano mu jako właściciela sklepu, gdzie pracowała Schepis.

Mężczyzna prowadził różne interesy, handel i nieruchomości, i osobiście przyjął do pracy signorinę Schepis na prośbę ojca dziewczyny. Obaj panowie mieli wspólne inwestycje w hotelach na wybrzeżu Istrii.

Dziewczyna chciała zmienić miasto i ojciec poprosił o pomoc swojego wspólnika. Bardzo powściągliwa dziewczyna.

– Robisz dobry użytek z wynalazków Marconiego, Landrulli. Bardzo dobrze. Dam ci numer komórki Schepis, załatw billingi z ostatnich trzech miesięcy. A co z Rumunką?

– Później, inspektorze. Mam dalej śledzić De Pola?

– Postaw sobie takie zadanie: jak wykazać, że prawdopodobnie De Pol miał jakąś relację przynajmniej z jedną z czterech zaatakowanych dziewczyn, a w stosunku do pozostałych odgrywa rolę przystojnego inteligenta, co zresztą stanowi niemal na pewno analogię.

– Ale jeśli to taki kogucik, to powinien być jeszcze bardziej podejrzany.

– Wydało ci się, że to imbecyl?

– Nie widziałem go z bliska...

– A z daleka wydał ci się imbecylem?

– A jak to ocenić z daleka?

– Jutro ja się zajmę De Polem. Jak wrócę z Triestu.

– Jedzie pan do Schepisów?

– Za pół godziny.

Skoroszyt zapakował do torby. O dziewiętnastej dwadzieścia pięć miał pociąg do Triestu z przesiadką w Wenecji. Tym samym pociągiem dojeżdżał do pracy, zanim znalazł mieszkanie w Treviso. Pociąg Treviso–Wenecja, godna trasa, całkiem szybka, najlepsze pół godziny w ciągu dnia. Dziesięć minut z zamkniętymi oczami przed stacją Mogliano Veneto, skok do wody dla odświeżenia i zapędzenia mózgu do roboty.

Znał Triest. To miasto napełniało go niepokojem. Pamiętał port i fabryki, światła unoszące się i opadające na krągłościach gór aż do brzegu morza. Przenocował w maleńkim hotelu niedaleko mieszkania Schepisów, z którymi miał się spotkać rano. Po drodze

ze stacji do hotelu nie widział śladu Słowian, których pamiętał z poprzednich lat, codziennej diaspory, która przybywała do tego pogranicznego miasta na handel. Triest wydał mu się miastem na marginesie pozbawionym już marginesu.

*Okazało się, że mama nie przyjęła tego wszystkiego aż tak źle. Lekarze powiedzieli jej: Droga pani, to brzydkie złamanie, ale w kościach biodrowych nie ma nawet śladu osteoporozy, rokowania są dobre. Odzyskała pewność siebie i nie załamała się gipsem, kulami ani rehabilitacją. Zajęła się pracami domowymi. Ale na składowisko nie mogła przyjść jeszcze bardzo długo. Tam trzeba było kogoś energicznego i żwawego. Podałem więc recyklingowi Antonietę. Pomyślałem, że na skutek kompleksu Edypa, czy jak to się tam nazywa, zgodzi się zając miejsce mamy. Zbudować swoją przyszłość na widmie rodzicielki. Psychologiczna finezja. Antonietta zareagowała z entuzjazmem, jakiego nie widziałem od miesięcy. Jej drobna figurka śmigła między ciężarówkami aż miło. Szybka, dokładna, bystra. Widać było, że ma klasę, kierowców owinęła sobie wokół małego palca. Także wtedy, kiedy próbowali ją oszukać, podając zawyżoną masę własną pojazdu, ona niewzruszenie kontrolowała dowody rejestracyjne i z prędkością myśli wbijała właściwą masę do urzędnika. Muszę powiedzieć, że zacząłem odzyskiwać wiarę w Antonietę. Nie wiem, skąd ona brała te swoje powiedzonka: „Ze mną nie dasz rady, korsarzu” albo „Mors tua vita mea”<sup>15</sup>.*

*Wiem, że czytała. No i swoje zrobiła szkoła, to oczywiste. Studium hotelarskie, gdzie muszą cię nauczyć masy rzeczy, bo szkoła u nas wcale nie jest na najgorszym poziomie. A może też swoje zrobiły praktyki, kiedy zabierali całą klasę do najbardziej luksusowych hoteli w mieście, między te wszystkie pokojówki, garsonów, portierów, recepcjonistów, żeby zobaczyli kuchnie, pokoje, napisy po angielsku i niemiecku, kręcących się ludzi, gazety*

w poczekalni. Może to przez te wszystkie rzeczy naraz. Ważne, że była szybsza i zabawniejsza od mamy, a kierowcy wkrótce nauczyli się ją szanować. A to musiało sprawiać jej wielką przyjemność, bo zaczęła się lepiej ubierać i czesać. Nabrała trochę ciała. Wszędzie po trochu. Wyglądała wspaniale i pomyślałem, że damy radę. Że dotrzemy do końca pierwszego roku, tego najtrudniejszego, który trzeba przetrwać, by uznać, że okręt odpłynął już wystarczająco daleko od przybrzeżnych skał i innych niebezpieczeństw.

Myślałem też o mamie i o tym, jak ją zintegrować z nami na nowo. Jak ją wyciągnąć z domowej niewoli, na którą skazywał ją wypadek. W końcu też była osobą! Zapytałem Filiberta, czy nie potrzebuje pomocy. Czy zamiast specjalnej zmywarki do coraz liczniejszych probówek, o którą mnie prosił, nie wystarczy mu mama, ekspertka w sprawach szkła i kryształu. Ale Filiberto w kwestii laboratorium był nieugięty. Wstęp miał on i tylko on.

Wtedy przyszło mi coś do głowy. Był już październik. Deszcze rozmyły ostatnio zwiezione śmieci. Pierwsza parcela została wypełniona i przykryta foliową płachtą. Na płachtę przez trzy dni sypaliśmy ziemię, tworząc coś w rodzaju niewysokiego pagórka, parę metrów ponad poziom okolicznych pól, bo trzeba pamiętać, że odpadki z biegiem lat znacznie osiadają. Kazałem również zasadzić tam parę drzew dla upiększenia krajobrazu. Deszcze nieco rozmywają materiał, dzięki czemu osiada głębiej, ale też przyspieszają niektóre reakcje chemiczne. W ten sposób powstały nowe nieprzyjemne zapachy i pojawiły się roje czarnych much. Mewy zlatywały się tak gęsto, jak nigdy dotąd. W sierpniu nasza wilczurka urodziła cztery szczenięta, których tym razem nie utopiliśmy. Powoli rysował mi się w głowie plan. Kiedy mamie do poruszania się wystarczyła już tylko jedna kula, zaproponowałem jej, by zajęła się mewami wspólnie z naszą suczką Barbie i czwórką jej szczeniąt: Czarnym, Ciemnym, Brunetką i Suchym.

*Mama trzyma Barbie na smyczy, a szczeniaki gonią jak zwariowane za mewami, które wyraźnie się ich boją. Mama kuśtyka o jednej kuli, ale się nie poddaje. Potem spuszcza ze smyczy Barbie, która prowadzi swój miot do ataku, i od razu widać, jak chmury mew wzbijają się w powietrze, robią pod siebie ze strachu i są znacznie ostrożniejsze, kiedy kołują nad wysypiskiem. Dużo to lepsze od hałasu robionego przez armatki, które na dodatek psują się, kiedy pada. Mama jest zadowolona, że wróciła do pracy, a przy tym robi sobie gimnastykę i ćwiczenia rehabilitacyjne w jednym.*

*Jest też w tym efekt selekcji naturalnej, bo Barbie od czasu do czasu łapie jakąś mewę i ją zagryza, a dzięki temu eliminuje najłabsze elementy, chore albo takie, które by się utyłły w czymś lepkiem i potem długo konały gdzieś na ulicy albo jakimś podwórzu.*

*Pod koniec listopada przeżyliśmy trudne chwile i to dokładnie w samym środku wspaniałego miesiąca. Zaczęliśmy przyjmować sproszkowane odpady z fabryk samochodów w Turynie i Genui. Zmielone fragmenty wnętrz samochodowych, siedzeń, plastików, zderzaków i części z karoserii. Kiedy wysypywaliśmy to z ciężarówek, w powietrze buchał duszący, kolorowy pył i musiałem zakładać maskę, kiedy ruszałem spycharką. Przy zgniataniu materiał wydawał odgłos tysięcy trzasków, rozpryskiwały się maleńkie igielki i bombardowały okna w kabinie spycharki. Tak jakby ta materia była naelektryzowana. Kierowcy, którzy nam to przywozili, opowiadali, że wszystko to są części samochodów po wypadkach, fotele brudne od krwi, zderzaki, które zgmiotły ludzi, i bardzo toksyczny plastik. Dlatego firmy, które je do nas przysyłały, płaciły bardzo dobrze. Te opowieści zrobiły na nas wrażenie. Nie żeby brakowało nam legend opowiadanych przez transportowców. Ale myśl o materiale przesączonym ludzką krwią*

*poruszała nam coś w środku.*

*Dni robiły się coraz krótsze, zmrok zastawał nas jeszcze przy pracy, spycharka chodziła z włączonymi światłami, Antonietta dyżurowała na swoim miejscu pod wielką latarnią. Daliśmy się zasugerować. Słyszeliśmy, jak z pagórków podnoszą się lamenty. Nic konkretnego, nic, co dałoby się jednoznacznie nazwać. Może to były porywy jesiennego wiatru. Może materiał, który w ciągu dnia wchłaniał ciepło, wieczorem zaczynał się chłodzić i kurczyć. Może skrzypiał przy osadzaniu się pod własnym ciężarem. Po październikowych deszczach pagórek nad pierwszą parcelą obniżył się o jakieś dziesięć centymetrów. Sądziliśmy, że materiał jest dobrze izolowany przez folię, tymczasem woda musiała jakoś dostać się do środka, a może to było tylko naturalne osadzenie, odpadki przeobrażające się w Bóg wie co. Ale napadło nas jakieś dziwne przeczucie, że te dźwięki to płacz, zgrzytanie zębów i zaciskanie szczęk, a Antonietta słyszała nawet szczęk łamanych kości i rozrywanego ciała.*

*„To tylko wiatr, Antonietta”, próbowałem ją uspokoić.*

*„To zmarli”.*

*– Boi się pan śmierci? – zapytał doktor Tarfusser.*

*Ani trochę.*

*– Tak sądziłem.*

## 14 grudnia

Signor Schepis, sztywny jak kołek, czekał na inspektora w progu. Żona do nich nie dołączy, powiedział, kruche zdrowie, dodał, zapraszając do środka. Był wysokim, dystyngowanym mężczyzną o bezpośrednim spojrzeniu. Jego krótka broda, noszona wyraźnie od bardzo dawna, była śnieżnobiała tak samo, jak brwi i włosy. Tylko owłosienie na palcach pozostało szczeciniaste i czarne. Dawniej praktykował jako lekarz, powiedział, w szpitalu wojskowym w mieście. Lekarz w stopniu pułkownika, mówiąc ściśle. Przyjmował żołnierzy piechoty i czołgistów chcących załatwić sobie parę dni przepustki po badaniu albo hospitalizacji, szukając pretekstu w postaci nieszczęśliwego wypadku, efektów pijaństwa albo zapalenia wyrostka. Pułkownik Schepis badał ich z fajką w zębach i wystarczyło parę suchych klepięć w plecy i szybkie obmacanie brzucha, by wyrobić sobie opinię na temat dolegliwości. Zresztą z biegiem lat nauczył się błyskawicznie czytać w ludziach: symulantach, małych podstępnych kanaliach, nieszczęśnikach bojących się życia w koszarach bardziej niż samej śmierci i niedołączonych dwudziestolatkach, których los obdarzył cielesnością kruchą jak kryształ. Tych ostatnich odsyłał z powrotem do cywila bez wahań i wyrzutów sumienia, z wydrukowaną na karcie przeniesienia do rezerwy opinią o niezdolności do służby.

Przyszło mu administrować majątkiem żony, nieruchomościami, które skazały go na handel domami w Istrii, na przedmieściach

Lublany i wzdłuż weneckiego i friulijskiego wybrzeża. Wbrew sobie stał się ekspertem od plaż i kąpielisk. Po sposobie mówienia można było się zorientować, jak bardzo cierpi z powodu tego zajęcia, że zajmuje się tym interesem z pogardą dla siebie i budowniczych, robotników, asesorów miejskich nadzorujących budowę i zlecenia, geometrów i architektów nie wyłączając. Wszyscy równie wredni, twierdził.

I chciał mieć całe stadko dzieci, by zachować ciągłość rodu, ojczyzny i miasta, Triestu. A tymczasem musiał pogodzić się z faktem, że żona była bezpłodna. Starali się wszystkimi dostępnymi metodami, włącznie z badaniami we Francji, a nawet w Londynie, mieście, którego nie lubił, podobnie jak Anglików. W końcu musiał się poddać i żona zaczęła go namawiać do adopcji. Przez całe lata nie chciał o tym słyszeć, aż do chwili, kiedy niemal olśniła go myśl o zemście i zdecydował się na adoptowanie czarnej dziewczynki z dawnych włoskich kolonii. Wydało mu się, że etiopska dziewczynka o królewskim imieniu Jolanda stanowi adekwatne szyderstwo z jego niespełnionego losu.

Skończyło się na tym, że jednak trochę ją pokochał, jak tu zresztą nie obdarzyć jej uczuciem, kiedy życie zbliża się do kresu, a starość nie pozwala na inną perspektywę niż dziecko takie, jakie jest?

– Panie pułkowniku, dlaczego Jolanda przeprowadziła się do Treviso? Uciekała przed czymś?

Mężczyzna zapatrzył się na ciężki kredens z ciemnego drewna stojący naprzeciwko, omiótł spojrzeniem jego krawędzie i kolorowe kieliszki widoczne za szybą. Jakby starał się sobie przypomnieć.

– Nie czuła się u nas dobrze. Nie mogliśmy jej tu dłużej trzymać...

– Nie czuła się częścią rodziny?



- Rodziny! Dusiła się, brakowało jej radości.
- Brakowało jej radości...
- Widziałem, jak cierpi. Musiałem ją uwolnić.
- Pani Pitzalis... to pan ją poprosił, by się zaopiekowała córką?
- Nie chciałem, żeby umarła – odpowiedział tonem dowódcy, który widział, jak jego podkomendni padają daleko w dolinie.
- A kto by chciał widzieć śmierć własnych dzieci?
- Nie w ten sposób – wymamrotał mężczyzna.
- Pułkowniku, wyjaśnijmy...

Stucky chciał powiedzieć „sprawę”, jakby chodziło o karę za opóźnienie opłaty. Mężczyzna sprawiał takie wrażenie, jakby coś ukrywał, jakby sugerował inspektorowi, by nie nadawał tej śmierci szczególnej wagi. Dlatego zaskoczyło go, kiedy przy drzwiach pułkownik wydał mu rozkaz:

- Niech go pan złapie i przywiezie do mnie.
- Wie pan, że to niemożliwe.

Mężczyzna wpił się w niego wzrokiem.

Stucky wpadł na chwilę do triesteńskiej kvestury, tylko po to, by uzyskać potwierdzenie, że nie mają żadnej informacji na temat signoriny Schepis. Dogadał się ze swoim odpowiednikiem, żeby poszperali nieco głębiej.

W okolicach południa stanął przed pięknym gmachem biblioteki, w której pracował Marco De Pol. Stucky widział, jak chodzi między półkami, pojawiając się i znikając ze stosem książek na rękach.

Stąpając niemal na palcach, inspektor wszedł do czytelnicy, gdzie kilku starców zawzięcie miętoło lokalne gazety. Musiał przyznać, że była to bardzo przyjemna przestrzeń, obszerne okna wpuszczały dużo światła, długie stoły pozwalały na swobodne ruchy na własnym miejscu bez niepokojenia sąsiada, na ścianach wisiały plakaty z impresjonistycznymi liliami. Usiadł na krześle,

starając się nie przerywać starcom lektury codziennych doniesień.  
Bardzo wygodnie. Raj.

Kątem oka zobaczył De Pola wracającego na swoje miejsce i, choć niechętnie, podniósł się z krzesła.

– Dzień dobry, poproszę o kartę biblioteczną – przywitał go mężczyzna, zanim inspektor zdążył otworzyć usta.

– Prawdę mówiąc, nie mam.

– Ach, pan po raz pierwszy. – Wyciągnął formularz. – Bardzo proszę o pana dane.

Inspektor podał imię i nazwisko.

– Zamieszkały w Treviso?

– Od trzech lat i mimo to wciąż nie udaje mi się otrzymać koncesji na połów ryb w mieście.

– Jaka szkoda. Zawód?

– Służba państwowa.

– A dokładniej?

– Policja.

Bez żadnego zmieszania bibliotekarz wypełnił formularz.

– Proszę tu podpisać.

– Specjalizujecie się w jakimś konkretnym gatunku literatury?

– Panie Stucky, to jest biblioteka publiczna, ma swój zarząd, dobór książek nigdy nie jest wynikiem jedynie osobistych pasji.

– Doradzi mi pan coś?

– Powieść czy esej?

– Coś, co spodoba się mojej partnerce, coś w kobiecym guście.

– Och, panie czytają wszystko. Ma się rozumieć te, które kochają czytać.

– Moja partnerka zajmuje się odzieżą.

– Ekspedientka?

– W rzeczy samej.

Nastąpiła chwila ciszy.

– A więc pewnie pan wie, co teraz przeżywają te biedne dziewczyny...

– Tak, zajmuję się tą sprawą.

– Proszę pomyśleć, co za zbieg okoliczności: znam kilka z napadniętych dziewczyn.

– Naprawdę? A signorinę Schepis, śmiertelną ofiarę, też? Mężczyzna drgnął.

– Przesłuchuje mnie pan?

– Ależ! Przyszedłem wypożyczyć książkę. W przeciwnym razie pojawiłbym się tu w innym charakterze.

– Każda informacja może się przydać, prawda? Nie, nie znałem tej biedaczki. Choć muszę przyznać, że widziałem ją przelotnie przez sklepową witrynę. Sklep, w którym regularnie kupuję buty, znajduje się dokładnie naprzeciwko. Wiem, że ekspedientka z obuwniczego była jej koleżanką, kilka razy widziałem, jak rozmawiały. Wie pan, ekspedientki myją witryny i sprzątajają chodnik przed sklepem i przy okazji zamieniają parę słów.

– Tak, wiem. A ma pan może coś Rimbauda? – przyszło mu do głowy.

– Coś po francusku i *Dziela* w wydaniu dwujęzycznym.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś czyta Rimbauda w oryginale?

– Jakiś student od czasu do czasu – odparł niepocieszony bibliotekarz, zerkając do rejestru wypożyczeń.

– Pan się na tym zna. Jak by pan określił Rimbauda?

– Guma do żucia dla nastolatków.

– Mam ochotę go pożyczyć – stwierdził inspektor.

Stucky potrzebował przerwy na zastanowienie. Wziął z kwestury samochód i pojechał do jednego ze swoich ulubionych miejsc. Traktiernia nad samym brzegiem Sile. Droga kończyła się na placu przed lokalem. Były też stoliki na świeżym powietrzu. Chłodny dzień, ale jasny, słońce, jeśli się nie ruszałeś, było

niemalże dokuczliwe i miło było patrzeć, jak szybko ucieka woda, jak ptactwo wodne zygzakuje bez wyraźnego sensu. Dalej rzeka zakręcała, Stucky znał jej dalszy bieg, wały przeciwpowodziowe, kolejne zakola, stare podtopione barki przy brzegach, wyrobiska gliny, cegielnie w oddali. Kiedyś to była bardzo interesująca okolica. Jego ojciec mieszkał w Treviso parędziesiąt lat wstecz i oglądał na własne oczy ostatnie lata życia tej szczególnej społeczności zgromadzonej wokół rzeki: barki towarowe, port w Fiera, handel rzeczny, niedzielne wycieczki po Sile aż do laguny weneckiej, do jazów, za którymi otwierał się widok na Wenecję i morze.

– Małe prosecco, inspektorze?

– Tak tylko na spróbowanie...

Pomyślał o dziadku, który handlował winem i często korzystał z transportu rzeczno, przypomniawszy sobie jego opowieści o podróżach z przewoźnikami w wilgotne listopadowe dni, jak siedział na dziobie barki, a od brzegów dochodziły wystrzały z dubeltówek polujących na kaczki i kurki wodne.

Aristide, właściciel, przyniósł mu kieliszek wina, oliwki, sardele i połówki jajek na twardo.

– Zatrzyma się pan na obiedzie?

– Kusząca propozycja...

– No to niech pan zostanie!

– Tylko sałata...

– Nie wie pan, co traci.

Ze swojego stolika mógł wygodnie przyglądać się temu mężczyźnie, który nakrywał do stołów przy pomocy nowej brazylijskiej żony, tak jak wielu jemu podobnych: tyrają całe życie, a potem biorą sobie zagraniczną żonę chwilę przed tym, jak zostaną wycofani z użycia.

Uniósł kieliszek i skosztował musującego wina. Potem

z kieszeni kurtki wyciągnął tom wierszy Rimbauda i zaczął kartkować. Zobaczył spis treści. Jakby słyszał odgłos myśli Klemy, drania, zatrzymał palec na tytule zbioru *Wiersze ostatnie* i wydało mu się oczywiste, że trzeba wybrać *Złoty wiek*. Słyszał te myśli, ale słyszał, że są rozbawione. Jedną ręką nerwowo ruszał kieliszkiem, drugą znalazł właściwą stronę. Chłonał linijkę za linijką: *Vis et laisse au feu? l'obscur infortune*. O, to właśnie te słowa: „Żyj i pozostaw ogniovi mroczne nieszczęście”. Przeczytał cały wiersz. Nic nadzwyczajnego. Morderca się bawił.

To dwie różne sprawy, uznał. Jedna sprawa to napaści na ekspedientki, druga to morderstwo Jolandy Schepis. Może ta druga została jakoś sprowokowana przez pierwszą. Kto wie. Ale sprawca nie był ten sam, tego był pewien. Sekwencja wydarzeń była jedynie pozorna.

Zatelefonował do Landrullego.

– Weź karteczki znalezione na ciele signoriny Schepis, zabierz je do laboratorium i każ sprawdzić każdą po kolei. A potem ścięgnij mi tu na wpół do czwartej signorinę Ricci. Wyszła ze szpitala trzy dni temu. Tylko pamiętaj, żeby to było oficjalne wezwanie. W charakterze świadka.

Pogawędka z Ricci była aktem zamknięcia pierwszej sprawy. Należało zacząć od jej końca.

Po obiedzie Stucky poszedł na spacer w okolicę starej elektrowni wodnej. Przeszedł przez most i po kilkuset metrach ruszył wzdłuż *restere*, nadrzecznych ścieżek, po których ongiś szły zwierzęta ciągnące barki pod prąd. Z długiego drewnianego pomostu rozrzucił do wody pokruszony chleb, który zabrał ze sobą. Kaczki wypłynęły z trzciniowisk i nawet jeden łabędź dał się skusić na karmę.

Elena Ricci przysłała do kwestury w towarzystwie rodziców. Jej

matka natychmiast zapytała, czy będzie potrzebny adwokat, którego numer miała ze sobą.

– Ależ nie, signora, to tylko zwykła rozmowa...

– Mogę wejść razem z córką?

– Nie ma takiej potrzeby. Doskonale poradzi sobie sama.

Zostawiwszy rodziców pod opieką posterunkowego Sbrogiò, Stucky i Landrulli ruszyli przodem, prowadząc dziewczynę do pokoju przesłuchań.

– Widzę, że już pani niemal całkiem doszła do siebie. Ślady na twarzy są ledwie widoczne.

– Udało mi się – odparła dziewczyna, wyraźnie zaniepokojona.

– Napastnik nie uderzył pani bardzo mocno... niemal jakby nie chciał pani zrobić krzywdy.

– Możliwe, że chciał, ale mu się nie udało...

– Nigdy nie dostawała pani gróźb, nie ma pani znajomych o wątpliwej reputacji, nie prowadzi ryzykownego życia. Dlaczego właśnie pani?

– A dlaczego inne?

– Ponieważ wszystkie jesteście w zмовie i zaplanowałyście ten, jak by to powiedzieć, bożonarodzeniowy teatrzyk...

Kobieta oniemiała.

– Mam rację? Mam rację, gdy powiem, że nie było żadnego napastnika? Że miała pani zwyczajny wypadek? I że signorina Callegari najzwyczajniej w świecie się poślizgnęła, raniąc się w rękę, nie dlatego, że została popchnięta przez napastnika, tylko by dodać emfazy przedstawieniu?

Signorinie Ricci zaczerwieniły się oczy, z całych sił zaciskała dłonie. Bładość twarzy odbierała jej urodę. Strużka łez spłynęła jej po policzku.

– Chcę adwokata – wymamrotała.

– A to czemu? Z powodu dzieciennego wybryku? Teatrzyku, który

zapełnił nam dzień i wyrwał nas z nudy? Nie, na razie niech pani wraca do domu i spokojnie w nim siedzi. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Landrulli siedział z otwartymi ustami. Kompletnie oszołomiony odprowadził dziewczynę do rodziców.

– Jak pan do tego doszedł, inspektorze?

Nie odpowiadając, Stucky udał się do komisarza Leonardiego.

– Czy pana bratanica w tych dniach jest smutna?

– Zaniepokojona...

– A jakie sprawiała wrażenie przed napaścią?

– W jakim sensie, inspektorze?

– Była zdenerwowana, przygnębiona, euforyczna, zachowywała się dziwnie...

– Miała zły rok, to prawda. Widziałem, że jest zmęczona i przygnębiona. Ale przed napaścią nie, myślałem, że nadchodzące święta dodają jej animuszu.

– Że Boże Narodzenie podniesie ją na duchu?

– Właśnie.

– Jak spędzacie święta? Cała rodzina razem?

– Tak, jak co roku. Stucky, co mają znaczyć...

– Proszę pozdrowić ode mnie bratanicę.

Gdy wyszli od komisarza, Stucky odetchnął ciężko i powiedział:

– Chodź ze mną na kawę, Landrulli.

– Ale na jakąś przyzwoitą. Co najmniej do Goppionów, inspektorze.

Piazza Borsa aż kipiała od straganów i światełek. Panowało podniecenie, ale zabrakło dudziarzy, którzy onegdaj wchodzili do sklepów, przygrywali krótki kawałek na świąteczną nutę i wychodzili z datkiem od klientów.

Stali ściśnięci przy barze tuż przed potężnymi maszynami do parzenia kawy. Stucky rozkoszował się milczeniem, którym

torturował ciekawość Landrullego. Ten zaś udawał, że wdycha aromat kawy, i z fałszywym zaciekawieniem przyglądał się przezroczystym pojemnikom z ziarenkami czekającymi na zmielenie.

– Proces myślowy, dzięki któremu doszedłem do tego, co powiedziałem signorinie Ricci, nie ma znaczenia. Ważne, co zrobimy teraz. Słuchaj: morderca nie pochodzi ze środowiska napastowanych ekspedientek. Niemal na pewno wykorzystał sposobny moment.

– I w związku z tym?

– Morderca chciał zabić właśnie signorinę Schepis, wykorzystując zamieszanie.

– Czyli żadnej wojny z symbolami?

– Landrulli, to jest absolutnie pragmatyczna ziemia. Nawet morderca nie ma czasu do stracenia dla zwykłego symbolu.

– Skoro pan tak mówi...

– A co z Rumunką?

Landrulli wyłuszczył mu niemożliwą do utrzymania opowieść o rodzinnej historii: adres w Timișoarze, kochanek z tajnych służb Ceaușescu, potem rewolta, ginęli ludzie, jej męża też zabili, a może to zrobił jej kochanek, w konsekwencji ucieczka, nowy włoski partner, który zmusza ją do seksu na kanapie trzy razy w tygodniu, ból pleców, przyjaciółka, która zabiera ją w sobotnie wieczory do dyskoteki.

– A co to ma wspólnego z naszym śledztwem?

– Sam sobie zadaję to pytanie.

– Według ciebie mogłaby dać klucz mordercy albo pozwolić, żeby sobie dorobił?

– Zapytałem ją. Przysięgała na męczenników z Timișoary, że niczego podobnego nie zrobiła.

– Landrulli, wracamy do mieszkania dziewczyny.



- Jutro?
- Jeszcze dziś.
- No i tego jeszcze brakowało...

Dotarli na piazzetta San Parisio, idąc przez Pescheria, jej jasno oświetlone mosty i spokój wysepki zawieszanej między kamienicami a ciemną wodą i łopatami koła wodnego młyna, na próżno wołającego o ziarno na przemiał.

- Panienska mieszkała w pięknym miejscu.
- A jakże. Jak skończymy śledztwo, będziesz mógł je sobie wynająć.
- Nie, w domu zmarłej...
- A co to takiego? Połowa mieszkań do wynajęcia ma jakiegoś zmarłego w historii.
- Ale tam pewnie mieszka zawsze ktoś z rodziny. A tu jest obca zmarła...
- Za chwilę wejdziemy do kamienicy. Jak przestąpimy próg, wyobraźmy sobie, co robiła Schepis: idziemy po schodach, wkładamy klucz do zamka, wieszamy płaszcz i idziemy do łazienki, jakbyśmy byli nią. Jasne?
- A ja wszystko notuję, inspektorze.

Trzecie piętro, po dwa mieszkania na każdym, czysta klatka, eleganckie schody i balustrada, nowe drzwi do mieszkania pozbawione judasza, w przeciwieństwie do drzwi naprzeciwko.

- Wchodzimy.

Zamek z systemem antywłamaniowym, podwójny klucz.

- Włączyć światło, inspektorze?

Salon, kanapa obita jasną skórą, prostokątny ciemny stół, lekkie, bardzo nowoczesne wnętrze – czujesz się jak Schepis? Całkowicie, inspektorze – tylko jeden obraz w salonie przedstawiający wielki kwiat maku, wieszak na ubrania przy drzwiach wejściowych.

Dziewczyna przychodzi z pracy, powiedział Stucky, wiesz płaszcz, bo nie jest bałaganiarą, to widać, idzie do łazienki, małej, z prysznicem, płyn do kąpieli ze sklepu zielarskiego, balsam naturalny, mydło z Marsylii. Potem idzie się przebrać. Sypialnia niczego sobie. Łóżko jest niskie, w orientalnym stylu, zasłane kolorowym kilimem, żadnych szafek nocnych, stos książek po lewej i prawej, łóżko oczywiście szerokie, nowa szafa z przesuwanymi drzwiami, Schepis się przebiera, zostawia ubranie na łóżku i naciąga na siebie piżamę albo lekki dres, mieszkanie jest bardzo ciepłe, lekki strój w zupełności wystarczy.

– Teraz ty, Landrulli.

– No nie wiem, pewnie coś je...

– A ty tu widzisz, żeby jadała, Landrulli? Może w przerwie obiadowej. Ale wieczorem? Wyobrażasz ją sobie, jak idzie do kuchni z mikrofalówką i paroma talerzami w kredensie i wyciąga żarcie z zamrażarki? Wyobrażasz ją sobie, jak wieczorem nakrywa do stołu, bambusowa podkładka pod talerz, żółta serwetka, szklanka, sztucze z plastikową rączką, może w kwiatki? Ja nie – powiedział Stucky, energicznie kręcąc głową. – Signorina Schepis kontroluje wagę z wyraźną troską, łazienkowa jest dobrze wyślizgana. Słucha muzyki, nie ma telewizora, pewnie w jej bieliźniarce będzie kimono, sprawdź, Landrulli.

– Jest, inspektorze. Jak pan zgadł.

– Szansa była pół na pół.

– Interesująca dziewczyna.

– Zwłaszcza dla mordercy...

– Potem się ubiera, nie krzykliwie, wszystkie rzeczy dobrane z gustem, wyrafinowana elegancja, przygotowuje się do wyjścia...

– A potem?

– Wychodzi.

Założyła parę błyskotek, wybranych ze szkatułki na komodzie;

pod spodem, w szufladzie, majtki, podkoszulki, chusteczki. Czyta Kunderę, oczywiście Chatwina, Anaïs Nin, dywaguje, *Promiskuityzm: historia konkurencji plemników i konfliktu płciowego*, ciekawa świata, na pewno nie prowadzi pamiętnika...

– Co pan myśli, inspektorze?

– Widać, że urodziła się przy granicy, ma szerokie zainteresowania. Raczej nie czuła się tu dobrze.

– I?

– Naprawdę mieszka gdzie indziej. Musiała tu sobie uwić jeszcze jedno gniazdo. Sprawdziłeś, od jak dawna mieszka tu signora Pitzalis?

– Byłbym zapomniał! Dokładnie osiemnaście lat.

– Ewakuowała się z Istrii i zanim przyjechała do Treviso, mieszkała w Trieście, prawda? Dostałeś wydruki billingów telefonicznych Schepis?

– Powiedzieli mi, że potrzebują paru dni...

– A co z bilecikami?

– Wszystkie znalezione na ciele dziewczyny są oryginalne...

– Z wyjątkiem?

– Tego z cytatem z Rimbauda.

– No to idź już, Landrulli, idź. Dobranoc.

Zamknąwszy drzwi mieszkania, Stucky poczuł pragnienie, by pójść i najeść się do oporu, coś, czego nigdy nie robił. Niepokoiła go wiedza o ofierze, którą zaczął nabywać. Potrzebował gryzienia, przeżuwania, połykania, trawienia, a niedaleko, przy via San Parisio, była dobra restauracja, dokładnie naprzeciwko Pescherii, jego ulubionej wysepki, rzut kamieniem od Casa del Baccajà, tej studni niespiesznego łakomstwa.

– Risotto, a przedtem jak zwykle sałata, inspektorze? – zapytała kelnerka.

– Nie, tym razem pełne menu razem z deserem.

– Dziś mamy tiramisu. Nie wiem, czy pan lubi...

– Jeśli nie dziś, to kiedy? Porządna porcja.

Jeśli zabili biedną Schepis z przyczyn innych niż jej osobista historia, a on był się gotów założyć, że tak właśnie było, sprawa będzie jeszcze bardziej zagmatwana.

Szukanie w ludzkim morzu maniaka nienawidzącego ekspedientek byłoby tytanicznym przedsięwzięciem. Ale pogląd na pierwsze napaści, jaki sobie wyrobił, oraz to, czego zaczynał się dowiadywać o ofierze, przekonywały go, że to nie byłby właściwy kierunek. Chyba że dał się omamić prostotą, marzeniem o pogodnych świętach, o spokoju, zawieszeniu przestępstw, tak jak powinno być w Boże Narodzenie, jeśli zachowało ono jeszcze jakikolwiek wpływ na ludzkość.

Pomyślał bez wstydu, że Jolanda Schepis podobałaby mu się jako kobieta. Nie, nie miał na to bezspornych dowodów, to były drobne przecucia, turbulencje instynktu. A może po prostu czysta sugestia, wynikająca z tego, że zajmował się jej sprawą. Z założonymi rękami patrzył, jak lokal pustoszeje, jak klienci, także ci, którzy przyszli tu po nim, wychodzą. Czuł na sobie spojrzenia personelu marzącego już o skończeniu dnia pracy, o zamknięciu kasy i kuchni, i poczuł się teatralnie zmęczony.

– Wszystko dobrze, panie inspektorze?

– Zamkniecie mnie tu?

– Nie, proszę się nie martwić.

– Przyniesie mi pani brandy? Na zakończenie dnia.

– Cardinal Mendoza jak zawsze?

Napić się kardynała, cóż za przyjemność. Bardziej niż ciepło i smak, przez przełyk prześlizgiwała się sama idea tego słowa. *Antimama*, prawie podskoczył. Właśnie, badanie krwi! Lekarz prowadzący, mrucał, specjalista, ale kto, ale gdzie...

Z trudem wstał, za drzwiami lokalu oparł się o filar i tam, jakby

w nagłej wizji, ukazał mu się ten zakątek miasta, jego własny zakątek, i zimna noc, i powiedział sobie, że to taka praca, jeden wycina pęcherzyk żółciowy, a kto inny prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni; taki już jest podział pracy ze względu na kompetencje, wrodzone i nabyte.

A czy rozwiąże tę sprawę bez bezpośredniego zaangażowania ekspedientek?

Ekspedientki...

*„Na Boga, żyjemy!”*, wołałem każdego ranka i każdego wieczora, kiedy zamykałem bramę i słyszałem trzepot skrzydeł, mewich albo sowich, i czułem smród niesiony powietrzem. Aż któregoś dnia – miałem już kłódkę w ręku – na dnie składowiska błyska światełko, zaraz potem drugie. Dusze zmarłych! Skaczę w tył i potykam się. Światełko zamienia się w ogień. Płomienie biegają po drugiej warstwie składowiska, prawie już całkiem wypełnionej.

*To pożar. I nie przyłożył do tego ręki Cavasin ani inni. Coś się paliło. Nie powinno, składowiska tak sobie nie płoną. Jasne, jest gorąco. Wnętrze sterty śmieci jest gorące. Przynajmniej czterdzieści albo pięćdziesiąt stopni. Może nawet sześćdziesiąt. Ale to nie wystarczy, żeby zaproszyć ogień. Mogą się mnożyć drobnoustroje, ale nie zapłonie ogień. Od razu pomyślałem o tym syfie, który zawiera aluminium, co go nam przywieźli dzień wcześniej, a oczywiście nikt cię nie uprzedzi, że może być niebezpieczny. Wielki dym, smród nie do wytrzymania. Natychmiast zatelefonowałem po straż pożarną, która mi odpowiedziała tylko „Znowu...”, jakby mieli coś ważniejszego do roboty niż ratowanie składowiska. Przyjechali bez szczególnego pośpiechu. A przynajmniej tak mi się wydawało, bo patrzyłem na kłęby czarnego dymu wznoszące się do nieba, a potem cichutko ruszające na spacer po miasteczku, do baru w centrum, wyraźnie zainteresowane, jak się gra w karty przy stolikach. Musieli uciekać*

*wszyscy, także mieszkańcy domów wokół baru. Ich zdaniem katastrofa. Sami palacze, którzy wieczorem i tak by się uwędzili w dymie z papierosów albo spędzili czas przykuci do telewizora nadającego jakiś durny kwiz. Przynajmniej się trochę przespacerowali!*

*Następnego dnia utworzył się komitet obywatelski przeciwko składowisku i przed bramą pojawiło się koło pięćdziesięciu nawiedzonych płci obojga, z kobietami i dziećmi w pierwszym rzędzie i dobrze widocznymi transparentami „Pierini jak Bhopal” i „Pierini jak Czarnobyl”.*

*– Pierini! A więc nazywa się pan Pierini!*

*Wielkie nieba, wydało się.*

*– Co to jest Bhopal? A Czarnobyl? – zapytałem Filiberta, który wzruszył ramionami i schował się w laboratorium. Czy to nie są przypadkiem jakieś rosyjskie wyzwiska?*

*Pierini są jak Pierini, a nie jak ktoś tam, krzychałem, tymczasem oni usiedli przed bramą, a za nimi ustawiała się kolejka trąbiących ciężarówek.*

*Na nic się zdało pokazywanie gestami, żeby choć przepuścili ciężarówki, że kierowcy nie są tutejsi i podobne działania mogłyby dodatkowo wzmocnić przesady na temat naszej niegościnnosci. Spotkały mnie tylko gwizdy i krzyki. Błada jak kreda Antonietta stała na swoim stanowisku. Babcia, która nie rozumiała, co się dzieje, poszła przywitać się z protestującymi, bo pamiętała niemal wszystkich z czasów, kiedy biegali w krótkich spodniach albo spódniczkach.*

*Również i ją poczęstowano obelgami.*

*Dobrze im się przyjrzałem: niektórzy mężczyźni byli w moim wieku, niektórzy nieco starsi. Całe szczęście, że akurat u nas nie ma wielkiego bezrobocia, bo wtedy dopiero zebrałby się tłum! Większość stanowiły kobiety, wiadomo. Gospodynie domowe. O tej*

porze mężczyźni są w pracy. Lale sprzątnęły stół po śniadaniu i powiedziały sobie: Iść na zakupy czy na protest przeciwko składowisku? Rzecz w tym, że gospodyni domowa nie wie, co ma zrobić ze swoim życiem.

Rozumiem je. Cały dzień robią jedno i to samo. Potem przychodzi jakiś nawiedzony i odkrywają, że fajniej jest malować transparenty albo udzielać się w wolontariacie, niż zatroszczyć się o dzieci albo zrobić coś, żeby być atrakcyjne dla mężów. A potem się skarżą, że mężowie chodzą na dziwki, ci z Werony do Treviso, a ci z Treviso do Padwy. Mnie to wcale nie dziwi. Wracasz sobie do domu po ciężkim dniu pracy i zastajesz ją, co to była na manifestacji, co to nieoczekiwanie zrobiła się na coś wrażliwa. Ale założyłabyś może pas do pończoch, jedna z drugą! Rodziny się rozpadają, bo jak inaczej. Kobiety uwodzą cię aż do piątego miesiąca po ślubie, są w tym punktualne jak plastikowy pasek od szwajcarskiego zegarka, który się szybko przerywa, a potem zostawiają cię jak męczącego pasożyta w małżeńskim łóżu. Patrzą na ciebie inaczej, tak myślę. Złym wzrokiem. Robią wszystko, żeby tylko wyrwać się z domu. Jakie tam gospodynie domowe! Gimnastyka, całe przedpołudnie w markecie, fryzjer i co tam jeszcze.

Nie żeby ci nieliczni faceci na manifestacji byli od nich lepsi. Znałem każdego z nich. Niektórzy założyli rodziny, no bo coś trzeba robić. Znajdują kobietę parę ulic dalej i żenią się z nią, opakowaną jak torebka nasion kupionych w spółdzielni rolniczej. Biorą się do roboty i płodzą dziecko, a jeśli ich zapytasz w barze, właściwie po co, to nie potrafią ci odpowiedzieć. Dlaczego płodzisz dziecko? Nie mają pojęcia o genetyce ani czymkolwiek podobnym. I nic z tym nie ma wspólnego instynkt przedłużenia własnego istnienia. Jeżdżą sobie po pagórkach na sportowych rowerach przy niedzieli i robią dzieci, tyle im wystarczy. Ci, co się nie pożenili, to

*barowi kawalerowie, kolejny durny gatunek. Ci z baru w miasteczku nawet nie próbowali znaleźć sobie kobiety. Nie ma dla nich właściwych kobiet. Są nieparzyści i wcale ich to nie cieszy. Rękawiczki bez pary. Z jedną rękawiczką wiele nie zdołał. Kiedyś może chodzili na podryw, od przypadku do przypadku, trochę tu, trochę tam.*

*Ci, którzy się uważali za spryciarzy, jeździli po świecie. Bo daleko stąd kobiety są lepsze. I wszystko jest lepsze. To jest niepodważalny fakt. Są kraje, które żyją z eksportu tego, co najlepsze w innych krajach. Kiedy wracają do domu, cały miesiąc przesiadują w barze i opowiadają, ile lepszych rzeczy jest na świecie. No to po coś wrócił?*

*Nawet nie wiedzą. Potrafią tylko odwracać strony „Gazzetta dello sport”, obchodzą ich tylko piłkarze, sędziowie i trenerzy. Wszyscy mają właściwych przyjaciół, właściwą pracę, chodzą tylko do właściwych lokali i naturalnie robią mnóstwo właściwych rzeczy. Kiedy mają te wolne miesiące, kiedy wracają i na powrót są obywatelami tego kraju, zostaje im masa wolnego czasu i wtedy przychodzą pod bramę składowiska śmieci, choć nawet dobrze nie wiedzą, z jakiego powodu.*

*– Z powodu smrodu, Pierini... – krzyčili do mnie. Nie są źli na mnie ani na moją rodzinę, tylko na smród.*

*A samochody, zapytałem. Martwicie się o mój smród, ale macie kompletnie w pompce, co jecie i pijecie, papierosy i alkohol, to, czy wasz syn, przechodząc przez ulicę, patrzy w lewo, w prawo i znowu w lewo, choroby grasujące po świecie i szpitale, które nie działają jak trzeba, a teraz nagle zrobiliście się wrażliwi akurat na mój smród...*

*– Od czegoś trzeba zacząć.*

*– I właśnie ode mnie?*

*– Poza tym szkodzicie środowisku...*



*A, tu was mam! Wszyscy wykształceni. Wszyscy obronili magisterium z zajęcia w potrawce. Coś tam czytali o zanieczyszczeniu środowiska naturalnego i naprzód, do walki z państwem Pierini. Ale co oni czytali? Artykuły w „Il Gazzettino”? Parę linijek, z których nic nie wynika? No i co tam mówią? Wydaje się, że; mówi się, że; zdaniem tego i tego... A gdzie dowody? Żeby sabotować uczciwą i porządną działalność gospodarczą, trzeba dowodów. Obiektywnych badań. Gdzie jest napisane, że składowisko Pierinich zanieczyszcza środowisko? Cuchnie. Spokojnie: mamy wrażliwość olfaktoryczną pierwszego stopnia, czujemy maleńki, milionowy ułamek smrodu i nie jest powiedziane, że to, co cuchnie, jest szkodliwe. Zostawmy te banały. Rzeczy naprawdę niebezpieczne nie mają zapachu i są niewidoczne. Jak na przykład promieniowanie, prawda?*

*Wszyscy wpatrywali się we mnie, a ja w końcu zebrałem się na odwagę:*

*– Czas, żebyście zrozumieli jedno: wysypiska istnieją, bo to wy pozwalacie, by istniały. My tutaj zajmujemy się najlepiej, jak umiemy, waszymi odpadkami. Tak, proszę pana, waszymi odpadkami. Gdyby to chodziło o moje, mam dość miejsca, gdzie mogę je trzymać. Ale wy? Gdzie byście trzymali pieluchy waszych dzieci przez tydzień? Podpaski w rodzinie, gdzie jest pięć kobiet? Opakowania po makaronie i przekąskach? Puszki po tuńczyku? No dobrze, można zrobić i tak: codziennie napełniacie pojemnik i wystawiacie przez tydzień jeden po drugim na taras albo do ogrodu, a po miesiącu podrzucacie to wszystko do ogrodu sąsiada, który w tym samym czasie zdążył już napęcznić od odpadków właściciela. I tak musielibyście nocami wozić wasze brudy, może nawet do sąsiednich miejscowości. Każdej nocy. I wstawalibyście zmęczeni. A którejś nocy trafilibyście na patrol straży sąsiedzkiej, która pilnuje, żeby ludzie z innych miejscowości nie zaśmiecali ich*

ogródków. Daliby wam do wiwatu. Zaczęłyby się wendety bez końca. Dzieciaki leżałyby w domu w uwalanych pieluchach i zaczęłyby chorować. Myszy biegałyby po mieszkaniach. Muchy. Karaluchy. Wasze ubrania by śmierdziały. I nie moglibyście zanieść ich do pralni, bo pralnie nie wiedziałyby, co zrobić ze swoimi odpadkami. I nie moglibyście kupić sobie nowych ciuchów, bo zakłady odzieżowe utonęłyby w ścinkach i innym dziadostwie. Farbiarnie w żółtych i zielonych barwnikach. Musielibyście chodzić nago po ulicy. I to by dopiero było. Szwagier patrzyłby na szwagierkę, teściowa na zięcia. Ale byście się wstydzi! Nie chcielibyście wychodzić z domu, ale tam też nie moglibyście zostać. Nie moglibyście, bo odpadki gniją, nieznośny fetor wypełnia wasze mieszkania; całe miasto pokrywa oleista, cuchnąca kapa; kołują nad nim mewy i rzucają się na resztki, a wy musicie się stamtąd ewakuować, ale nie macie dokąd iść. Bez składowisk odpadków cały świat stałby się jednym wielkim straszliwym fetorem. Składowisko jest pępkiem naszego świata. Jeśli je zamkniemy, zginiemy...

Poszli sobie, zanim jeszcze skończyłem. Na ziemi zostały porzucone transparenty. Nie wiem, czy ich przekonałem, czy przestraszyłem. Miałem nadzieję, że Filiberto zamknięty w swojej norze słyszał, co mówiłem. Powinien docenić moją pełną obywatelskiej troski przemowę. Byłem wzruszony. Nie wiedziałem, skąd wypłynęły te słowa. Z serca.

## 15 grudnia

Klema rozsiewał elementy garderoby biednej Schepis po całym mieście. Kurtka i czarne spodnie na wieszaku kołysały się pod Ponte di San Francesco, przywiązane sznurkiem do balustrady.

Ten strach na wróble z dobrej wełny, pusty i przerażający, odebrał spokój gromadce zakonnicy, wokół których po kilku minutach zgromadził się niespokojny tłumek.

Stucky przyjrzał się długim nogawkom zwięzających się u dołu spodni, przypominających łodygę irysa.

Pomaszerował do sklepu signory Veneziani i ze smutkiem popatrzył na czarny obszerny płaszcz z guzikami z błyszczącej masy perłowej, wystawiony w witrynie dokładnie w tym miejscu, gdzie leżało ciało biednej Schepis.

Tego dnia była mgła, jedna z tych najgorszych, taka, która przynosi starcom śmierć na serce albo płuca, a młodszych ogarnia ponurym niepokojem zimowego dnia bez słońca.

Sklep otwierał się po przymusowej przerwie i wystawa jednobarwnych ubrań, w przeważającej ilości białych i czarnych, miała zapewne znaczenie żałobnej konieczności.

Inspektor zajął miejsce przy stoliku w kawiarni, z którego mógł obserwować wejście do sklepu, i wkrótce zobaczył, jak signora Veneziani, zupełnie sama, zatrzymuje się na chwilę przed witryną, otwiera drzwi i wchodzi już bez dodatkowego wahania.

Zamówił śniadanie i przejrzał raport z analizą zawartości worka z odkurzacza Rumunki, która znalazła zwłoki już po tym, jak

dokładnie wysprzątała lokal. Była to lista, z której Stucky wyczytał o pyłach, piaskach, włosach, fragmentach plastiku, paznokci, okruchach chleba i czekoladowego ciasta.

*Antimama*, westchnął, nad wyraz użyteczne.

Jego punktem obserwacyjnym był bar z monstrualną fotografią samochodu ferrari i paroma potarganymi koszulkami piłkarzy na ścianach, serwujący ciasto typu czekoladowe salami z bakaliami. Nie zdążył nawet nadgryźć swojego ciastka z ricottą, kiedy zobaczył wchodzącą do sklepu parę. A potem, jakby ludzie zostali ośmieleni milczącym sygnałem, napływ klientów zdawał się zwiększać z minuty na minutę. Prędko, prędko, uroczym panie domu, futra jak u pionierów z Montany, włosy na żelu albo zwyczajne, brzęcząca biżuteria i bardzo dużo maskary, jakby to chodziło o przesłuchanie u Kupidyna. Stucky zobaczył, jak ktoś odwraca głowę ku sklepowej wystawie, jak ktoś inny wskazuje palcem. Klientki cierpiące na kryzys odstawienia czekały na otwarcie ściśnięte na chodniku i czuwały z telefonem w ręku, by zacząć przekazywać sobie wielką nowinę. Może szybkość, z jaką prokuratura zwolniła lokal, miała coś wspólnego z tym, że jedną z pierwszych klientek, które pojawiły się na miejscu, była pani prokuratorka, najwyraźniej wierna klientka.

Zanim wszedł, zapukał. Zobaczył, jak signora Veneziani szeroko otwiera te swoje magiczne szczeliny oczu. Znalazła już pomocnicę, blondynkę, która mogła być Polką z Krakowa i która dalej stała na swoim miejscu, domyślając się, że ten mężczyzna nie przyszedł pytać o jakiś nietypowy rozmiar.

– Jak się pani ma?

– A jak miałabym się mieć – powiedziała cicho kobieta.

– Przykrości?

– Śmierć to śmierć, wie pan przecież.

Pokazał jej spodnie, a ona smutno pokiwała głową.

– Wie pani może, czy signorina Schepis leczyła się u jakiegoś specjalisty?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego?

– Badała się.

– Pewnie to rutynowa kontrola. Ja też raz do roku...

– Rozumiem.

Po wyjściu zatelefonował do Landrullego.

– Wezwij mi oficjalnie wszystkie napastowane – powiedział młodszemu koledze, który siedział w biurze i porządkował zebrane przez siebie informacje.

– Natychmiast?

– Przed obiadem, to zdążysz skompletować obraz, o który cię prosiłem.

– Na rozkaz, inspektorze.

– A jak tam lekcje na temat lokalnej historii?

– Malarz, którego mi pan polecił, mówi, że robię wielkie postępy.

– W zrozumieniu historii tej ziemi?

– W sensie że chwytam mentalność.

– Dobrze.

– Inspektorze, co do informacji, jestem w dobrym miejscu...

– Wracam do kwestury – uciął Stucky.

Wybierając numer do lekarza rodzinnego Jolandy Schepis, Stucky miał nadzieję, że nie przerwie medykowi jakiegoś ważnego zabiegu.

– Panie doktorze, raz jeszcze inspektor Stucky, przepraszam, że niepokoję. Potrzebuję jeszcze jednej informacji na temat biednej signoriny Schepis. Wie pan może, czy chodziła do ginekologa?

Lekarz wydawał się zadowolony, że może potwierdzić, i podał nazwisko bardzo znanej specjalistki z Conegliano, którą sam jej

polecił. Może telefon przerwał mu badanie dotykowe wątroby, mierzenie ciśnienia staruszkowi choremu na serce albo nie wiedzieć którą już konsultację w sprawie dolegliwych żyłaków.

– Pani doktor Angelin? Mówi inspektor Stucky. Dzwonię w sprawie jednej z pani pacjentek, Jolandy Schepis.

– Straszna sprawa, bardzo to przeżyłam. Tym bardziej, że badałam ją w poniedziałek, zanim...

– Coś szczególnego?

– W poniedziałek rano w naszym ambulatorium poddała się badaniu, które oprócz innych rzeczy miało sprawdzić, czy nie jest w ciąży. Mogę panu tylko powiedzieć, że wynik był negatywny.

– Rozumiem. Nie może mi pani powiedzieć nic więcej?

Nastała krótka chwila ciszy.

– Nie powinnam... ale ta tragedia... badania wykonane we wcześniejszych miesiącach przekonały mnie, że signorina Schepis nie będzie mogła nigdy mieć dzieci. Ona w to nie wierzyła, ale...

*Antimama...*

Spojrzał na materiał zebrany przez Landrullego na temat Jolandy Schepis. Były tam wyciągi z konta bankowego, operacje z ostatnich trzech miesięcy, kopia umowy najmu mieszkania, informacje o płatniku mediów.

Rodzina przelewała na konto Jolandy coś w rodzaju comiesięcznej renty. Reszta to były normalne operacje, wypłaty z bankomatów, zakupy oraz jedno zlecenie przelewu na konto hotelu Cipriani w Asolo. Ponadto powtarzające się regularnie w comiesięcznych odstępach przelewy na kwotę tej samej wysokości kazały sądzić, że to był czynsz za mieszkanie. Wszystkie media były przepisane na signorinę Schepis od pierwszych miesięcy po podpisaniu umowy najmu. Właścicielem nieruchomości był znany już im pan Springolo, który po dokładniejszym zbadaniu okazał się tylko współwłaścicielem

sklepu, w którym była zatrudniona Schepis. Drugim właścicielem była sama pani Veneziani. Szlachetny człowiek dał dziewczynie dom i pomógł jej znaleźć pracę. Zdaje się też, że był wielkoduszny w ustaleniu wysokości czynszu, chyba że odbierał część osobiście. Jak dyskretny fakt, o którym nikt nie wie.

Właśnie minęła dziesiąta i Stucky uznał, że ma czas, by zamienić parę słów ze starym kamienicznikiem.

– Signor Springolo, tutaj inspektor Stucky, nie przeszkadzam?

Głos po drugiej stronie był poważny.

– Dzwoni pan z powodu dziewczyny?

– Tak, signoriny Schepis. Mogę pana odwiedzić w biurze za jakiś kwadrans?

– Właśnie wychodzę do baru Borsa z dwoma klientami.

– W takim razie znajdę pana w barze, to nawet lepiej...

Choć nigdy nie widział pana Springolo, nie miał trudności z rozpoznaniem mężczyzny siedzącego w najbardziej oddalonej części baru w towarzystwie dwóch innych. Był człowiekiem imponującej postury, prawdziwym goliatem cegieł i miał wszystkie cechy dewelopera, niebieski kaszmirowy płaszcz, jedwabny szalik z orientalnym motywem, szary kapelusz leżący na stole przed klientami, no i tę majestatyczną głowę. Palił tak, jak to robią tylko ludzie interesu, wydmuchując dym do góry, z głową odchylną do tyłu, by nieco przymknięte, uważne oko lepiej oceniło wartość transakcji.

Stucky grzecznie usiadł przy stoliku naprzeciwko i przywitał skinieniem mężczyznę, który bez trudu odgadł, z kim ma do czynienia.

Przy czym signor Springolo nie czuł się w obowiązku przyspieszania swoich interesów i burczał, wyjaśniał i dawał sobie tłumaczyć przez pół godziny z okładem skomplikowane możliwości deweloperskie zawarte w planie zagospodarowania

przestrzennego, które być może umknęły uwadze wygłodzonej rzeszy przedstawicieli lokalnej branży budowlanej. Dopiero po wyjściu obu mężczyzn z baru i po dłuższej chwili spędzonej na przypatrywaniu się Stucky'emu signor Springolo powstał w całej swej majestatycznej postaci, by zająć miejsce przy stoliku inspektora. Miał grube mięsiste wargi, jakby przez całe życie ssał kobiece piersi, jakby łąpczywie sączył z nich mleko, póki zmęczone mięśnie nie odmówiły posłuszeństwa.

– Zakładam, że chce mnie pan zapytać o coś w związku z dziewczyną – powiedział.

– Dlaczego mówi pan o niej „dziewczyna”?

– Dla starego człowieka, jak ja, to są dziewczyny.

– Są? One?

– One.

Wodniste oczy, krzaczaste brwi, może kiedyś był przystojnym mężczyzną, raczej nie ojcem rodziny, a przynajmniej nie swojej, z pewnością zaś był mężczyzną nienawykłym do marnowania własnego czasu.

– To była dobra dziewczyna. Nie żebym się nią zajmował. Nie sprawiała żadnych problemów. Zresztą jej ojciec był najlepszą gwarancją.

– Jaką rodziną są Schepisowie?

– Mało płodną, ale to musi być wina kobiety, rodzina po stronie ojca jest wielodzietna. Żona jest smutną kobietą, smutną z powodu swego wnętrza, że tak powiem. Takie już są chore kobiety. Poznałem ich wiele lat temu, w okresie parcelacji naszych plaż. Signor Schepis jest odważny i słowny. Kupuje, sprzedaje, sprawny, szybki, wielki specjalista od dobrych okazji.

– I wysłał do pana córkę po wielu latach owocnej współpracy. Dziewczyna nie czuła się dobrze w Trieście?

– To stare miasto. A młodzież się przemieszcza, nic w tym



dziwnego.

– Problemy rodzinne czy sercowe?

– Próbowwała pójść na uniwersytet. Biologia morska, rzeczy dla myślicieli, wielkie idee, ale żadnego konkretnego. Pewnie się zmęczyła...

– Ile pan brał za wynajem?

– Wynajem? Kto panu powiedział, że płaciła mi za mieszkanie?

– Rodzina wysyłała jej co miesiąc pewną sumę. Co oznacza, że pensja ekspedientki nie wystarczała na jej potrzeby. Może czynsz jej ciążył...

– Schepisów stać na utrzymywanie córki w tym mieście, nawet gdyby w ogóle nie pracowała. A ja prowadzę z panem Schepisem takie interesy, że nawet znacznie większy dochód, jaki mógłbym uzyskać z takiego mieszkania, w porównaniu z resztą byłby skromniejszy od napiwku.

– A ta kwota, która figuruje na wyciągach bankowych ofiary?

Pan Springolo rzucił szybkie spojrzenie na kartkę, którą podał mu inspektor, i wybuchnął śmiechem.

– Gdybym chciał wynajmować to mieszkanie, a nie po prostu udostępniać signorinie Schepis z racji łączących mnie z jej rodziną interesów, czynsz byłby dwukrotnie wyższy.

– A jej pensja?

– Działalność handlowa jest w rękach signory Veneziani. Proszę ją pytać.

– Signora Pitzalis miała ofiarę na oku. Z pewnością to pan znalazł signorinie Schepis dobrze strzeżone mieszkanie. Signora Pitzalis składała relacje także panu czy tylko ojcu?

Pan Springolo udał, że nie usłyszał, i spojrzał Stucky'emu prosto w oczy, jakby czekał na prawdziwe pytanie.

Zadzwoił telefon.

– Inspektorze? Przyszły wszystkie, są w pana biurze.

Zdenerwowane.

– Ekspedientki? Już idę.

Podziękował panu Springolo za współpracę, zostawiając go nieporuszonego przy stoliku.

Landrulli ustawił krzesła równiutko i tak daleko od biurka, że inspektor, gdy za nim usiadł, ogarnął je wszystkie jednym spojrzeniem, a one czuły się obserwowane od stóp do głów.

– Przysuńcie się bliżej – polecił tymczasem Stucky – to jest sprawa wymagająca dyskrecji...

Zaskoczone dziewczyny przesunęły krzesła o metr do przodu, prawie pod samo biurko.

– Wiem, że wymyśliłyście tę sprawę z napaściami – powiedział cicho.

Milczenie. Domyślał się, że Ricci już je uprzedziła. Jeszcze cichszym głosem kontynuował:

– Pewnie miałyście po temu swoje powody. Na przykład protest przeciwko otwieraniu sklepów w dni świąteczne albo przedłużeniu godzin otwarcia. Albo też jesteście bardzo związane z waszą profesją i martwicie się, że interesy w sklepach nie idą za dobrze, więc uznałyście, że w ten sposób wzbudzicie swego rodzaju niezdrowe zainteresowanie. Bez wątpienia podziałało. Nigdy jeszcze nie kręciło się w centrum tyle ludzi, co obecnie. Niestety, ktoś wykorzystał całe to zamieszanie i nie ma już wśród nas signoriny Schepis.

Zapadła cisza tak ciężka, że można było jej dotknąć, jedna z dziewczyn dostała nerwowego szloch i niekontrolowanym ruchem dłoni zniszczyła sobie idealny makijaż prawego oka. Jedyne signorina Bergamin patrzyła inspektorowi prosto w oczy.

– Jeśli pozwolicie, chciałbym opowiedzieć obecnemu tu posterunkowemu Landrullemu, jak to wyglądało. Domyślałam się, że wy już to wszystko wiecie...

– Signorina Leonardi, odwiedzająca tu czasem swojego stryja komisarza, i z odwzajemnioną sympatią odnosząca się do mojego kolegi Martiniego, usłyszała, jak wymsknęła mu się uwaga o anonimowych telefonach, jakie otrzymywały niektóre z jej koleżanek. Świętej pamięci Martini nie przywiązał do sprawy specjalnej wagi, wsadził zgłoszenie do teczki i gotów był o sprawie zapomnieć. W pewnym sensie miał rację: prawdopodobnie wszystkie te telefoniczne ataki należy przypisać złości pana Manzoniego, jednak pamiętać należy, że starzec nie byłby w stanie ani śledzić, ani napastować kogokolwiek w zaułkach i pod portykami miasta. W tym momencie, mój drogi Landrulli, zdarzyło się coś dziwnego: signorina Bergamin również zaczęła dostawać napastliwe telefony i gdy rozmawiała o tym z signoriną Leonardi, przyszedł jej do głowy sympatyczny pomysł. To musiała być olbrzymia pokusa; ktoś właśnie podsuwał na srebrnej tacy okazję, by zrobić trochę szumu wokół waszej szlachetnej profesji. Signorina Bergamin, której nie mogę odmówić wielkich zdolności, z pomocą przyjaciela bibliotekarza i wraz z tu obecną uroczą grupą przyjaciółek zaplanowała prawdziwą świąteczną szopkę: ciąg udawanych napaści, przypisanych złoczyńcy o atletycznych umiejętnościach godnych Pietra Mennei<sup>16</sup> w jego najlepszych czasach. Dostrzegasz smakowitość tej inicjatywy? Pewnie świetnie się bawiłyście za plecami biednego inspektora! Wymyśliłyście wszystkie te rzeczy: czekoladkę w prawej kieszeni i czekoladkę w lewej kieszeni; sportowe buty i wojskowe buciory...

Przerwał, by zaczerpnąć oddechu.

– Kto był tak pomysłowy i wymyślił czekoladki? – zapytał na koniec.

Signorina Ricci podniosła paluszek podobny do szpilki, którą miała wpiętą w jedwabną bluzkę.

– Brawo, signorina Ricci! Pani wyrafinowanie kazało nam

solidnie wyteńczyć mózgownice. Szkoda tylko biednej Schepis. Cóż, pewne historie otwierają dziwne sposobności. Naturalnie zdajecie sobie sprawę, że fałszywe zawiadomienie o przestępstwie samo jest przestępstwem. Ale istnieje możliwość, żebyście zapłaciły społeczeństwu za wyrządzoną szkodę. Chcę was prosić, żebyście...

– Jest pan pewien, że zadziała? – zapytał Landrulli na zakończenie długiej rozmowy.

– Zobaczysz, że będą jak psy gończe. Wyciągnij jak najszybciej te billingi signoriny Schepis. I...

– Tak?

– Jestem coraz bardziej przekonany, że Schepis miała drugie mieszkanie. Sprawdź, kto korzystał z tego comiesięcznego przelewu.

Zastanawiało go raczej, z jakiego powodu kobieta zapłaciła rachunek w hotelu Cipriani. Kobieta płacąca za hotel, to było coś nowego. Może kwestia pokoleniowa.

Dojazd do Asolo zajął mu mniej niż godzinę.

Najpierw ruszył drogą do Possagno, a potem, szosą pełną łagodnych wzniesień i zakrętów, wjechał do Asolo od tyłu, od północy. Jeśli istniało na tych ziemiach miejsce, w którym nienaruszony pozostał wdzięk pejzaży i poczucie zatrzymanego czasu, to musiało być właśnie tutaj. Spłachetek ziemi, który uratował się przed rozsianym stwardnieniem nadmorskiej równiny.

Zostawił samochód przy prowadzącej na wzniesienie drodze i przeszedł spory kawałek aż do początku zabudowań, dostrzegając już zapowiedź tego, czym było to miasteczko z willami i parkami po obu stronach drogi i ciszą, którą zakłócali jedynie rowerzyści, wykorzystujący dobrodziejstwa grawitacji do swobodnego zjazdu. Nieco dalej jego oczom ukazały się stare

budowie, masywne kamienice z balkonami, belkami i wszystkimi tymi detalami, które karmią oczy nawet tych niemających pojęcia o architekturze.

Skrećiwszy w uliczkę w lewo, natychmiast dostrzegł szyld hotelu Cipriani, podkreślony dodatkowo parkującym przed wejściem luksusowym samochodem. Postanowił rzucić okiem na wejście i wyrobić sobie opinię o tym miejscu.

Nie był w Asolo od wielu lat, przynajmniej odkąd zaczął wolny czas spędzać na targach staroci, przemieszczając się od jednej ekspozycji do drugiej. Lokalna społeczność zadbała, by nie dotarli tu żarłoczni kamienicznicy, ekipy rozbiórkowe, architekci i ich wasale geometrzy, przekonani o nowoczesnej potędze betonu. Spokojnie, acz zdecydowanie miasteczko obroniło swoją strukturę. Deweloperom odstąpiło absolutne minimum. Na rogu zastał ten sam, co poprzednio, sklepik z piórami do kaligrafii i cennym papierem, poniżej fontannę, nad placem z parkingiem te same drzewa, portyki i fasady bogatych kamienic.

Widać było, że tkankę miejską zachowali nieustępliwi właściciele samodzielnie prowadzący swoje sklepy, którzy posiadanego majątku nie powierzali, a jeśli nawet, to tylko okazjonalnie, w ręce zatrudnionych ekspedientek. Od kamieni po tkaniny, meble i precjoza, wchodzącego wszędzie witała twarz właściciela, świadomego przywileju, jaki otrzymał wraz z tym miejscem.

Lodziarnia naprzeciwko fontanny na placu miała jeszcze stoliki na zewnątrz, w promieniach zimowego słońca siedzieli przy nich panowie w kapeluszach i luksusowe kobiety, Anglicy, Amerykanie i zamożni Niemcy. Wszyscy zachwyceni tym miasteczkiem niczym diament oprawny we wzgórza.

Siedząc przy stoliku, popijał kawę o słabym smaku i karmił oczy sielskim spokojem. Normalna ekspedientka nie mogłaby nawet

pomyśleć o zamieszkaniu w hotelu Cipriani czy o kaprysie płacenia tam za cokolwiek. A jednak ten fakt kazał mu jeszcze bardziej cenić signorinę Schepis, zobaczyć ją w innym świetle, wzmocnić przekonanie o głębokiej wrażliwości estetycznej tej kobiety.

Zwlekał, jakby oczekiwał, że w hotelu czekają na niego same złe wiadomości. W końcu jednak, nim słońce się nachyliło, zebrał się w sobie i wszedł do recepcji prestiżowego hotelu dla zamożnych turystów, przyczółku luksusowej sieci, której główna siedziba pyszniła się w mieście na lagunie.

Stucky wywołał wśród personelu odruch powściągliwego zaskoczenia, gdy tylko przekroczył próg bez bagażu, bez towarzystwa, bez czegokolwiek, co by mogło wskazywać, że podróżuje dla przyjemności po ziemiach Europy.

– Inspektor Stucky – przedstawił się recepcjoniście w liberii z galonami.

– W czym mogę pomóc?

– Chciałbym porozmawiać z osobą odpowiedzialną.

– Za co konkretnie?

– Za całość.

– W takim razie z panem Maestralim.

– Pan Maestrali będzie doskonały.

Z wystawnego atrium poprowadzono Stucky'ego do części administracyjnej hotelu i usadowiono we wspańiałym osiemnastowiecznym fotelu. Poczekalnia wytworniejsza od całego jego dotychczasowego życia.

Pan Maestrali, który pojawił się w drzwiach swojego gabinetu, był rzeczywiście doskonały, nie potrafiłby go sobie wyobrazić w przydeptanych pantoflach. Prosta sylwetka, pewne siebie spojrzenie, nawet cienia irytacji, że będzie musiał poświęcić nieco własnego czasu na rozmowę z policjantem. Zaprosił do środka

gestem pełnym spokojnej gościnności. Gabinet był zaskakująco nowocześnie umeblowany.

– Jesteśmy połączeni ze światem – powiedział, dostrzegając zainteresowanie, z jakim Stucky przyglądał się komputerowi i reszcie sprzętów. – Proszę mi wybaczyć, że nie mogę poświęcić panu zbyt wiele czasu, ale zrobię co w mojej mocy...

– Chodzi o regularne przelewy na wasze konto. Wykonywane przez signorinę Schepis.

– Dziewczynę zamordowaną kilka dni temu.

– Pamięta ją pan?

– Pamiętam wszystkich naszych klientów. Dowiedziałem się o tej nieszczęsnej śmierci i było mi bardzo przykro...

– Chodzi mi o to, czy pamięta pan jej wygląd?

– Ciemnoskóra, fascynująca dziewczyna.

– A kwota, na którą opiewa przelew...

– Już sprawdzam. Podejrzewam, że to był bardzo krótki pobyt.

Przeniósł się do stołu, przed ekran komputera.

– Tak jak sądziłem. Dwie noce, czwartego i piątego grudnia.

– Była z kimś?

– Nie. Była sama przez cały czas. Przyjechała w sobotę wieczorem i została przez całą niedzielę. Wyjechała w poniedziałek rano.

– Dziwne...

– Zdarza się, że klient chce sobie zafundować przyjemność spania samemu w podwójnym łóżku...

– Wasze pojedyncze nie są wygodne?

– Nie mamy pojedynczych, panie inspektorze.

– Ale to droga przyjemność. A signorina Schepis była ekspedientką. Ile ekspedientek gościecie u siebie w ciągu roku?

– To kłopotliwe pytanie. Nie sprawdzamy, kim są z zawodu nasi klienci.

– Dwie? Trzy?

– Żadnej, jak sądzę. Z wyjątkiem signoriny Schepis, jak pan mówi.

– Nikt z personelu nie widział jej w towarzystwie? Z przyjacielem, przyjaciółką?

– Sądzę, że nie.

– Ale jak może być pan tego pewny? Chyba nie śledzi pan każdego klienta...

– Jesteśmy dyskretni. Ale to nie znaczy, że ślepi.

– Innymi słowy, nic nie umyka waszej uwadze.

– Nic. Choć, powtarzam, z zachowaniem absolutnej dyskrecji.

– Czy mógłbym zobaczyć, dyskretnie, ma się rozumieć, pokój, w którym nocowała Jolanda Schepis?

Pan Maestrali króciutko się uśmiechnął. Stucky uznał, że jeszcze nie przeciągnął struny, i pozwolił sobie na zapytanie, czy Schepis była elegancko ubrana podczas swojego pobytu i czy wyglądała na zdenerwowaną, czy też zwyczajnie zadowoloną.

– A jak inaczej mogłaby się ubrać?

– Na sportowo...

– Wydawała się zdenerwowana, to tak.

Pokój był na drugim piętrze, w końcu obszernego korytarza wyłożonego dywanem, który tłumiał kroki. Pan Maestrali otworzył drzwi z tak niezwykłą wprawą, jakby ograniczało się to do pstryknięcia palcami. Stucky nigdy dotąd nie widział takiego pokoju hotelowego i oszołomiony stał w progu.

– Gratulacje – udało mu się w końcu powiedzieć menedżerowi, który patrzył na niego zadowolony z wywartego wrażenia.

– Serdecznie dziękuję, panie inspektorze.

– Panie Maestrali... Jeśli ten pokój jest wolny tej nocy, chciałbym go zająć.

– Karta kredytowa?



– Faktura?

– Naturalnie.

Nie, nie miał w zwyczaju pławić się w takich luksusach. Musiał się przyznać sam przed sobą, że signorina Schepis zaczęła go ciekawić bardziej, niż tego wymagała zawodowa potrzeba. Pomyślał, że powinien przynajmniej postarać się o szczoteczkę i nieco pasty do zębów. Jakby czytano mu w myślach, do drzwi zapukała pokojówka i informując, że pan Maestralli polecił jej szybko zadbać o jego potrzeby, wręczyła mu kosmetyczkę z ciemnej skóry, wypełnioną przyborami toaletowymi, włącznie ze wspaniałym pędzlem do golenia, pięknie pachnącym kremem i brzytwą o kościanej ręczce.

Rzeczy z innych czasów. Podziękował pokojówce.

– Pani obsługuje to piętro? – zapytał.

– Tak, proszę pana.

– Widziała pani kiedyś tę dziewczynę? – Pokazał jej zdjęcie Schepis.

– Tak, proszę pana. Paręnaście dni temu.

– Dokładnie. Pamięta pani, czy była z kimś?

– Nie. Wiem, że jadła tutaj kolację, sama.

– Czy potem wyszła?

– Tego nie wiem.

– Na której jest pani zmianie?

– Zostaję tu do dwudziestej trzeciej.

– Czyli nie widziała pani, żeby wychodziła. Ale po dwudziestej trzeciej...

– Wieczorem wszyscy wychodzą.

Wyciągnął się na łóżku. Popatrzył na sufit tak, jak patrzyła na niego Schepis, wyobrażająca sobie wyjątkowe spotkanie, do którego prawdopodobnie nie doszło. Pozwolił myślom swobodnie błądzić. Co ekspedientka ze sklepu odzieżowego robiła w miejscu,

które odwiedzali bogaci amerykańscy i angielscy lenie, niemieccy i węgierscy esteci? Bogaty kochanek? Kochanek, który do niej nie dojechał? Stary Springolo?

Szczególna okazja, świętowanie czegoś ważnego.

Zszedł na dół, zadowolony z możliwości przyjrzenia się kawałkowi luksusowej ludzkości. Oni byli naprawdę odmienni od zwykłych śmiertelników, których spotykał na co dzień. Pary otulone w najlepsze tkaniny, noszące na stopach cenną skórę i rozsiewające wokół siebie aromatyczne harmonie. Definiując ich krótko i najbardziej syntetycznie: doskonali. Dobrze uczesana kobieta, pani o błyszczącym spojrzeniu, długi mężczyzna spokojnie zakładający nogę na nogę, prawa u góry, lekko drgająca. Pary, które przyjechały w interesach, dwaj bankierzy, armator z wiatrem we włosach, trzech młodzi udziałowcy we własnych spółkach, piękni ludzie. I wszyscy emanujący szczęśliwą aurą, zamyśloną, ale swobodną, rozkoszujący się zarzuceniem kotwicy w tym małym porcie na wzgórzu.

Kelner zaproponował mu wieczorny aperitif, ktoś już płynął do jadalni, jeśli także w tym miejscu tak się nazywała przestrzeń poświęcona rozkoszom stołu, dźwięcząca srebrem i kryształem.

Stucky pomyślał, że prawdopodobnie był pierwszym policjantem, który jadł kolację w hotelu Cipriani, ponieważ zamordowana została ekspedientka, która w nim przebywała.

A może to był pan Maestrali, pomyślał, śmiejąc się w duchu.

Także Schepis była tu obsługiwana i otaczana rewerencją. Jadła pewnie z tą samą przyjemnością, sądząc po jakości potraw. I nie tylko: doceniała pewnie estetykę podania, formę, która mówiła o pieczołowitości i nowatorstwie. Wielcy mówcy pracowali w tutejszej kuchni. Niewielka ilość, doskonała jakość. Pozwolił sobie na więcej wina, ale z rozsądkiem.

Wieczór, mimo zimowego chłodu, był ożywiony. Inspektor

odkrył, że lokale w miasteczku mają licznych gości, a przede wszystkim dowiedział się od właściciela baru z przeszłością enologa, że w tutejszych willach odbywały się częste spotkania miejscowych i obcych, których i tutaj nie uważano za obcych, zawiązywały się przyjaźnie, dokonywała się wymiana myśli i toczyły dyskusje, niczym w wielkim wieczerniku z dawnych czasów.

Schepis mogłaby bywać w jednym z tych salonów, rozkochać w sobie jakiegoś rentiera, a potem wzbudzić w nim szal zazdrości.

Siedząc na beczce zamienionej w siedzisko, poszczypując chleb i popijając wino o rubinowym kolorze, czuł się nieubłaganie ciągnięty w stronę hipotez miłosnych, intryg spod znaku serca i skóry i wstyd mu było z tego powodu.

Kiedy uznał, że czas wracać do hotelu, gdy tak spoglądał na wysokie piętra kamienic, jasne okna i zapalone światła domów na zboczu, poczuł nutkę goryczy.

Człowiek w recepcji wręczył mu bilecik od pana Maestralego, który poszedł już do siebie.

„Zapomniałem powiedzieć Panu o jednym szczególe. Signorina Schepis zamówiła kurs hotelowym samochodem ze stacji kolejowej w Mestre aż do hotelu. Dokładnie o dziewiątej trzydzieści w niedzielę rano. Kurs nie został zrealizowany, ponieważ żaden klient się nie pojawił. Mam nadzieję, że to będzie dla Pana użyteczna wiadomość”.

Wrócił do pokoju, dyskretnie obserwowany przez personel, mijając w korytarzach milczące postaci, nie zawsze ukradkowo gdzieś przemykające.

Zasnął na tym samym materacu, na którym niewiele wcześniej samotnie spała Jolanda Schepis.

*Pierwsze po rozpoczęciu nowej działalności Boże Narodzenie,*

*w naszej rodzinie najważniejsze święto w roku, spędziliśmy bardzo podniesieni na duchu. Bardzo. Dochody były dobre, nie można zaprzeczyć. Lepsze niż ze żwirowni. Lepsze niż w gabinecie dentystrycznym, powiedziała babcia. Wzniostem toast.*

*W czwartek 9 stycznia czterysta metrów od naszego terenu, na kawałku ziemi należącej do Cavasina, zauważyliśmy wielki ruch. Samochody, parę ciężarówek, koparka, grupa robotników i, co najgorsze ze wszystkiego, jakiś facet z mapą w ręku. Szedłem właśnie otworzyć składowisko, kiedy widzę tę całą procesję i tego dystyngowanego gościa, który wyglądał mi na inżyniera. Zwalniam kroku. Jedna z ciężarówek ma napis „Przedsiębiorstwo budowlane Foltran”. Po plecach przeszedł mi dreszcz. Jak tylko przyjechała mama, kazałem jej jechać do gminy i zapytać, czy nie dali jakiegoś pozwolenia na budowę.*

*Żadnych bloków, mówi mama uspokajająco. Budują spalarnię.*

*A, to dobrze, powiedziałem sobie. Jesteśmy dwoma różnymi segmentami branży śmieciarskiej, ale kiedy w końcu dotarło do mnie słowo „branża”, uświadomiłem sobie, w czym problem, i popatrzyłem na swoje wysypisko, ciągnące się stopy jak łagodne wzgórza Rwandy, otwarte czaszki zużytych rzeczy, fumarole, płonące kominy, gazy fermentacyjne, i zobaczyłem istotę sprawy: byliśmy niczym więcej jak dziurą w ziemi, do której wrzucamy odpadki zapakowane w plastikową torbę. Wielką dziurą. A tam, obok, budowali technologiczne monstrum, las przewodów, pieców i kominów; manometry, przewody elektryczne, tablice rozdzielcze, czujniki i sensory; nadzór elektroniczny, zestawienie danych, analizy spektrofotometryczne i inne diabelstwa. Właśnie tak, diabelstwa! Jakby piekielna gardziel bezczelnie rozwarła się na powierzchni ziemi.*

*To piekło zacznie od spopielenia rzeczy łatwopalnych, torebek po frytkach, biletów autobusowych, skórek pomarańczy i łupin*

orzechów. Potem rozszerzy działalność: plastik, drewno i kto wie, może nawet ceramika i gruz trafią do krematoryjnego pieca, może nawet karoserie samochodów, a stopiony metal będzie spływał do specjalnych zbiorników, a potem odeślą go do fabryki. Przedsiębiorcy będą zadowoleni, dadzą właścicielowi medal za zasługi w pracy, nagrodzą i opiszą w prasie. Bo w końcu po co rozwalać odpadki na drobne i wyrzucać je na składowisko? Dlaczego nie zabrać ich do piekła, jeden płomień i już, wszystko wraca do punktu wyjścia, wszystko się rozdziela i zostaje odzyskane...

*Jakiś koszmar!*

Patrzyłem na prędkość, z jaką działała konkurencja. Tirami zwożono materiały, rury i kawały blachy. Grodzono teren, umieszczano tablice informacyjne. Rankiem fundamenty, pierwsze mury dzień później, komin wznoszący się dzień za dniem niczym gigantyczne cygaro. Robotnicy niestrudzenie biegali z jednego miejsca na drugie pod kierunkiem tego samego dystyngowanego dżentelmena, co to wyglądał na inżyniera. Wciąż on. Dniem i nocą. On ze swoimi papierami, porządnie złożonymi. Z otwartymi papierami, z papierami pod pachą, z papierami skierowanymi ku niebu albo w jakimś odległym kierunku: ku przyszłości.

A żeby zdechł, pomyślałem. Cały ten rejwach mnie rozpraszał. Ciężarówki z odpadkami przejeżdżały koło mnie, a ja ich niemal nie zauważałem. Otepiały jeździłem w kółko spychaczem po pagórkach, jak na karuzeli, z włączoną muzyką. Mało brakowało, a rozjechałbym mamę i jej psy, wciąż uganiające się za mewami. Wymijam ich, a mama krzyczy. Te kobiety ciągle krzyczą. Nigdy nie rozumieją, jakie myśli gnieźdzą się w głowie odpowiedzialnego przedsiębiorcy.

Z wysokości mojego pagórka widzę, jak posuwają się prace nad spalarnią. Asfaltowali plac i dojazd łączący spalarnię z drogą

publiczną. Ich ciężarówki pomieszają się z naszymi. To się skończy nieopisanym chaosem. Napisałem do asesora od urbanistyki i dróg: Pomyśleliście o korkach, jakie się utworzą wraz ze zwiększeniem ruchu spowodowanego spalarnią?

Oczywiście, odpowiedział, i dlatego postanowiliśmy udzielić wam dostępu do terenów gminnych co drugi dzień, naprzemiennie, za wyjątkiem niedziel.

Poczułem się tak, jakby wszystkie mewy świata zleciały się na nasze składowisko.

Musiałem zwołać w tej sprawie zebranie rodzinne.

Chodzi o to, powiedziałem, że zmieniają reguły gry: mogą nas czekać ciężkie czasy. Podpalmy spalarnię, powiedziała babcia, zatykając rurkę od tracheotomii. A przynajmniej tak rozumiałem. Nie, to jeszcze nie czas na wojnę. Zachowajmy spokój. Agresję zostawmy na później, jeśli ci ze spalarni zaczną nam podbierać klientów. Na razie uderzymy w żołądek. Zgoda?

Otworzyli spalarnię z wielką pompą. Były władze gminne i prowincjalne, asesorzy, przedsiębiorcy i elegancko ubrani ludzie. W pewnym momencie wrzucili coś do pieca i pokazał się pierwszy pióropusz dymu wylatujący z komina.

„A to nie będzie zatruwać?”, powiedziałem i zaraz następnego dnia napisałem do asesora od ochrony środowiska, stwierdzając, że jako mieszkaniec czuję się zagrożony gazami uwalnianymi do atmosfery przez spalarnię. Ten mi odpowiedział, że ten pierwszy raz to była tylko próba, spalili tylko parę ścierek, i żeby mnie uspokoić, poinformował, że przewidziane są rygorystyczne systemy kontrolne. Korzystał również z okazji, by powiadomić mnie, że sanepid poinformował go, iż dane analityczne z naszego laboratorium nie są całkowicie wiarygodne.

Pobiegłem do Filiberta i, inaczej niż zwykle, nie zatrzymałem się przed drzwiami, ale wszedłem do środka i tak samo szybko

wyszedłem, by nabrać powietrza, ponieważ w laboratorium nie było żadnego laboratorium, tylko półki z książkami, biurko, fotel na biegunach i Filiberto pochłonięty lekturą. A co z wynikami analiz?

Miał ich kilkanaście różnego rodzaju, dla różnych typów odpadków, fotokopiował je dziesiątkami, dopisywał tylko bieżącą datę i składał podpis. Od ponad roku wysyłał do sanepidu kserokopie analiz, wszystkie takie same.

„Dlaczego nie robiłeś badań?”, wydusiłem z siebie zaledwie.

„Bo robienie badań jest jak próba odkrycia sensu historii, a odkrycie sensu historii jest jak szukanie znaków w chmurach”.

„Ty w ogóle nie jesteś chemikiem”.

„Mam magisterium z filozofii”.

„Ale ona jest w kryzysie”.

„Otóż to”.

„Jesteśmy skończeni”.

Przepaść. Staliśmy nad krawędzią przepaści. Konkurencja wychodziła jak potwór z wód, a mój laborant za moimi plecami oszukiwał sanepid, a to oznaczało inspekcję na miejscu i taki mandat, że się nie pozbieram.

Miałem pokusę, by wziąć Filiberta za fraki i pogrzebać go w jednym ze stanowisk wysypiska, ale pomyślałem, że pewnie ma rodzinę. Może ktoś by zaczął mieć podejrzenia. Zwolnić go? Właśnie. Ale po co?, zacząłem się zastanawiać. W pewnym sensie był słowny. Pieniądze, o które prosił, służyły tylko do robienia kserokopii. Co najwyżej trochę na tym zarobił. Ale trzymał się ram wyznaczonych w swoim budżecie. W sumie słowny gość.

Patrzyłem na horyzont, czekając już, aż pojawi się samochód inspektorów sanepidu, a kątem oka obserwując czarną sylwetkę spalarni, która zastaniała wschodzące słońce i już od wczesnego rana zaczęła wypuszczać wąską strużkę dymu z komina. Śledziłem

*trasę tego przekłętego wyziewu, wznoszącego się coraz wyżej i coraz cieńszego, a w końcu rozwiewającego się w powietrzu, niekiedy zaś przybierającego dziwne formy, kędzierzawe, rozgałęzione, nitki dymu ciągnące się równolegle do ziemi, a kiedy indziej pędzące wprost do góry jak naddźwiękowy samolot. I tak przyszło mi do głowy, że jest jakaś relacja między tym, co jest spalane, a formą dymu. Kazałem Antonietcie robić notatki na temat dymu: niech konkurencja czuje presję. Usadziłem ją ze szkicownikiem przed bramą składowiska i poleciłem rysować kształt dymu. Ponownie powierzyłem mamie ważenie ciężarówek i inkasowanie pieniędzy, suczka Barbie radziła już sobie sama, a cztery szczeniaki spały się na mewich kościach. Tyle że Antonietta gubiła się przy szkicowaniu, siedząc z nosem zadartym w górę, myślała o niebieskich migdałach. Po prostu bujała w obłokach. W dwa dni nie naszkicowała niczego, chociaż spalarnia wypuściła kominem kwintale nieczystości.*

*Z powrotem postawiłem Antonietkę przy wadze, mamę skierowałem do mycia opon ciężarówek, a babcię do rysowania dymu. Wiedziałem, że miała artystyczną żyłkę. Zastanawiam się, czy będą się jeszcze rodzić kobiety tego rodzaju, co ona, albo kim by się stała, gdyby przyszła na świat w arystokratycznym, lub choćby bogatym domu. Z temperamentu była dominująca, z tych, co nie tracą czasu na pranie cudzych rzeczy i szczęśliwie siedzą przy oknie, patrząc na przejeżdżające samochody: z tych, co nie piorą innym majtek i nie nalewają głowie rodziny wina do szklanki. U niej potrafię to tolerować. Ma coś w spojrzeniu, jakąś siłę w rękach, kiedy cię łapie, by ci coś powiedzieć, jakby chciała osiąść całą twoją uwagę. Opowiada o swoich czasach, dawno zamierzchłych, o swojej młodości i pracy na polu, o swoim rodzeństwie, o pyle unoszącym się w młynie i o świeżej wodzie, ale to wszystko sceneria, jak w teatrze. W tych wspomnieniach ona jest*



*nostalgia, rozmytym życiem, ona była gdzie indziej i nigdy nie powiedziała nam, gdzie. Potem zachorowała na szyję, przeszła operację i mówi tylko czasami, przykładając palce do tego czegoś jak korek, który wszczepili jej w szyję. Ale ręce ma jeszcze silne i pewne. Patrzy na dym ze spalarni i szkicuje go kilkoma pociągnięciami ołówka, a potem wpisuje datę pięknym starym charakterem pisma, krągłym i pełnym zawijasów.*

*Ja poszedłem złożyć uszanowanie konkurencji. Taktyczny ruch i także nieco wielkopańskiej gościnności. Zabrałem parę butelek Incrocio Manzoni, białego lokalnego wina na wielkie okazje. Zostałem pięciu pracowników, jednego biuralistę i ciecica. Biuralista i cieć nie są z naszych stron. Dowiedziałem się, że firma jest z Mediolanu. Pili skromnie, bez wielkiego entuzjazmu, a potem pobiegli do pracy, do ciężarówek, a biuralista, ubrany na ciemno i w krawacie, powiedział: „Miło było pana poznać, panie Pierini” i był w tym szydery, prześmiewczy ton, który mi się nie spodobał. Podał mi nawet rękę, zimną i zdystansowaną, i nawet jego ciało oddaliło się ode mnie podczas uścisku, zamiast się zbliżyć.*

*Byli mediolańczykami. Nigdy nie lubiłem Mediolanu. Jest brudny i ma chaotyczny dworzec kolejowy. Byłem tam raz, u krewnych. Wyemigrowali do lombardzkich blokowisk, zostawiając ziemię i kanały pełne wody, topolowe gaje i łowienie szczupaków, by skończyć w wielkich fabrykach mebli albo koszmarnych masarniach z ubojniami, żeby sprzątać z posadzki gówno i krew, koniec niegodny dzierżawców czystej krwi, ludzi obznajomionych z traktorem i uprawą arbuzów. Tylko mój ojciec został na ziemi, choć nie potrzebował wiele, by odkryć, że ta ziemia była tylko warstwą, a pod nią było mnóstwo żwiru, a żwir był potrzebny do budowy ulic i bloków i płacono za niego znacznie więcej niż za kukurydzę.*

*Żwir naniósł rzeki wędrujące po równinie. Żwir jest naturalny.*

*Ale pozostawia po sobie pustą przestrzeń, co więc ja miałem zrobić?*

*A więc to byli mediolańczycy, co tłumaczyło całą tę technologię. To całe budowanie, kominy i mechanizmy. To nie są ludzie ziemi, jak tutaj. To są ludzie maszyn. Wszyscy ci z zachodu, mediolańczycy i turyńscy, są od maszyn. Maszyny i dym. Biuralista był z Mediolanu. Szyderca, taka już ich natura. Zachowują się jak wielcy panowie. Jakby widzieli nie wiedzieć co, a my tyle co nic. As karo przeciwko dwójce pik. Poza tym u nich technologia mniej kosztuje. Mają jej pełne kieszenie. Na pstryknięcie palcem.*

*Otóż wszystko to powiedziałem któregoś wieczoru w barze. Udałem, że jestem wstawiony. Od dawna nie chodziłem do baru w miasteczku. Mam inne przywary. Poza tym nie przyjaźnimy się za bardzo z ludźmi z miasteczka. Ale nie mogłem stać i nic nie robić, podczas gdy stawaliśmy się mediolańską kolonią. Czterej inni klienci przyznali mi rację, lepszy smród z wysypiska niż dym ze spalarni. Barman patrzył na mnie nieco z dala, oparty o szynkwasa. Kręcił głową. Trzeba by coś zrobić, zasugerowałem. Ale co? – powiedzieli.*

*Nie mogłem powiedzieć wprost. Tylko tyle, co niezbędne. Ale Antonietta jest uczennicą i umie się wyrażać, poza tym już czas, żeby młodzież zaczęła bronić naszej przyszłości. I tak ona wraz z koleżanką i jej mamą, która uczy religii, postanowiły narysować plakat i wywiesić go w gablocie parafialnej. Plakat, który potępiałby zanieczyszczanie środowiska naturalnego.*

*„Ale wszystkie zanieczyszczenia?” – zapytała Antonietta.*

*„Inaczej nie można było tego zrobić...”.*

*„Ale umieszczasz na tym samym poziomie nas i mediolańczyków? Jak brzmi to zdanie? O, proszę: Są zanieczyszczenia, które ważą tyle, co góry, i tyle, co piórko”.*

*Zasugerowaliśmy zgromadzenie mieszkańców w tej sprawie. Promotorem inicjatywy zgodził się być proboszcz. Adekwatna i uzasadniona ingerencja ze strony Kościoła.*

*Proboszcz wziął się do roboty przy zorganizowaniu zgromadzenia i kto wie, jaki anioł go natchnął. Ministranci chodzili od domu do domu z ulotką ilustrującą problem i podającą datę spotkania: piątek dwunastego kwietnia, godzina dwudziesta trzydzieści. Piątek po Wielkanocy.*

*Spotkanie z miejscową ludnością, na które gorąco zaproszeni zostali właściciele składowiska śmieci i spalarni. Twarzą w twarz.*

*W Wielki Piątek wieczorem odbyła się procesja, i poszliśmy na nią całą rodziną. Kiedy szliśmy po świątecznie przystrojonym mieście, przypomniało mi się, jak dobrze bawiłem się w dzieciństwie podczas wielkopiątkowej procesji, kiedy razem z rówieśnikami rzucaliśmy kamieniami w rzędy świeczek wystawione na chodnikach i balkonach, mając nadzieję, że któraś się przewróci i wywoła pożar. Ale teraz byliśmy tam, by pracować nad naszymi sąsiadami. By perorować za sprawą, korzystając z dorocznej uroczystości naszego Pana. Każde z nas wzięło pod opiekę małą grupę osób i kiedy uroczystość się skończyła, kontynuowaliśmy przekonywanie ich do naszych racji w małych grupach, które stały i rozmawiały jeszcze długo.*

*– Skoro już znam pana prawdziwe nazwisko, czy nadal mam zwracać się do pana pańskim pseudonimem?*

*Ależ oczywiście, panie doktorze.*

## 16 grudnia

Telefon zbudził go z głębokiego snu. Zamroczony włączył światło, spoglądając na zegarek.

Kwadrans po czwartej.

– Tak... – wymamrotał.

– Bardzo przepraszam, inspektorze, że o tej porze przeszkadzam.

– Landrulli!

– Dzwonili ze szpitala. Kolega przyjął zgłoszenie, ale wie, że pan nie lubi budzenia w środku nocy, dlatego zadzwonił do mnie. Idę do szpitala. Ale w tej sytuacji pomyślałem...

– Co się stało?

– Kolejna...

– Powiedz.

– Wiem tylko tyle: o północy na pogotowiu pojawiła się kobieta w ciężkim stanie. Prawdopodobnie została potrącona przez samochód. Kierowca zbiegł. Jakiś mężczyzna, nie podając tożsamości, poinformował szpital, że dał znać policji...

– Zmarła?

– Nie. Ale nie sędzę, żeby to był wypadek. Przeglądając dokumenty ofiary, zorientowali się, że pracuje w handlu; w szpitalu był reporter i dodał dwa do dwóch. Jutro będzie na pierwszych stronach gazet...

– Jest coś jeszcze, prawda?

– Chce pan wiedzieć, jak się nazywa ofiara?

– Signora Veneziani! *Antimama* do kwadratu! Jestem w Asolo, trochę mi to zajmie...

Droga powrotna ze wzgórz, o ile to w ogóle możliwe, była jeszcze piękniejsza niż podczas przyjazdu. Mimo stanu ducha i furii, z jaką prowadził samochód po wąskich i krętych drogach, nie mógł nie zauważyć, że z nieba spadał grad gwiazd, a żywopłoty, drzewa i fasady budynków zrobione były z najczystszej ciszy. Ogarnęła go dziwna nostalgia.

Kiedy wjechał do Treviso, miasto było jeszcze uśpione. Dyżurny przy bramie kwestury aż podskoczył, widząc inspektora wchodzącego szybkim krokiem. Biedny Landrulli był już w biurze.

– Nawet nie próbuj mówić, że się pomyliliśmy!

– A co mam o tym myśleć, inspektorze?

– Że to analogia. Wypadek, którego ofiarą przypadkowo padła kobieta z branży.

– Ale właśnie ta? Właśnie koleżanka Schepis?

– Istnieje taka możliwość.

– A jeśli morderca chciał jej zamknąć usta, bo wiedziała za wiele?

– Jest i taka możliwość.

– A jeśli to rezultat liczniejszych patroli w mieście? Morderca nie może sobie pozwolić, by zaatakować tutaj, i czeka na nią na przedmieściu...

– I rozjeżdża ją samochodem? Signorinę Schepis układa pracowicie w witrynie, a tę wali zderzakiem? Daj spokój, Landrulli...

– Inspektorze, naprawdę nie wiem, co myśleć.

Już sobie wyobrażał tytuły w gazetach. Usadowił się przed jeszcze zamkniętym kioskiem z paczkami dzienników zrzuconymi pod zasuniętą kratą. Seryjny morderca ekspedientek? To nie wydawało mu się prawdopodobne. Za to dziennikarze sobie użyją,

chwycili wielką okazję w zazwyczaj spokojny czas.

– Chyba będzie pan miał nadgodziny w święta, inspektorze – powiedział kioskarz, wręczając mu lokalne gazety.

„Zranione miasto”, „Żadnych postępów w policyjnym śledztwie”, „Bożonarodzeniowa atmosfera okryta kirem”, a redaktor Alessi w swoim dzienniku tworzył teorie o skruszonym mordercy, który rozwieszając ubrania Schepis, starał się odtworzyć zewnętrzny wygląd ofiary w obłąkanej próbie przywrócenia jej do życia.

Naturalnie żadnego komentarza od kwestora.

Żadnego komentarza. Oj, już on go usłyszy, i to jak. Kiedy tylko się obudzi.

Na początek potrzebował kawy. Miasto spało wraz ze swoimi barami i spały też wielkie stalowe ekspresy. Niepocieszony poszedł na stację, do dystrybutora gorących napojów. Potem skierował się do urządzenia z rozkładem jazdy, wystukał co trzeba i przeczytał, że o dziewiątej trzydzieści do Mestre przyjeżdżają dwa pociągi. Jeden z Mediolanu, a drugi z Triestu. Poszczypał się po zaniedbanej brodzie. Boże Narodzenie było coraz bliżej.

Dzień spędził na odbieraniu telefonów od władz. Nikt nie chciał wierzyć w przypadkowość zdarzenia i Stucky nie zmarnował nawet sekundy swojego czasu, by przekonywać, że jest inaczej. Sekretarz biskupa był, jak się należało spodziewać, przewyborny:

– Potęga Złego zaskakuje nas każdego dnia coraz bardziej.

– Ma ksiądz rację.

– Modliliśmy się, by nie przydarzyła się kolejna tragedia.

– Może z niewystarczającą intensywnością, proszę księdza.

Od razu uświadomił sobie, że wpadł w pułapkę.

– Może niewłaściwie oceniliśmy, o co mamy prosić dobrego Pana w naszych modlitwach. Może nie wystarczyło prosić o światło dla stróżów prawa i opiekunów Dobra...

– Och, rozumiem...

– Może powinniśmy prosić, by stróże prawa byli prowadzeni krok po kroku przez naszego Pana...

– Tak byłoby najlepiej...

– Poprawimy się.

Pomyślał, że jeszcze parę dni, a sekretarz biskupa zechce się z nim spotkać.

Wieczorem Landrulli zostawił mu na biurku orzeczenia lekarskie opisujące stan zdrowia pani Veneziani i pierwsze informacje, które zebrał na jej temat. Stucky przejrzał wszystkie. Nic decydującego. Działalność gospodarcza w nieruchomości posiadanej w połowie dźwigała mu źle. Na dodatek z panem Springolo. Pozostał, choć ze ściśniętym żołądkiem, przy przekonaniu, że to był wypadek. Świąteczny pirat drogowy.

Landrulli ustalił także, do kogo trafiała comiesięczna suma, którą Schepis przelewała ze swojego konta bankowego: do gościa z Belluno, który posiadał w Treviso cztery małe mieszkania przeznaczone na wynajem.

– Mówiłem! – wykrzyknął inspektor. Wprowadził w intensywną aktywność lewą półkulę mózgu, zastanawiając się, czy iść i sprawdzić rzecz samemu, czy od razu wysłać techników kryminalistycznych. Czuł się już zbyt zaangażowany.

– Landrulli, dlaczego signorina Schepis miała dwa mieszkania? Żeby stara Pitzalis jej nie kontrolowała?

– No pewnie, że tak! Nie chciała, żeby ta stara rasistka wiedziała, co robi. Inspektorze, według mnie dziewczyna wykonywała...

– Ech! Drugą pracę...

– Ona też się tu zadomowiła... ale nie chce pan pójść i rzucić okiem od razu? – powiedział pod nosem niepokieszony Landrulli.

– *Antimama!* Oszalałeś! Chcesz, żeby prokurator z kwestorem wysłali mnie do roznoszenia ulotek przed supermarketem?

Landrulli, posłuchaj: nigdy, ale to nigdy nie działaj niezgodnie z procedurami! Jutro rano pójdziemy tam wszyscy z wszystkimi szykanami.

Jednak gdy tylko Landrulli wyszedł, Stucky poszedł po swój stary motocykl marki Morini. Zabrał kask, kurtkę i rękawiczki, których nie zakładał od pierwszych listopadowych chłódów. Drugie mieszkanie Schepis znajdowało się w niewielkim bloku przy wyjeździe z miasta na zachód, w samym środku podmiejskiego kankana handlu, magazynów i krótkoterminowego wynajmu mieszkań. Trzeba oddać sprawiedliwość, że budynek zachowywał pewną zewnętrzną urodę, szesnaście mieszkań na czterech piętrach, a na trzecim dobrze zakamuflowany numer 10, pod którym mieszkała Schepis.

To był jej dom, prawdziwe gniazdo. Pogmerał przy zamku i po otwarciu drzwi jego emocje mieszały się z zapachem kadzidła. Kurtka powieszona pospiesznie na długiej drewnianej tyce służącej za wieszak na ubrania, kapcie z szorstkiej wełny. Barwny kilim zakrywał niemal całkowicie podłogę w korytarzu prowadzącym na wprost do małej łazienki, na prawo do kuchni, a na lewo do pokoju, jedyne przestronne pomieszczenie, który służył za sypialnię. Ponad łóżkiem przywieszzone do sufitu kolorowe zasłony, wyglądające jak płatki gigantycznego kwiatu. Pościel czymś pachniała. Nachylił się: zapach aromatycznego drewna. Na komodzie obok stały rzędy buteleczek z olejkami eterycznymi i małe drewniane przyrządy do masażu poszczególnych części ciała. W szafie porządnie zawieszzone ubrania, które wkładała w wolnym czasie, mniej formalne, barwne, wręcz krzykliwe. Wrócił do pokoju przy wejściu, znów dywan, duża żółta sofa, półki przyścienne z książkami i pudełkami oraz stół, długi prawie na całą ścianę i wąski. Na stole równiutko ułożone karteczki zapisane licealną kaligrafią,



precyzyjną i elegancką. Cytaty z opery, powieści, wierszy, wielkiej literatury. Każda z zapisaną cyfrą i imieniem: dwanaście kobiecych imion. Obok kolorowy papier do pakowania i sześć przedmiotów gotowych do zapakowania.

– Prezenty... – mruknął Stucky. Nie było napisane, dla kogo są przeznaczone.

W kuchni pachniało jedzeniem i przyprawami. Ryż, kurkuma, curry. Śmietnik miał jeszcze odpadki organiczne, już się rozkładające. W pojemniku na odpadki suche – serwetki, tubka po paście do zębów, puszka po tuńczyku, bilecik porwany na kawałki i ani śladu prezerwatyw.

Złożył bilecik na kuchennym stole. To była lista zakupów: mleko, sól, czerwone serwetki, masło, brązowy cukier, pięć jaj, migdały, gorzka czekolada.

W koszu na odpadki organiczne leżały skorupki jajek. Pięć.

Inspektor przyjrzał się prezentom ułożonym na stole. Pierwszy był małym pudełkiem z czterema kuponami na loterię w środku; drugi był szklaną karafką, taką, jakie kiedyś podawano w oberżach, litrową, pełną żółtego proszku i dobrze zamkniętą; trzeci – białym biustonoszem, czwarty zaś – małym cyfrowym aparatem fotograficznym; piąty prezent stanowiły paczuszki z przyprawami. W szóstym, w pudełku z niebieskiego zamszu, znajdowała się para spinek do mankietów.

Nim wyszedł, włączył odtwarzacz CD, pozwalając muzyce rozejść się po całym domu. Dźwięk wód. Rzęsisty deszcz i wiatr. Maleńkie dzwoneczki w oddali.

Zamykając drzwi, z przykrością pomyślał, że to małe schronienie zostanie teraz zbezczeszczone przez techników kryminalistycznych i nie da się tego uniknąć.

Zatelefonował do Landrullego.

– Jesteś już w łóżku?

– Stacjonuję na kanapie, inspektorze, i myślę o sprawie.  
– Mam pytanie: co można zrobić z masła, jajek, brązowego cukru, migdałów i czekolady?

– Ile jajek?

– Pięć.

– Inspektorze, genialną *torta caprese*!

Stucky pomyślał o okruszkach znalezionych w odkurzaczu Rumunki.

– Ależ *dada*... wszystkie sklepy są już zamknięte, a wuj wciąż...

– Próbowaleś kiedyś zasnąć na stercie dywanów?

– O tak, jak byłem mały, matka składała wielki dywan na cztery i kładła mnie na nim na popołudniową drzemkę.

– I jak jest?

– Wspaniale...

– Dywan zakorzenia cię w ziemi, nie oddziela cię od niej...

– To prawda...

– A jak tam twoja praca? – Mówiąc to, mężczyzna wychylił się ku witrynie, przyglądając się mostom i ciemnej wodzie obmywającej rogi domów.

– Coraz lepiej...

– Inteligentny człowiek może i ma dupę z miedzi, ale głowę zawsze ze złota.

*Drogi panie doktorze, powinienem wiedzieć, że mediolańczycy są tchórzami, to już wiadomo z historii Najjaśniejszej<sup>17</sup>: nie pojawił się właściciel, ani nawet krewny właściciela. Nie. Przyszedł oddelegowany inżynier, wygolony, włoski blond, naturalna tonsura, okularki w złotych oprawach, wypielegnowana bródka i garnitur w kratę. Futerał na okulary, zawieszony na szyi jak indiańska sakiewka, no i jeszcze fajka, którą demonstruje, ale nie pali, bo nie ma czasu do stracenia. Przychodzi i wymiata.*

*Temperatura spalania, schładzarka popiołów i dużo pięknych słów obliczonych na zrobienie wrażenia, tak że nawet babcia i mama pytały, czy jeszcze przyjmują do pracy w spalarni, wielkim słońcu przyszłości. I durni ludzie dają się nabrać, że spalarnia to technologia, a technologia to bezpieczeństwo, lepiej spalać odpadki i przerabiać je na energię, i tak wydymamy Arabów, inżynier tego nie mówi, ale daje do zrozumienia, i Toni z pierwszego rzędu wrzeszczy „Chuj w dupę Arabom!” i wszyscy klaszczą, jakby to była jakaś wielka przyjemność. Wszyscy marzą o zmywarce do naczyń, która chodzi na skorupy z orzechów i puszek po sardynkach. Patrząc na Antoniettę i widzę, że i ona dała się porwać – oczarowana pośród oczarowanych – mowie inżyniera i jego zgaszonej fajce. I właśnie patrząc na ten nieużywany przedmiot, dostrzegam zgrzyt w jego przemowie i przychodzi mi do głowy pomysł, na usta ciśnie się argument. Mówię mu: „Jak to możliwe, że urządzenie jest tak bezpieczne, a pan mieszka w Portogruaro i dojeżdża sześćdziesiąt kilometrów w jedną stronę i kolejne sześćdziesiąt w drugą, zamiast zamieszkać w domu obok spalarni?”*

*Całe zgromadzenie wstrzymuje oddech, słysząc brzęczenie parafialnego mikrofonu i dwa albo trzy dzwonki telefonów komórkowych z muzyką z Mission Impossible. Inżynier poci się i milczy, potem mówi, że ma dwójkę dzieci w wieku szkolnym, więc wszyscy myślą, że mówi o naszych szkołach, że nie są na odpowiednim poziomie dla dzieci inżynierów, i wtedy wygwizduje go nauczycielka.*

*Rzecz w tym, mówię wszystkim, że to jest zdrowe dla nas, a niezdrowe dla inżynierów i mediolańczyków, i że w okolicach Mediolanu nie robią takich urządzeń. Stawiają je tutaj, na naszych polach, na naszych ziemiach dających żwir i kukurydzę!*

*Wiedziałem, że wybuchnie awantura, było tam paru strzelców górskich rezerwy w tych swoich kapeluszach z piórkiem,*

zobaczyłem, że ściągają kapelusze ze złości, oni, co to nawet na cmentarzu nie odkryją głowy, i pomyślałem: Stało się! Poza tym obecni byli wszyscy hodowcy krów simentalских i holsztynofryzyjskich, co chcą mieć czysty deszcz i paszę jak trzeba. Nawrzeszczeli na inżyniera, ale ten, ku mojemu zaskoczeniu, zaczął się podśmiewać pod wąsem, jakby wiedział coś więcej i nie mówił do końca, jak się rzeczy mają. Kiedy mama, babcia i Antonietta gratulowały mi przemówienia, ja wiedziałem, że to nie koniec. Ja, co się nie znam na polityce, wyobraziłem sobie, że mediolańczycy przywieźli risotto z szafranem nie burmistrzowi i asesoram, ale bardziej zachłannym gardłom w prowincji, a nawet regionie, gdzie jest wielu smakoszy risotta. Wiadomo.

Jak mogliśmy wierzyć, naiwni, że mury wzniesione przez spółdzielnię albańskich murarzy mogą zostać zburzone mocą obywatelskiej przemowy? Tym murom zagrażały jedynie trapezoidalne okna, bo Albańczycy tyrają jak woły, ale nie wiedzą, co to linie równoległe i kąty proste, mimo to odbiór techniczny w wykonaniu uśmiechniętych inżynierów od obliczeń poszedł jak po maśle. Zakończyli już fazę rozruchu i eksperymentów. Spalarnia przechodziła do pełnej aktywności, przyjeżdżała ciężarówka za ciężarówką, nasi kierowcy wstydzili się pojawiać na składowisku i mówili, że jak tylko będą mogli, dogadają się ze spalarnią. Antonietta w wielkiej tajemnicy złożyła podanie o pracę do dyrektora konkurencji i pewnego poranka przestał się pojawiać także Filiberto, a zaraz następnego dnia zobaczyłem gościa niezwykle podobnego do niego, tylko w czapce i szaliku zakrywającym twarz, jak szedł do pracy w spalarni. Oddziały dezenterowały, to był trudny moment, trudny, ale godzin ucziwych przedsiębiorców. Spadłem na równe nogi, bez protez w kolanie. Mama i babcia oparły się pokusie, również dzięki radiu Bellla & Monella, które cię budzi i daje zastrzyk energii, i dzięki

*solidarności, która docierała do nas przez radio, nie było dnia, kiedy włączyłeś radio, byś nie usłyszał, jak pozdrawiają drogiego Maxa, ukłony dla Maxa i błogosławieństwo. Przywiązujesz się, nie ma co mówić, wraca ci wiara, przypominają ci się stare modlitwy i wszystko nagle staje się mniej mroczne i ponure, nawet mewy nad nieczystościami mniej cię drażnią, nie dobija nawet konkurencja: jeśli chcą tu mieć spalarnię, niech mają, nadstaw drugi policzek i do roboty. Tak, słabe dochody, spadające, tyle, żeby opłacić dobrowolną składkę emerytalną, by zagwarantować sobie choć trochę na starość, nie sądzę, bym miał to samo szczęście co babcia i rodzinę za sobą.*

*Chciałbym założyć rodzinę, przyznaję. Własna kobieta, która szczęśliwa krząta się po składowisku, i czworo albo pięcioro dzieci, trzech synów i jedna, najwyżej dwie córki, żeby było komu przekazać ten trudny zawód. Rzecz w tym, że nie ma już kobiet oddanych rodzinie, wszystkie myślą o pracy, a nie o dzieciach, najpierw kariera, a potem smoczek. Może to i nasza wina, nasza, czyli mężczyzn, bo zachęciliśmy je, żeby nas naśladowały, wiedząc, że to nieuczciwe, że to wyzwanie jest z góry ustawione i nie powiem więcej. Niestety, kobiety dały się w to wciągnąć i to wcale nie z naiwności, ale z zemsty, wiedząc, że wyzwanie jest ustawione, powiedziały: a teraz my was załatwimy, nawet jeśli nie możemy być takie jak wy, bo to niemożliwe, to drogo sprzedamy własną skórę, i odebrały nam smak posiadania potomstwa, zmniejszyły wartość dziedzictwa i dlatego można zrozumieć, czemu notariusze nie lubią kobiet. W tym samym czasie zabierają całą, ale to calutką przestrzeń, którą im wydzieliliśmy...*

*– Wydaje mi się, że pan nienawidzi kobiet...*

*Umiarkowanie.*

## 17 grudnia

Landrulli spędził całe przedpołudnie, kręcąc się niespokojnie po korytarzach kwestury.

Jeden z policjantów przyniósł im parę czarnych butów, odnalezionych w fontannie i jeszcze ociekających wodą, i ogarnięty szewską pasją Stucky zamknął się w swoim biurze, wysławszy wcześniej techników do drugiego mieszkania Jolandy Schepis.

– Nie wychodzi! – mówił niepokieszony Landrulli do napotkanych na korytarzu kolegów i wypytywał starszych i lepiej znających jego szefa, co znaczy to zachowanie.

– Ładuje się jakimś amuletem – mówili mu.

– On nie myśli, on ma fart!

– To przez sprawę Barbisanów? – pytał nieco zatroskany Landrulli.

– Morderstwo rozwiązane w dwa dni. Fart!

Potem opowiedzieli mu o dwóch innych sprawach, napadach rabunkowych, rozwiązanych w mgnieniu oka: fart!

Prześladowany przez fortunę, coś takiego! – pomyślał Landrulli i postanowił zapukać do drzwi inspektora.

– Kawa?

– Nie – odparł Stucky przez drzwi.

– Co mam robić, inspektorze?

– Siedzieć cicho.

– A więc biorę się do roboty.

Udał się do malarza Sereny na krótką lekcję trewizańskości. Jak zwykle znalazł go w Osterii u Seconda, dyżurującego przy byle jakim stoliku z drewna i otoczonego wiankiem emerytów próżniaków.

– Jest i nasz wsiok z południa!

– Dzień dobry, panie Serena...

– Zobaczmy, czy coś pamiętasz. Co to jest *bisata*? – zapytał stary malarz, szturchając łokciem sąsiada.

– *Bisata* to...

– No już...

– Nie pamiętam, panie Serena.

– To jest węgorz rzeczny! Nie robisz porywających postępów, mój drogi południowcze. A jak się go przyrządza?

– To pamiętam: dzieli się na kawałki i grilluje. Albo smaży. Albo robi potrawkę.

– Brawo, uczysz się, powoli, ale się uczysz. No to zafunduj mi lampkę spokojnego.

Po powrocie do kwestury dowiedział się, że inspektor jest na spotkaniu z ekspedientkami. Wślizgnął się do biura. W środku panowała iście konspiracyjna atmosfera. Stucky stał i robił notatki, ekspedientki zaś przepychały się, by dodać jakiś szczegół.

– Siadaj, Landrulli. Gdzie byłeś.

Nie czekając na odpowiedź, wrócił do słuchania ekspedientek.

Pan Springolo lubi dziewczyny, ale nasze, powiedziała jedna, nie ma pasji do egzotycznych, w tym kierunku nic się nie znajdzie; a Schepis trzymała ludzi na dystans, nie wchodziła łatwo do towarzystwa; pewnie, że miała przyjaciółki, nawet tu, w centrum, mówią o niej dobrze, zwłaszcza jeśli chodzi o inteligencję, tu się wybijała...

– A przyjaciele?

Nieliczni, jak się zdaje, z mężczyznami nie pokazywała się zbyt

często, ale parę takich znajomości też miała: przedstawiciel firmy jubilerskiej, który się w niej kochał na zabój, jeden sympatyczny barista i ten ślepiec, który zebrze na piazza dei Signori...

– Checo Malaga?

On.

– A jakiego rodzaju to była znajomość?

– Zawsze się witali, wymieniali parę zdań. Schepis była dla niego bardzo miła, nawet dała mu coś w prezencie...

– A skąd to wiecie?

– Widziała koleżanka przez sklepową witrynę.

– Innymi słowy, ta piękna i inteligentna dziewczyna, zdecydowanie się wybijająca, szczególnymi względami darzyła ślepcę... – Stucky musiał je sprowokować.

Tak, była piękna, ale w mieście jest mnóstwo atrakcyjnych dziewczyn, ona była nietutejsza, była z Triestu, ale przecież z niego też nie pochodziła, wiadomo, jakie są dziewczyny z Triestu, pewna ekstrawagancja jest przyjęta, przyjeżdżasz skądś i mówisz, że jesteś inna i musisz to pokazać, no więc pewnie trochę to było na pokaz, nie wiadomo, jaka była naprawdę, z nikim nie chodziła, daleko od rodziny, nie miała nawet samochodu i...

– I...?

Tak, miała dużo ekstrawaganckich znajomości. Giovanin *el tetàro*, duet Barabissich, stara Tonia, karzeł Bebo, krótko mówiąc, trewizańscy wariaci. Dobrze by się czuła w starym wariatkowie Sant'Artemio, pewnie wolałaby być doktorką od wariatów niż ekspedientką.

– Czyli według was morderca mógł być jednym z tych wyrzutków...

– Nie no, inspektorze. Chodzi o to, że świry przyciągają masę nie do końca normalnych osób.



– Słusznie.

Ekspedientki wzięły się do roboty. Stucky był zadowolony, pracowały niczym zespół śledczy.

Kazał Landrullemu zamienić parę słów ze starą Tonią, która sprzedawała pieczone kasztany w pobliżu dworca autobusowego, on zaś poszedł porozmawiać z Chekiem Malagą.

Znalazł go tam, gdzie zwykle, siedzącego na schodach na placu, z małym Alim, który kręcił się wśród ludzi.

– Panie Malaga, dzień dobry.

– Inspektorze...

– Muszę zadać panu parę pytań dotyczących signoriny Schepis.

– To nie jest odpowiednia pora. Teraz przechodzi tędy mnóstwo ludzi. Zniszczy mi pan dzień.

– To ważne, panie Malaga.

– Skoro to ważne, to proszę mi mówić panie Farina albo Francesco.

– Panie Farina, pan znał signorinę Schepis. Czy łączyła was jakaś zażyłość?

– Zażyłość... to wielkie słowo. Zażyłość między starym ślepcem a piękną dziewczyną...

– Ali panu mówił, kiedy się pojawiały piękne dziewczyny?

– Pan żartuje? Ja sam rozpoznaję piękne kobiety.

– A po czym pan poznawał Jolandę Schepis?

– Po tym, jak chodziła, jej kroki miały wyjątkową harmonię, po głosie, po skórze... kiedy podawała mi rękę. Pan tego nie może wiedzieć. Nie może wiedzieć, jak pieściły jej ręce. Jak ukojenie, jak boski powiew. Czuć było głębokie człowieczeństwo, wrażliwość...

– Opowiadała panu o sobie? Czy miała chłopaka, może kochanka...

– Żartowała sobie z miłości...

– Co mówiła?

- Że miłość to tylko sposobność, byśmy nie byli samotni.
- Ach!
- I mówiła, że Bóg jest najtańszym lekarstwem na strach...
- Ani miłości, ani Boga...
- Przeciwnie, była wierząca i mówiła, że zakochuje się w każdej pięknej osobie, którą napotyka.
- A więc znajdowała wiele okazji, by nie być samotna, i miała ze sobą lekarstwo na strach...
- Jak wszyscy, czyż nie?
- Ali ją fotografował, prawda?
- Ali przezornie schował się za kolumną.
- Ali robi to, co mu powiem. To dobry chłopak.
- Mógłbym zobaczyć fotografie Schepis?
- Mężczyzna wzdrygnął się i otulił płaszczem.
- Jutro rano wyślę Alego do kwestury. Zgoda?

W biurze zastał Landrullego chrupiącego kasztany.

- Musiałem kupić.
- Czego się dowiedziałeś od starej Tonii?
- Prześwięciła mnie, bo jestem wsiokiem z południa, i chciała wiedzieć, czy to prawda, że Chińczycy złożyli w izbie handlowej wniosek o zgodę na sprzedaż kasztanów.
- A o Schepis?
- Nic użytecznego. Dawała jej pieniądze...
- Schepis?
- Nie, stara dawała pieniądze Schepis. Żeby zagrała za nią w totolotka. Podobno dziewczyna miała szczęście i kilka razy wygrała coś dla kobiety.
- Nie do wiary.
- Czemu? O panu też się mówi, że ma pan szczęście, inspektorze.
- A ty znowu o tym? Landrulli, wysyłam cię do Giovanina *el*

*tetàro*, jego łatwo znajdziesz.

- Co znaczy *tetàro*?
- Szybko sam się zorientujesz.
- Nie mogę pójść do Barabissich?
- Nie wiem, czy wyszedłbyś stamtąd żywy.

Duet Barabissi składał się z dwóch sprzedawców bielizny męskiej i damskiej, posiadaczy pięknego sklepu w okolicy katedry.

Cieszyli się swego rodzaju popularnością, którą zawdzięczali nie tylko temu, że byli znaną od dziesięcioleci parą, ale głównie zamiłowaniu do dobroczynności i mecenatu.

W ich domu znajdowali schronienie i pocieszenie artyści i pechowcy, gaduły i wywrotowcy, wędrowcy i zagubione dusze.

Strefa wolnościowa, miejsce wolności, bez potrzeby posiadania towaru na wymianę.

Sklep miał długą drewnianą ladę starego typu, wyświeconą przez nieustanne przecieranie, i był zastawiony pudłami opakowań. Dwa pojemniki z pleksiglasu po bokach lady pełne były majtek, jeden męskich, drugi damskich, we wszystkich odcieniach czerwieni, tak jak każe świąteczna tradycja.

Na półkach stały ogromne szklane słoje, w każdym sterta majtek, każde w innym kolorze: żółte, białe, czarne, błękitne.

Obaj wspólnicy byli otoczeni ścisłym wiankiem pań i pogrążeni w ożywionej rozmowie o rozmiarach, kokieterijnościach i innych tajemnicach. Kiedy dostrzegli nieruchomo stojącego w wejściu mężczyznę, dali mu znak, by przedarł się przez kobiecy tłumek i podszedł do nich.

- Tędy. Tu jest wejście dla panów mężczyzn.
- Jestem inspektor Stucky – wymamrotał.
- Czarne skarpetki i majtki do pary?
- Nie, nie... ja w delikatnej sprawie. Nie wiem, czy...
- Nie mamy sekretów przed naszymi klientkami – powiedział

ten bardziej korpulentny, ogarniając ruchem ręki wszystkich obecnych.

– Chodzi o morderstwo signoriny Schepis.

Absolutna cisza zapanowała w lokalu, majtki i gorsety zawisły w powietrzu.

– Ty się tym zajmij, Giuseppe – powiedział ten drugi i korpulentny pan o jowialnej twarzy i badawczym spojrzeniu zaprowadził inspektora na ubocze.

– Biedaczka... – powiedział Giuseppe, łapiąc się za głowę i nie przestając przypatrywać się Stucky'emu.

– Dowiedziałem się, że się przyjaźniliście.

– Była naszą klientką. Cudowną. Z gustów, zachowań i sympatii. Doskonała klientka.

– Spotykaliście się?

– Mój drogi panie... być może nie zna pan naszej osobistej historii...

– Chodzi mi o to, czy widywaliście ją poza sklepem.

– Czasami wpadała do nas do domu. Powiedzieć dzień dobry, zamienić dwa słowa, coś przegryźć.

– Poznała kogoś... szczególnego?

– A pan myśli, że kto bywa u nas w domu? Pracownik urzędu miasta?

– Ktoś, z kim nawiązała relację, przyjaźń...

– Była serdeczna dla wszystkich i przyciągała ludzi.

– Kupowała u was coś szczególnego?

– Niech pan posłucha. Rozumiem, co pan chce powiedzieć: biustonosz trójka, bielizna tylko i wyłącznie biała. Elegancka. A pan mnie pyta, czy używała czegoś, co by dodawało pikanterii jej spotkaniom. Widział ją pan? Nie potrzebowała przypraw.

– Ale pan, znający się na rzeczy, jak postrzegał Jolandę Schepis? Chodzi o relacje z mężczyznami.

- Z mężczyznami? Trzymała ich bardzo na dystans. Lubiła siebie. I umiała wybierać.
- A więc spotykała się z kobietami?
- A ja? Wydaję się panu kimś, kto spotyka się z kobietami?
- Moglibyśmy o tym dyskutować...
- Właśnie. Złapiecie tego mordercę?
- Pracujemy nad tym.

Landrulli odnalazł Giovanina *el tetàro*. Na placyku przed dawnym pałacem Zignolich, od strony Galleria della Strada Romana, znajdowała się statua z brązu przedstawiająca kobietę z odkrytymi *tete*, piersiami. A Giovanin podczas swoich wędrówek po mieście przechodził tamtędy parę razy dziennie, żeby pogłodzić te uspokajające krągłości. Oczywiście z należytą dyskrecją, by nie urazić nikogo. Zdaniem Landrullego spotkanie nie było użyteczne dla śledztwa, poza tym, że popatrzył sobie na statuę, która go rozbawiła.

Giovanin, zdaniem Landrullego, nie myśli, sądzi, że statua jest jego ciotką, która zginęła podczas amerykańskiego bombardowania.

- Ale jak to, inspektorze, to Amerykanie zbombardowali także Treviso?
- Przelotnie, Landrulli, przelotnie.

*Agencja Condor zajmuje się małżeńskimi rogami, synowskimi skrętami i tabletkami extasy, nieuczciwą konkurencją i judaszowymi zachowaniami wspólników w interesach.*

*Poszczególne sektory wpływają na budżet agencji ze zmienną intensywnością: najpierw przez lata sakiewkę nabijała niewierność, potem naćpane dzieci, a teraz największe zapotrzebowanie jest na śledzenie wspólników w interesach.*

*Kryzys małżeństwa sprawia, że niewierność jest częsta, ale*

*tolerowana, kryzys rodziny powoduje, że młodzieńcze odloty stały się nieuniknione, więc trzeba się z tym jakoś pogodzić. Tymczasem coraz powszechniejszy rozwój gospodarczy wymaga silnych podstaw w korporacyjnej i firmowej lojalności. W chwili obecnej, kiedy światowy kryzys daje się mocno we znaki, kiedy wielu najchętniej porzuciłoby tonącą łódź i wyemigrowało do innych krajów, zabierając ze sobą tajemnice zawodowe, trzeba być szczególnie czujnym.*

*Kuto Tarfusser obserwował bramę zakładu dziewiarskiego: w środku, zapewne w części biurowej, zaszył się syn pana Bianchina. Dziedzic oferował konkurencji konsultacje, zaczęło się od rodzinnej kłótni, w której rezultacie Bianchin junior zaczął bywać w firmie Montinich, czyli u odwiecznego wroga.*

*Bianchin senior szukał dowodu zdrady, niepodważalnego wykazania nielojalności spadkobiercy, chciał go wyrzucić ze spółki i wysłać z powrotem na architekturę, żeby powtórzył obłany ostatni rok i wreszcie skończył studia.*

*Dowody! Tarfusser zostawił samochód koło baru i przespacerował się wzdłuż ogrodzenia z wysokich drzewek laurowych, licząc na to, że znajdzie tylne wejście. Na próżno! Musiał zadowolić się rozsuwaniem gałęzi na chybił trafił, aż w końcu namierzył plac z biurami, parking dla samochodów i halę produkcyjną. Za pomocą teleobiektywu sfotografował mercedesa młodego zdrajcy. Dowody! Kopa w dupę Bianchinowi juniorowi! Ojciec cię wychowuje, posyła na studia, ty rzucasz je na piątym roku, choć mogłeś już projektować całe rzędy identycznych szeregowców, a zamiast tego idziesz do konkurencji, żeby im opowiedzieć, jak lepiej wykorzystywać krosna, włóczki i sieć klientów.*

*Sytuację przedstawił mu komendant Di Nolfo: znajdź dowody i zgnieć tę glistę! Niech poczuje pazur Condora!*

*Kuto Tarfusser nie widział wcześniej żadnego z Bianchinów, ani ojca, ani syna. Nie osobiście, ma się rozumieć. Dostał fotografie, dane osobowe, adresy, przydatne numery telefonu i miejsca do sprawdzenia. Wszystko, co miał zrobić, to zebrać dowody, takie jak to zdjęcie. Myślał, że to będzie słaby dowód, Bianchin z łatwością się wybroni, mówiąc o odwiedzinach grzecznościowych albo z ciekawości.*

*Nawet ojciec nie mógł mu zabronić, by pojechał się przyjrzeć, jak pracują robotnice u Montinich. Tarfusser wrócił do samochodu i czekał, aż mercedes wyjedzie z bramy.*

*Późnym popołudniem czarny samochód wyjechał pędem z terenu fabryki na ulicę i paręset metrów dalej pokonał ostry zakręt w taki sposób, jakby chodziło o świadectwo najwyższej odwagi.*

*Wzięty z zaskoczenia Tarfusser patrzył, jak samochód ginie w ulicznym ruchu. Na szczęście Bianchin junior już po chwili musiał powściągnąć swój zawadiacki temperament w korku, który się utworzył z powodu robót drogowych. Tarfusser śledził go przez paręnaście kilometrów, aż do parkingu Hotelu pod Palmą, dwugwiazdkowego, skromnego nocnego schronienia, które doświadczyło zaszczytu regularnego, niemal cotygodniowego wzmiankowania w kazaniach ojca Dussina jako fatalny przykład zarówno budownictwa mieszkaniowego, jak i moralności.*

*Na parkingu stało dziewięć samochodów i po wyłączeniu dwóch polskich tablic, bo przecież nikt nie podejmowałby podróży z Warszawy, by spotkać się z potomkiem Bianchina, jednej austriackiej – powód jak wyżej – oraz rzeczzonego mercedesa, pozostawało sześć tablic, które Tarfusser skrupulatnie zanotował.*

*Rzucił okiem na wnętrze, nic interesującego, z wyjątkiem krzesel w recepcji, wykonanych z porządnej wikliny.*

*Godzinę później młody Bianchin ożywionym krokiem i wyraźnie zrelaksowany wyszedł z hotelu, poprzedzając o kilka metrów*

*blondwłosą panią o wyglądzie osoby z najwyższą podejrzliwością traktującą porady dietetyków. Niewykluczone, że byli tam razem, ale może to tylko zbieg okoliczności czasoprzestrzennych. Tarfusser zrobił fotografię.*

*Wiedziony niejasną intuicją, pojechał za samochodem blondynki, pięknym szarym audi, które zaprowadziło go aż pod willę zanurzoną w zieleni. Majestatyczna konstrukcja, jedno piętro, arkady i kolumny, obszerny przeszklony taras. Brama automatyczna, ma się rozumieć.*

*Kiedy samochód znikł w garażu, Tarfusser zbliżył się ukradkiem i dostrzegł błyszczącą tabliczkę z miedzi na podporach bramy: Villa Montini.*

*Montini mężczyzna, kopalnie, żwirownie i nowe przedsiębiorstwo tekstylne. Wszystko to było w notatkach, które przekazał mu komendant Di Nolfo.*

*Natomiast Montini kobieta wymianę wiedzy w dziedzinie techniki i komercjalizacji łączyła z zainteresowaniem osobą Bianchina juniora, syna starego przedsiębiorcy z branży tekstylnej.*

*Mhm, pomyślał Tarfusser, jadąc z Conegliano przez Ponte della Priula do Treviso.*

*Mieszkał w okolicach stadionu, poza obszarem starych murów, w tej części miasta, gdzie jest ono mieszaniną bogatych rezydencji i blokowisk. Zostawił samochód w gotowości przy chodniku.*

*Mieszkał w standardowo umeblowanym maleńkim mieszkanku, „standardowo” jest słowem dobrze zrozumiałym także po tyrolsku. Kiedy wracał z pracy w Condorze, nalewał sobie ciężkie ciemne piwo. W otwartym na stole zeszycie, który służył za podstawkę do jedzenia i podporę dla jego lingwistycznych badań, napisał słowo frigoria. Chodziło o jednostkę ilości ciepła ujemnego. Dokładnie zapisał definicję, robiąc tylko kilka błędów ortograficznych. Uczył się języka solidnie i dogłębnie, a ponad wszystko podobały mu się*



wyrazy najbardziej nietypowe. Na następny dzień zanotował sobie do przyswojenia słowo fullonia.

No i proszę, żonce przedsiębiorcy szeptał coś na ucho synek konkurenta – zapisał fullonia, nie było ryzyka, że je zapomni – kura i fermowy kurczak w tym samym hotelowym pokoju, ciekawe, jakie to alchemie.

Rozemocjonowany wypił piwo, z namaszczeniem otworzył słownik i przeczytał: „fullonia – folusznictwo, sztuka folowania wełny” oraz „fumistico – efekciarski” i poczuł niemal nieodparty impuls, by przyswoić sobie także „fuselolo – fuzel”. Nie, fuselolo jutro.

Nakrył kawałek stołu, sztucce, szklanka i talerz. Z boku postawił radio. Kiedy słuchał gadającego głosu, wyjął z lodówki sery. Ukroił szczodre porcje kilkunastu różnych gatunków i rozmieścił je na talerzu zgodnie ze stopniem dojrzałości, od ricotty do grana padano.

Uwielbiał łączyć sery z różnymi rodzajami chleba, ten ciemny do ricotty, ten biały z pieca opalanego drewnem do asiago dolce. Granę kosztuje się samą, w nieco większym odstępie czasowym od pozostałych.

Zjadł, myśląc o pani Montini, na pierwszy rzut oka była wcale niebrzydka. Młody Bianchin miał pusto w głowie, taki typowy przystojniak bez wyrazu, z tych, co noszą spodnie zwężane na dole, skórzaną kurtkę i rozczochrane włosy na żelu.

To tylko wrażenia, powiedział sobie Tarfusser, zastanawiając się, czy nie zanadto odplywa myślami od tematu, a może należałoby wykorzystać nadarzącą się sposobność i zdobyć coś więcej niż to, na co liczył komendant Di Nolfo. Już od paru miesięcy coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że jego obecna praca nie pozwoli mu na odłożenie pieniędzy potrzebnych do otwarcia w Bressanone gabinetu psychoterapeutycznego

*z prawdziwego zdarzenia, ewentualnie, jako plan B, restauracyjki w Jesolo Pineta. Chyba że nauczy się wszystkich zawodowych sekretów i otworzy własną agencję detektywistyczną, może nawet w samym Treviso. Tak, w Treviso, specjalizacja w niewiernościach małżeńskich, najwyżej jedna lub dwie sekretarki, oczywiście na czarno, pięć albo sześć lat dostarczania klienteli szczegółowo udokumentowanych dowodów i życie się zmieni.*

*Z pewnością nie mógłby przez całe życie – ani nawet przez kilka kolejnych lat – słuchać połajanek komendanta Di Nolfo, takich jak ta sprzed paru dni:*

*„W jakim miejscu jesteś, Tarfusser?”*

*„To złożona sprawa, komendancie”.*

*„Jak to złożona? Ile dni ci potrzeba, żebyś załatwił tego małego zdrajcę Bianchina?”*

*„Mam parę dowodów, ale nic ostatecznego”.*

*„Żartujesz sobie? Jak to nic ostatecznego? Jeszcze trochę, Tarfusser, a na twoje miejsce pošlę Petrellę”.*

*„Ale on jest z Bari...”*

*„Tak, ale nie jest w Bari. Mieszka tutaj i kiedy kończy zmianę na stróżówce, doskonale sobie radzi u mnie na pół etatu. W dwa dni załatwi mi to żmijowe nasienie”.*

*„Komendancie, proszę! Mam sytuację w garści”.*

*„Pokaż mi tę garść... Nic tu nie widzę, Tarfusser. Jeszcze dwa dni i oddaję tego małego judasza pod opiekę Petrelli.*

*I tak oto, licząc na szybki i pewniejszy zysk, Kuto Tarfusser zaczął dniem i nocą deptać po piętach pani Montini. W każdej wolnej chwili. Śledząc jej miłosne wycieczki. Fotografując.*

## 18 grudnia

Wczesnym rankiem Stucky udał się w odwiedzinach do adwokata Scottona. Mecenas posiadał wspaniałą kolekcję obrazów Ciardich, zwłaszcza Guglielma, ojca. Wiesział je w korytarzach swojej wspaniałej rezydencji, położonej w pobliżu kościoła San Francesco. Miał je w gabinecie i sypialni. Mania. Nie potrafił się temu oprzeć; jako młody adwokat za pierwszą wypłatę kupił jeden z *Widoków na Sile* i powiesił go nad łóżkiem, ale po stronie żony. Zdobywając coraz większy prestiż i inkasując coraz wyższe honoraria, rozwiązując to konflikt o prawo własności, to spór o spadek, zbierał każdy napotkany obraz Ciardich jak odkurzacz pochłaniający najdrobniejsze pyłki.

Kolekcjonował pejzaże znikającego świata, utrwalone na zawsze przez oko malarza, a jednocześnie wypełniał dom bibelotami w chińskim stylu, egzotycznymi pozytywkami i orientalnymi wachlarzami, pragnieniami podróży, w które nigdy się nie uda.

Kiedy ludzie widzieli, jak jedzie w swojej lancii z kierowcą, myśleli od razu, że ma bagażnik pełen ekstrawagancji powyciąganych od okolicznych antykwariuszy.

Antykwariusze darzyli szacunkiem takiego klienta, wymagającego i rozważnego, zawsze polującego na najlepsze ceny.

Stucky nacisnął guzik domofonu i długo czekał na odpowiedź. W końcu gospodyni zeszła, by otworzyć żelazną bramę, i poprowadziła inspektora do wejścia, w którym czekał wyprostowany solidny dziewięćdziesięciolatek.

– Mecenasiu, widzę, że jest pan w formie.

– Inspektorze... Czyżby przyszedł mi pan powiedzieć, że sprzeda mi pan tego Ciardiego, którego pański ojciec wypożyczył do Galerii Tiepolo?

– Umowa wygasa za pięć lat.

– Do tego czasu mogę już być nieboszczykiem.

– Ufam, że nie. A przyszedłem, żeby złożyć życzenia świąteczne, bo może się okazać, że w najbliższych dniach będę bardzo zajęty. Oraz, jeśli nie będę przeszkadzać, chciałbym nacieszyć oczy arcydziełami, które pan posiada...

– Nostalgia za minionym czasem?

– Mniej więcej.

Opierając się o gosponię, mecenas Scotton wspiał się po schodach na pierwsze piętro. Odpowiednio oświetlone ściany korytarza wydawały się pełne otwartych okien, z których roztaczał się widok na zachwycającą Sile, domy i młyny, barki i flisaków, brzegi i drzewa, sitowia i trzciny. Jak z innego świata, przejrzyste, wstrzymane w ruchu, pełne ciszy.

– To musiała być urzekająca ziemia – powiedział Stucky.

– Albo malarz był szczególnie wrażliwy.

– Może tak...

Popatrzyli na siebie. Stary adwokat w bardzo obcisłej kamizelce, z białymi włosami zaczesanymi do tyłu i prawym kolanem zgiętym, jakby obciążał je niewidzialny ciężar, wyciągnął dłoń do policjanta.

– Wesołych świąt, inspektorze.

– Wesołych świąt, mecenasiu.

Później poszedł rzucić okiem na mieszkania sąsiadujące z kryjówką Jolandy Schepis. Jedno było puste, w drugim zastał kilka rozspanych Nigeryjek, które nic nie widziały i nic nie słyszały, w trzecim – młodego Serba, kudłatego i chudego jak

wiór, który powiedział, że tak, znał Jolandę z widzenia.

– Nie widzi jej pan od kilku tygodni i nie przychodzi panu do głowy, by zawiadomić policję?

– Jestem murarzem, nie optykiem – odparł mężczyzna. Pamiętał jednak, że parę osób ją odwiedzało. Na przykład kobiety.

– Kobiety jakiego typu?

– Eleganckie.

– Eleganckie?

– Panie z wyższych sfer.

Kazał je sobie opisać, dobrze wiedząc, że otrzymuje bardzo niedokładne informacje. Wrócił do kwestury.

– Przyszedł może taki mały chłopak z czymś dla mnie?

Posterunkowy Conte popatrzył na Stucky'ego z zastanowieniem i pokręcił przecząco głową.

Wziął do ręki raport z wypadku, któremu uległa pani Veneziani. Badania wskazywały na przypadkowe zdarzenie. Kobieta została potrącona przez samochód zaledwie metr od przejścia dla pieszych, po drugiej stronie ulicy znajdowała się willa jej przyjaciół. To dzielnica willowa, z budynkami z początku dwudziestego wieku zanurzonymi w lesistych ogrodach. Kierowca jechał długą aleją, zapewne nie był do końca trzeźwy; pani Veneziani zeszła z chodnika, by przejść na drugą stronę ulicy, do parkingu znajdującego się tylko pięćdziesiąt metrów dalej. Stucky był coraz bardziej przekonany, że to był zwyczajny wypadek. „W niektóre dni nawet włos niedźwiedzia jest prezentem...”

Centrala przełączyła do niego rozmowę z miasta.

– Inspektor Stucky.

– Panie inspektorze, mam coś do powiedzenia na temat kobiety potrąconej przez samochód.

– Kim pan jest?

- Wolałbym porozmawiać osobiście.
  - Proszę przyjść do kvestury.
  - Zna pan Brek?
  - Restaurację samoobsługową?
  - Tak. W porze obiadowej. Wcześniej jestem zajęty...
  - Jak pana poznam?
  - Będę czekał w sali, która wygląda jak biblioteka.
- Conte! Co z chłopakiem? – wrzasnął od drzwi biura, zdenerwowany telefonem.

– Nic...

Wyszedł i szybkim krokiem dotarł na piazza dei Signori; ani śladu Checa Malagi i naturalnie ani śladu Alego.

Zobaczył, jak Bebo Bastuzzi gra karła, czyli siebie samego, przy Loggia dei Cavalieri, sprzedając bożonarodzeniowe świece (w innym sezonie wielkanocne jaja z czekolady, słomiane kapelusze i kostiumy kąpielowe, jednoczęściowe, dla porządnych pań). Jedni chcieli w nim widzieć włóczęgę i samotnika, znikającego wieczorem w jakimś historycznym apartamencie, w ogromnych salach na najwyższym piętrze, i ślizgającego się w kapciach po autentycznych weneckich posadzkach; inni wyobrażali sobie, że uciekł z jakiegoś cyrku, który swego czasu rozbijał namioty pod miastem od strony targów, jednej z tych karawan balansujących ciągle na krawędzi bankructwa, z dwoma osłami, dwoma kłownami, zonglerem i karłem. Kiedyś do miasta przyjechał cyrk, rozbił namiot właśnie na piazzetta San Parisio, między domami. To był nietypowy cyrk, o ile w ogóle istnieją „typowe” cyrki, ale ten nie miał zwierząt, ani osłów, ani starych lwów, ani koni. Tylko garstkę młodych ludzi, atletów, tancerek i akrobatów, i karła też już mieli, karła, który robił, co do niego należy. Na dwóch karłów nie mogli sobie pozwolić i Bebo Bastuzzi wrócił do sprzedaży, wzdychając.

Stucky wiedział, gdzie mieszka Malaga: w eleganckim mieszkaniu niedaleko dawnego kina Astra, w jednej ze swoich licznych nieruchomości. Dzwonił długo i na próżno. Z zadartą głową patrzył na stare belki i balkony z nadzieją, że gdzieś dostrzeże ślepego. Rozczarowany i zaniepokojony wmieszał się w rwący potok klientów, którzy dryfowali w kierunku piazza dei Signori. Zaszył się w barze przy piazza Borsa, leniwie czekając, aż wybije godzina obiadu. Przedpołudnie nie przyniosło mu żadnej nowej sposobności do posunięcia śledztwa naprzód. Czuł jednak, że zebrał wiele informacji i zaczął z wolna dostrzegać związki między różnymi faktami. Coś jednak – zimowe słońce, bliskość przesilenia, niespokojny sen poprzedniej nocy? – odebrało mu inicjatywę. Z gazetą przeczytaną aż po klepsydry pogrzebowe zabijał czas, rzucając okiem na wchodzących klientów, panie w futrach, pana Springolo, który wpadł na moment, na ludzkie puzzle przedstawiające to miasto, które dostali w spadku i w spadku je przekażą. A każdy myślał o swoich sprawach.

Brek był sieciową restauracją samoobsługową dobrą na szybki obiad dla urzędników i ekspedientek. Szybki, ale pozbawiony typowej dla fast foodów brutalnej esencjonalności. Wybrawszy jedzenie, wchodziło się do pomieszczeń imitujących różne wnętrza, statki i piratów, egzotyczne plaże, azteckie świątynie i dziewiętnastowieczne biblioteki.

W sali udającej bibliotekę siedziało trochę gości, ale Stucky z łatwością rozpoznał swojego człowieka. Zajął stanowisko przy dwuosobowym stoliku, plecami do ściany, daleko od reszty głośnych klientów. Był krótko ostrzyżonym blondynem w okrągłych okularach na nosie i niegoloną od paru dni rzadką brodą. Nieco przy kości – a przynajmniej tak się wydawało inspektorowi z tego, co mógł zobaczyć. Udawał, że patrzy na talerz z ziemniakami i głąskał kufel z piwem, ale przyglądał mu się

i rozpoznał go natychmiast. Inspektor ruszył w jego stronę.

– Signor...

– *Dottor* Tarfusser. Kuto Tarfusser, psycholog.

– Gratulacje. Jungista?

– Nie wiem, jeszcze nie zdecydowałem. Pracuję również dla Agencji Condor.

– Drużyna starego Di Nolfo!

– Zna go pan?

– Był jednym z nas, odszedł pięć lat temu. Zająłem jego miejsce.

– Cóż za zbieg okoliczności...

– Rzeczywiście... – odrzekł Stucky, siadając naprzeciwko i stawiając na stół miskę sałaty z łososiem.

– A więc detektyw-psycholog... a może w odwrotnej kolejności?

– Psycholog to jest to, co chcę robić najbardziej. Ale większy dochód jak na razie czerpię ze współpracy z Agencją Condor. Mam też mały gabinet na Santa Bona.

– Trochę daleko od centrum...

– To chwilowe.

– Pochodzi pan z Górnej Adygi?

– Z Tyrolu.

– A więc co Tyrolczyk wie o tym, co się dzieje w Treviso?

– Przede wszystkim chciałbym gwarancji poufności. Moja aktywność detektywistyczna może na tym ucierpieć.

– Będzie pan miał wszystkie prawne gwarancje i moje osobiste słowo honoru. A teraz proszę mówić.

– Zajmuję się sprawą zdrady w interesach, która okazała się zdradą małżeńską. Procedura zakłada śledzenie i...

– Znam procedurę.

– Krótko mówiąc: widziałem, kto potrafił tamtą kobietę.

Tego Stucky się nie spodziewał. Zobaczył uśmiech na twarzy Tarfussera, kiedy ten dostrzegł jego zaskoczenie.



– Interesujące – mruknął.

– To był wypadek. Najprawdopodobniej nieostrożność. Mam fotografie. Kierowca zatrzymał się, a potem uciekł...

– I była to osoba, którą pan śledził w związku ze swoją pracą w Condorze.

– Właśnie. Młody Bianchin, wracający ze schadzki z panią...

– Nieważne! Pan się boi, że wyjawię źródło, prawda?

– W istocie.

– Nie widzę problemu. Sprawdzimy wszystko z odpowiednią dyskrecją.

– Dobrze.

Tarfusser podniósł szklankę z piwem, nie spuszczając wzroku z inspektora.

– Ale chciał mi pan coś jeszcze powiedzieć. Mam rację?

– W istocie.

– I to coś ważniejszego...

– Pan wiedział od razu, że ten wypadek nie ma nic wspólnego z mordercą ekspedientki...

– Tak.

– To są dwie różne sprawy. W istocie. No więc mam pewną ideę na temat tej postaci, która najpierw zaatakowała ekspedientki, a potem zamordowała jedną z nich. Mam dość szczególnego pacjenta. Założyłbym się, że ta sprawa nie jest mu obca. Ani trochę...

– Powoli, powoli. Pan twierdzi, że ma kogoś, kto kładzie się na pańskiej kozetce i z tego, co opowiada, wynika, że może być zamieszany?

– Dokładnie tak.

– Jest pan pewien?

– Może pan sprawdzić. Dam panu nazwisko.

– A co z zawodową deontologią?

– Przecież to dla wymiaru sprawiedliwości...

Pozostał na swoim miejscu, z karteczką z nazwiskiem w ręku i poczuciem irytacji. Zatelefonował do Landrullego.

– Właśnie wychodzi. Idź za nim, ale uważaj. Gość może się znać na profesjonalnym śledzeniu. – Opisał mu wygląd mężczyzny.

– Inspektorze! Co za fart...

– Landrulli! Nie ryzykuj!

Wierzyć temu całemu Tarfusserowi? Wstał. Wyciągnął jedną z książek z otaczających go półek. To była tylko pusta okładka. Nie zadali sobie nawet trudu, by zaopatrzyć się w wózek woluminów, których pełne były piwnice starych willi albo kiermasze używanych książek. Wszędzie fałsz, wszędzie podróbki!

Po powrocie do kwestury zebrał trochę materiałów o Tarfusserze i rozbawiła go lektura jego curriculum. Rozrywkę zepsuła mu trochę tylko jedna informacja; otóż wuj psychologa był tyrolskim irredentystą w czasach, kiedy słupy wysokiego napięcia padały bynajmniej nie z powodu przeciążenia śniegiem. Natomiast na temat człowieka, którego nazwisko podał mu Tarfusser, nie znalazł nic szczególnego, wydawał się do bólu zwyczajny, jeden z wielu młodych ludzi, którzy pojawiają się na tej ziemi i znikają bez żadnej ważnej myśli, posłuszni własnej biologii. Czy ktoś taki mógł zabić Jolandę Schepis? To byłoby wręcz uwłaczające dla kobiety takiej, jak ona. Najpierw jednak chciał się dowiedzieć, gdzie się podział Ali.

Checo Malaga nie siedział na stopniach, opierał się tylko o jedną z kolumn przy placu i nie wyciągał ręki ani nie pokazywał kapelusza. Wyglądał tak, jakby wpatrywał się w otaczającą go ciemność.

– Panie Farina, Ali nie przyszedł dziś rano.

– I wciąż się nie pokazuje. Dałem mu fotografie wczoraj wieczorem... – odpowiedział mężczyzna zmartwionym głosem. –

Czasami się spóźnia, ale zazwyczaj pilnuje godzin, na które się umówiliśmy.

– Wie pan, gdzie mieszka?

– Mniej więcej. W blokowiskach przy drodze wyjazdowej na zachód.

Długa arteria obrosnięta była po obu stronach różnymi przejawami działalności gospodarczej, a tuż za nimi wyrastały blokowiska, goszczące wielu imigrantów, którzy osiedlili się w mieście. Etniczna mapa świata radosnej marchii<sup>18</sup>.

– Jak go znajdę? Zna pan jego nazwisko?

– Wszyscy wiedzą, kto to jest mały Ali...

Znał te blokowiska. Wiele zrobiono dla poprawy ich wyglądu zewnętrznego, otoczono je trawnikami kwitnącymi w lecie i posadzono w rogach bugenwillę i róże pnące, tylko odrobinę marszczące się zimą. Strefa parkingowa była dobrze utrzymana, miała porządne, wykonane z kutego żelaza stojaki na rowery, dar lokalnych rzemieślników, podobnie jak ławki, po dwie przed każdą klatką schodową, masywne, opływowe i pomalowane na zielono. I jakby to nie wystarczyło, wszystkie kontynenty mogły swobodnie eksponować barwy i ozdoby ziemi swego pochodzenia, pod jednym tylko warunkiem porozumienia się co do szczegółów z miejskim architektem.

Stucky zapytał o Alego kilka matron z osłoniętymi głowami, siedzących przy wejściu z innymi kobietami i mężczyznami z Afryki.

– Ostatnie piętro, rodzina Ali – powiedziała jedna.

– Ali nie ma. Rodzina też nie ma.

– Ali wyszedł.

– Kiedy?

– Rano.

– Rodzina pracować. Ali też pracować.

– Na pewno?

– Wszyscy pracować.

Niezbyt przekonany rzucił okiem do środka, na poczekaniu znajdując sobie wymówkę, że winda jest z pewnością zepsuta i wspinaczka na szóste piętro nie byłaby niczym przyjemnym.

Czuł pustkę w rękach, a jego samopoczucie dołowało równo z zachodzącym słońcem. Policzył, że blok, w którym mieszkała Schepis, znajdował się w linii prostej zaledwie paręset metrów dalej.

– Landrulli, jesteś?

– Śledzę gościa. Mieszka niedaleko rzeźni miejskiej. Poza murami...

– Znam okolice. Rób swoje, a jutro rano spotykamy się w biurze. Burza mózgów, ty i ja.

– Inspektorze, przypominam panu, że jutro jest niedziela. A poza tym ta cała burza... nie wiem, co to, nigdy tego nie robiłem, nawet samemu.

– Landrulli, to tylko takie pieprzenie oznaczające tyle, że wymienimy się opiniami. Nie martw się.

## 19 grudnia

Już prawie Boże Narodzenie. Prawdę mówiąc, Boże Narodzenie jest już od paru tygodni, to proces, nie data. Sklepy sposobią się do ostatecznego wysiłku.

Kiedy przestał czuć te święta?

Stucky zastanawiał się, czy kiedykolwiek je „czuł”, czy nie było to tylko fałszywe wspomnienie.

A czy pan Springolo kiedykolwiek czuł ducha świąt Bożego Narodzenia? A duet Barabissich? Giovanin *el tetàro*? Landrulli?

A signorina Schepis?

Spojrzał na brioszkę, którą położono mu na talerzyku.

Dwa albo trzy przedsiębiorstwa produkujące mrożonki podzieliły między sobą kolosalną porcję tego, co odpowiadało za dobry początek dnia, przygotowując mikroskopijne kulki ciasta blade niczym śmierć, gotowe do wskrzeszenia w piekarniku albo mikrofalówce. Wszystkie identyczne, wszystkie o tym samym smaku. Zostało już tylko kilku prawdziwych cukierników. Właśnie rok wcześniej jeden z tych rzadkich, wymierających okazów sprzedał zakład wraz z przepisem na rogalik z marmoladą i poleciał do Brazylii w poszukiwaniu człowieczeństwa.

Umrzemy bogaci? Uznał, że to była przykra myśl.

Punktualnie o dziewiątej po drodze do kwestury towarzyszył świątecznemu otwieraniu sklepów, ich podwoje otwierały się jeden po drugim jak zimowe kwiaty. Otulone w płaszcze ekspedientki otwierały drzwi na oścież, gasiły światła w witrynach i zapalały je

wewnątrz lokalu. Kłaniał się im, przynajmniej tym, które dostrzegł, a one odwzajemniały pozdrowienie, bo go znały albo z grzeczności. Jedna wytrzepywała dywanik przed wejściem, inna stała z arystokratycznie założonymi rękami przy kasie, przeżuując jakąś mantrę albo nietzscheański refren. Kątem oka dostrzegł sklep odzieżowy biednej Schepis, był otwarty mimo poważnego wypadku, jakiemu uległa pani Veneziani, od lat nie było tam widać tylu klientów, co teraz. Pewnie, sprzedawała eleganckie rzeczy, nie zwykłe kolorowe sweterki. Wścibstwo, niezdrowa ciekawość, człowieczeństwo. Uśmiechnął się.

Przywitał się z signoriną Ricci, która szła do pracy, całkiem już ozdrowiała.

Z jego perspektywy Jolanda Schepis miała poczucie Bożego Narodzenia. Może świadczyły o tym właśnie prezenty przygotowane do zapakowania, znak troski i serdeczności. Nie było trudno dopasować każdy z prezentów do konkretnego przyjaciela. Jedynie spinki do mankietów pozostawały straszliwie samotne.

Landrulli przyniósł ze sobą tacę kruchych ciastek, które przysłali mu z domu, i ścisnął ją jak ostatnią deskę ratunku przed trudem istnienia. Pewnie śniły mu się struffoli<sup>19</sup>. Bardzo liczył, że uda mu się wyrwać do domu na święta, ale bał się, że praca go zatrzyma.

Starął się zyskać na czasie, opisując dzielnicę, w której mieszkał Tarfusser, dodając parę detali na temat znaków drogowych i chodników. Potem musiał powiedzieć, że gość nie był ani trochę znany w okolicy, anonimowy jak śmieciarz.

Wieczorem widział, jak idzie do swojego gabinetu na Santa Bona, z miedzianą tabliczką z napisem psycholog, by spotkać się z klientem, młodym, atletycznym mężczyzną, a następnie wraca do domu, by szybko pójść spać.

- I to wszystko?
- Mam tablicę rejestracyjną samochodu klienta...
- Już wiem, kim on jest.
- Ale jak...
- Sam mi go wskazał. Już wstępnie skontrolowałem gościa...
- Pasuje na sprawcę?
- Nie potrafię powiedzieć. To ktoś bardzo daleki od towarzyskiego kręgu Jolandy Schepis. Szczerze mówiąc, nie widzę punktów stycznych.
  - W takim razie dlaczego facet, którego śledzę, podał panu tę informację?
  - No właśnie.
  - No właśnie co, inspektorze?
  - Wyjaśnię ci.

Tarfusser nie spodziewał się, że zobaczy inspektora Stucky'ego czekającego nań pod domem. Był właśnie w agencji, otrzymał zlecenia od komendanta Di Nolfo, a teraz w nieco ponurym nastroju wracał do domu na obiad.

Befsztyk, powiedział Stucky'emu, mam tesz i dhugi dla pana.

Stucky uśmiechnął się, słysząc, jak jego niespodziewana wizyta wystawiła na szwank akcent młodego Tyrolczyka.

– Dziękuję – powiedział inspektor, otrzepując płaszcz, na który podmuch zimnego wiatru naniósł nieco piasku.

Ruszył za nim po starych i ciemnych schodach z wytartą poręczą i pożółkłymi ścianami, wyraźny znak nierozwiązanej nigdy kłótni mieszkańców o prace remontowe. Wszyscy jesteśmy czasowymi lokatorami, powiedział mężczyzna, niemal jakby mówił do siebie.

– A pan gdzie się uda?

– Chciałbym wrócić do Bressanone. Tak, myślę, sze wrócę do Brhessanone...

Z pewnym wysiłkiem przekręcił klucz w zamku, odruchowo szurając butami po zużytej wycieracze.

– Wiem, czemu chce pan se mną rhosmafiac – powiedział.

– Jest coś do wyjaśnienia...

– Chce pan fiedzieć, co mnie popchnęło do złamania tajemnicy sawodowej z taką łatfością.

– Mniej więcej.

Proszę się rozgościć, powiedział, wskazując na kanapę, a samemu kierując się w stronę kuchenki.

– Poczucie obyfatelskiej pofinności, jak sędzę.

– To przynosi panu zaszczyt...

– Ja przygotuję obiad, a pan niech posłucha tej kasety. To sesja, którą zarejestrowałem. Wiem, etyka zawodowa! Ale niech pan posłucha, inspektorze.

Pogrzebał przy magnetofonie.

*Nie, era składowisk śmieci się nie skończyła, to model firmy rodzinnej przechodzi kryzys. Jeśli poza składowiskiem nie posiadasz żadnych dóbr ruchomych i nieruchomych, nie masz wyjścia. Zmiażdżą cię. Mówię więc do mamy i babci, z nadzieją, że przekażą to tej zdrajczyni Antonietcie, „Rzucamy to, zanim interes się zamknie, sprzedajemy, zanim oficjalne wyniki odstręczą kupujących, wiadomo, że dochody na czarno się nie liczą, kiedy zamykasz interes z nożem na gardle”. „I nie będzie już ciężarówek i mew?”, szepce mama. Sprzedaję firmę za osiemset tysięcy euro, zobaczycie, że znajdzie się jakiś chętny z Ferrary czy Mediolanu. Babci kupimy porządne nowe radio, zrobimy małą dotację na radio Bella & Monella i opłacimy jej ośrodek w Castelfranco Veneto do końca życia. Tobie, mamo, kupię apartament w Duna Verde, w sezonie będziesz zbierać jabłka i gruszki i utrzymasz się godnie. Antonietcie kupię skuter marki Vespa, co jest i tak aż nadto, porządnie odnowiony, klasyk. To, co zostanie, jest wynagrodzeniem za przedsiębiorczość i wykonywaną z oddaniem pracę, i to wynagrodzenie chcę w całości przejeść: chcę każdego wieczoru chodzić na kolację do Toulà, chcę pić*



*kawę na placu w Castelfranco rano, a po południu na piazza Borsa w Treviso, chcę się ubierać u krawca, który szyje na miarę, i chcę zrobić głęboki detoks umysłu.*

*Już pan rozumie, doktorze, dlaczego do pana przyszedłem?*

*– Doskonale...*

*A wie pan, na co miałbym największą ochotę?*

*– Na co, panie Pierini?*

*Na szaloną noc w pana towarzystwie po całej Marchii: restauracje, dyskoteki, kluby nocne, dworce kolejowe, chcę pić i upijać mojego psychoterapeutę, a potem posadzić go na kozetce i posłuchać, co mi opowie o swoim życiu.*

*– Nie wiem, czy możemy. Deontologia zawodowa...*

*Ach tak. A czy ta cała deontologia pozwala być jednocześnie terapeutą i prywatnym detektywem?*

*– Skąd pan to wie?*

*Myśli pan, że nie zasięgnąłem informacji, zanim do pana przyszedłem? Że nie zadałem sobie pytania, dlaczego ma pan tak konkurencyjne ceny?*

*– Na szklaneczkę możemy sobie posfolić.*

*Wiedziałem!*

*– Doceniam, że pozwolił mi pan to odsłuchać – powiedział Stucky.*

*– Nie powinienem... – westchnął Tarfusser.*

*– A więc ten Pierini wydaje się panu szczególnym przypadkiem – kontynuował inspektor, nie spuszczać oka ze swojego rozmówcy. – Niech pan opowie, jak wyglądała taka szalona noc. Bo udało mu się pana wyciągnąć, prawda?*

*Tarfusser nagle wydał się jeszcze młodszy, jak zwykły student dodający sobie odwagi na egzaminach pożyczoną obszerną marynarką i zbyt długim krawatem.*

*– Przez ostatnie trzy miesiące doprowadza mnie do szaleństwa. Zaczęło się od Festiwalu Filmowego w Wenecji. Postanowił zabrać mnie w sam środek tego bałaganu, żeby nagabywać aktorki*

i aktorów. Musiałby pan go widzieć! Ludziom z ochrony mówił, że nazywa się Max i jest przyjacielem Toma Cruise'a i Woody'ego Allena, kiedy widział jakąś aktorkę, wrzeszczał na całe gardło. Dawał się pobić ochroniarzom. Przyjmował uderzenia, jakby to były pieszczoty. Dla sztuki, mówił, dam się zabić! Potem w połowie października wyciągnął mnie na Ombralonga. Mówił, że pierwszy raz w życiu nie upijał się sam, ale w radosnej wspólnocie, razem z setkami innych osób, i że to doświadczenie głęboko go przemieniło. To był, jak sądzę, dionizyjcki szal. Wydaje mi się, że to rozumiem. Otworzyły się przed nim bramy percepcji. Poczł się, jak twierdził, częścią większego świata, sam poczuł się całym światem. Nie mógł już żyć jak dotąd, musiał żyć jak wolny człowiek. I tak, jednego dnia przychodzi na sesję, idealnie punktualny i wykorzystujący swój czas co do sekundy, a następnego dnia dzwoni do mnie o dwudziestej trzeciej, dwudziestej trzeciej trzydzieści, i mówi, że czeka pod domem, i biesze mnie do fyścigowego samochodu i wozi po fszystkich pubach i finiarniach w okolicy, klubach ze sthiptisem, od jednego khańca profincji do drugiego, aż się nauczyłem na pamięć całej geografii Marchii Trewizańskiej i Werony też, kłóci się ze wszystkimi, całuje prostytutki na ulicy i niczego się nie wstydzi...

– No proszę...

– I potem, o trzeciej, trzeciej trzydzieści, zabiera mnie do lokalu, gdzie dają jeść duszo i ciężko, obszera się do oporu i koło piątej, piątej tszydzieści fysadza mnie sto metrów od domu, bo nie potrafi zawrócić przed bramą mojej kamienicy...

– A następnego dnia... sesja.

– Pewnie. Ale najgorsze jest to, że przez to nie wykonuję dobrze mojej pracy dla Condora. Komendant Di Nolfo mnie prześladowuje i chce mnie przenieść na pół etatu...

– Ale, proszę wybaczyć, cała ta ekstrawagancja nie czyni z pana

Pieriniego mordercy.

- Nawet to, że znał ofiarę?
- On to panu powiedział?
- Dzień po morderstwie. Snałem ją, powiedział i się śmiał.
- Śmiał się?
- Uśmiechał się, cały szczęśliwy.
- Signorina Schepis została zamordowana, a on się śmiał?
- Tak właśnie.

## 20 grudnia

Była ósma rano i Stucky z rozpaczą patrzył na drogę biegnącą w kierunku Ponte della Priula. Wciąż ten sam koszmarne widok, chciałoby się wskoczyć na dach ciężarówek, tureckich i bułgarskich, na bagażnik aut przedstawicieli firm odzieżowych i miłośników galerii handlowych, i uciec na pola, na to, co zostało z zielonych arterii, wyobrażając sobie, że prowadzą do nieistniejących już lasów na tych szlachetnych ongiś ziemiach.

Nawet wieczór nie uspokajał panującego na drodze spustoszenia, podróżni zaraz po powrocie do domów migrowali do salonów gier bingo albo dyskotek, po drodze mijając się ze spóźnialszymi klientami powyrzucanymi z zamykanych centrów handlowych.

Skręcił w prawo zgodnie ze znakiem informacyjnym i po paru kilometrach jego oczom ukazało się ogrodzenie z betonowych płyt, mur oddzielający okoliczny teren od tego, co się za nim kryło. Od bramy widział piekło wysypiska, tereny pokryte wzdętymi od gazów czarnymi płachtami i front uprawy, po którym jeździły maszyny i ciężarówki. Otwarte wnętrzości, bulgot bezkształtnej materii, szybujące mewy, strzały z armatki, by je odgonić, i kominy odprowadzające na zewnątrz fermentacyjne gazy.

Mieszkanie Pierinich znajdowało się niedaleko cuchnącej dziury, jakimś tajemniczym zrządzeniem fortuny ustawione w taki sposób, że wyziewy do niego nie docierały. Nacisnął dzwonek.

Nastąpiła niekończąca się pustka, słyszał tylko zgrzyt gąsienic spycharek i czuł oleisty dym z rur wydechowych ciężarówek.

– Tak?

– Ja do pana Pieriniego.

– Śpi.

– Jestem inspektor Stucky. Chciałbym z nim porozmawiać.

– Teraz? Poszedł do łóżka dwie godziny temu.

– A pani kim jest?

– Siostrą.

– To pilne.

– Otworzę panu. Potem go obudzimy.

W progu ukazała się dziewczyna, blada mimo krągłej, pyzatej twarzy. Proste włosy opadały jej tak, jakby były czymś obciążone. Spojrzała na inspektora z nadnaturalną melancholią.

– Idzie? – zapytała.

– Kto?

– Mój brat. Zabiera go pan?

– Do więzienia? Nie, nie. Jestem tutaj w celu wymiany myśli.

– A więc doskonale pan trafił. Max jest wysypiskiem myśli! – I roześmiała się, zakrywając sobie twarz.

– Jak się pani jeździ Vespą? – zagadnął.

– Vespą? Pan też o tym wie? Wcale mi jej nie kupił. Powiedział, że zasługuję na morrisa mini-minor i szuka jakiegoś dobrego używanego modelu z importu...

Gestem zaprosiła inspektora do środka, prowadząc go do wielkiego pokoju z dwoma rzędami kanap z ciemnej skóry, na których leżało mnóstwo haftowanych poduszek i wielki śpiący słoń z pluszu. Przed kanapami stał olbrzymi, nowiuteńki telewizor plazmowy. Na półkach drewnianej biblioteczki zajmującej w całości jedną ze ścian tłoczyły się puchary i trofea.

– Sportowiec? – zapytał inspektor.

– Mój brat je kupuje – wyjaśniła dziewczyna. Kolekcjonuje trofea z lokalnych zawodów sportowych. – Niech się pan rozgości. Włączyć telewizor? Chwilę potrwa, zanim Max otworzy oczy. Wrócił gdzieś koło piątej, albo nawet później...

– Pooglądam sobie puchary, proszę się nie martwić. Niech pani zrobi, co się da.

Dziewczyna znikła za drzwiami i Stucky wykorzystał okazję, by rzucić okiem za inne drzwi, do pokoju, który sądząc po meblach, musiał kiedyś być biurem. Drzwi, przez które wyszła kobieta, prowadziły na korytarz. Zobaczył, że dobija się do ostatniego pokoju, wołając, że przyjechała policja.

Trzeba było paru dobrych minut, aż wyszedł z niego, bluźniąc pod nosem, młody Pierini owinięty szlafrokiem w skrzydlate smoki.

Przeszedł przez korytarz ciężkim krokiem, próbując doprowadzić do porządku przygniecione włosy i otworzyć spuchnięte powieki, by przyjrzeć się twarzy gościa.

– Dzień dobry, panie Pierini. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem.

– Co to, kur...

– Proszę się nie spieszyć i spokojnie się dobudzić...

– Ale co u... – Mężczyzna usiadł z hałasem na kanapie.

Stucky przyglądał się ruchom tego korpulentnego, krzepkiego typu, jego nabrzmiałym powiekom, które ledwie odsłaniały szczelinę jasnej tęczówki. Pierini pstryknął palcami, grubymi jak dobrze nawożone marchewki.

– Antonietta, zrób nam kawy...

– Mówi się proszę...

– Proszę, kurwa mać! Feministka! Rusz się, bo pan się spieszy.

– Nie, ani trochę się nie spieszę – odparł Stucky, siadając.

Przyjrzeni się sobie.

– Pan jest policjantem.

– Tak.

– I jest pan tutaj z powodu tego, co się zdarzyło w Toulà, tak? Przesadziłem z kelnerami, wiem. Tylko że w tych miejscach dla wielkich panów czuję się skołowany.

– Nie, nie jestem tu dlatego, że przebrał pan miarę w Toulà. Chodzi mi o signorinę Schepis, ekspedientkę.

– Tę zamordowaną czarną?

– Znał ją pan?

– Powiedzmy, że startowałem do niej. Podobają mi się czarne, co poradzę? Kiedy je widzę na ulicy wieczorem, jak jest zimno, to czuję coś takiego, czego nie potrafię opisać. Chce mi się płakać, mam ochotę ożenić się z nimi wszystkimi. Gdyby mi pozwoliły, ożeniłbym się z każdą, od pierwszej do ostatniej, jak tylko będę mógł, pojedę do Kenii i ożenię się z czarną. Mówię to wszystkim. To nie tajemnica.

– Co to znaczy, że pan do niej startował?

– Och, teraz rozumiem. Pan myśli, że mam związek z jej śmiercią! Pan oszalał? Nie dowiadywał się pan, kim jestem? Ma pan o mnie pojęcie? Ja jestem za życiem! Antonietta! Kawy! Za życiem, mówię to panu!

Zaczął ruszać nogami, opierając stopy o podłogę, jakby szykował się do skoku.

– Proszę się uspokoić. Niech pan mi opowie, jak się rzeczy mają. Słucham.

– Antonietta! Wy, feministki, nawet espresso nie potraficie zrobić... No więc tak, startowałem do niej. Widziałem ją w sklepie, przez witrynę. Ale nigdy nie wszedłem do środka. To sklep bardziej dla eleganckich kobiet. Poczekalem, aż wyjdzie z pracy, i przy wejściu się przedstawiłem. Była naprawdę piękna. Zachwycająca. Szlachetny wygląd. Wręcz za bardzo. Ożenię się

z tobą, powiedziałem. Mam jeszcze sześćset tysięcy euro i wszystkie zainwestuję w siebie...

– A co na to signorina Schepis?

– Nie była zła, nie. Była grzeczna, ale... sprawa jej nie interesowała.

– Nie została doceniona?

– Kto to wie. Na koniec mi powiedziała: Nie podobają mi się mężczyźni.

– Właśnie tak? Nie podobają mi się mężczyźni?

– Dokładnie. Ale nie uwierzyłem jej od razu. Dwa dni wcześniej widziałem ją po pracy z jednym gościem, który przez parę sekund trzymał ją za rękę. Oszukujesz mnie, pomyślałem. Nie podobają ci się mężczyźni tacy jak Pierini, prawdziwi. Ten drugi wyglądał jak przyglup z Sardynii, fotomodel z szalikiem zawiązanym na węzeł paryski, jakby się miał zaraz powiesić, więc kobiety biegną, by ich uratować: mydłki, mięczaki, cieniasy.

– Ale jak wyglądał?

– Spokojnie! Już widziałem gościa w lokalach...

– Jakich lokalach?

– O, tak, teraz dam panu dobre adresy, a potem pan tam zacznie chodzić. I nie dość, że będę tam miał tych cieniasów, to jeszcze policję! W każdym razie kiedy zobaczyłem czarną z tym facetem, pomyślałem: oszukujesz mnie, a ja potrzebuję jasnej odpowiedzi. Przez trzy wieczory szedłem za nią, kiedy wychodziła z pracy. Szła do jednego domu, a potem stamtąd do drugiego. I tam przychodziły kobiety. I wtedy zrozumiałem, że nie kłamała...

– *Antimama!* Jak wyglądał ten człowiek?

– Ech, *antimama*, *antimama*... gość jak tyczka, inteligent, czterdzieści lat, a wciąż nastolatek.

– Wysoki, pod czterdziestkę... szalik z węzłem paryskim –



mruknął Stucky.

– Bezżyteczny gość, może mi pan wierzyć. I może nawet zły. Dlatego że zło bierze się z niedostatku. Jeśli jest mało tlenu, węgiel się pali i staje się trucizną, ale jeśli tlenu jest dość, nic się nie dzieje. Jeśli jest dość miłości, nie staje się ona złem. Proszę na mnie popatrzeć, byłem kochany nawet przez moją babkę...

Stucky zerwał się z miejsca.

– Gdzie pan idzie?

– Dziękuję, panie Pierini.

– Antonietta! Nawet kawy nie podałaś! I dziwić się, że nikt nas nie odwiedza...

Stucky, wlokąc się w ślamazarnych korkach do Treviso, powiedział sobie, że nareszcie rzeczy zaczynają się porządkować. Zatrzymał się w barze na kawę. Przydrożny bar dla przejezdnych, głównie tirowców. Obowiązkowo zapuszczony. Wyszukał sobie stolik daleko od baru i zadzwonił do Landrullego.

– Za pół godziny tutaj! – I wyjaśnił, gdzie się zatrzymał. Spędził czas na obserwowaniu mężczyzny, który przyciskał guziki automatu do gry. W ruchach gracza była jakaś rezygnacja.

– Wygrywa się czasem? – zapytał go.

– Nigdy – odpowiedział mężczyzna, dalej wciskając guziki.

– To czemu pan gra?

– A pan czemu wsadza nos w nie swoje sprawy?

– Jestem z policji – wymsknęło mu się.

– Nie trzeba mieć studiów, żeby zajmować się swoimi sprawami.

– Nie jest pan Włochem, prawda?

– Mówią na mnie Adriatyk. Z przeciwległego brzegu, ma się rozumieć.

– Rozumiem. Według pana ta ziemia, tutaj, jest gościnna?

Mężczyzna jeszcze silniej przyciskał guziki.

Kiedy pojawił się Landrulli, Stucky dał mu znak, by zamówił sobie kawę i usiadł.

– Posłuchaj, co wymyśliłem. Signorina Schepis próbuje nabrać dystansu do rodziny w Trieście i znajduje pracę w Treviso. Ojciec nie zostawia jej samej i ma ją na oku, wykorzystując do tego starą znajomą, panią Pitzalis. Dziewczyna stara się zakorzenić, miasto jest trudne, zakochuje się. Musi to być skomplikowana miłość, jeśli z jej powodu Jolanda tworzy sobie drugi dom, sekretne gniazdko. Decyduje się na poważny krok: chce opowiedzieć ojcu o swojej miłości. Zaprasza go do hotelu Cipriani. Chce mieć wystawne tło, wyobraża sobie, że to zmiękczy starego Schepisa. On najpierw się zgadza, a potem, może coś wyczuwając, odmawia. Ona jest niepokieszona. Nie spędzi Bożego Narodzenia tak, jak by chciała, ujawniając swoją miłość.

– Miłość? Do kogo?

– Spokojnie, Landrulli, spokojnie... W wieczór przed morderstwem piecze ciasto i w dniu zabójstwa przynosi je do sklepu, mamy w odkurzaczu sprzętaczki okruchy. Z kim świętuje? Z signorą Veneziani czy z mordercą?

– Jeśli morderca przyniósł wino... a może to jest analogia?

– Możliwe... Ale dlaczego? Jest co świętować?

– Może po prostu chcieli zjeść ciasto i tyle.

– Albo był to rodzaj rytuału.

– Rytuału?

– Małe święto dla wyegzorcyzmowania jakiejś trudności.

– A one dwie nie mogły tak po prostu zjeść ciasta i tyle?

Dlaczego wybrał pan akurat ten kierunek?

– Wiara, Landrulli, wiara. Masz te billingi?

– Najpierw szukałem rozmów z dnia śmierci. Nic szczególnego. Żadnego telefonu przed zamknięciem sklepu. Natomiast w czasie tych dwóch dni, kiedy była w hotelu Cipriani, czwartego i piątego

grudnia, dzwoni wielokrotnie do rodziny w Trieście. Resztę przesiałem. Naście telefonów do albo od różnych kobiet, tu mam listę nazwisk... potem odebrała telefon z centrum medycznego, dwa dni przed śmiercią, w czwartek dziewiątego grudnia. Już sprawdziłem, robiła badania na płodność.

– Wynik negatywny.

– Tak. Wiedział to pan?

– Wyczułem.

– I co pan o tym myśli?

Stucky zamilkł, przyglądając się za plecami Landrullego mężczyźnie, który kazał na siebie mówić Adriatyk. Patrzył na obrazki poruszające się na ekranie, czereśnie, ananasy, pomarańcze.

Gdyby miał przed sobą Martiniego, powiedziałałby mu, co myśli.

Ale nie potrafił powiedzieć Landrullemu, między nimi nie zawiązała się jeszcze zażyłość. Nie był złym chłopakiem, na swój sposób się starał. Ale nie był obeznany z jego sposobem myślenia, nie mieli syntonii. On i Martini budowali sobie balkon, z którego oglądali świat pod ich stopami. Trzeba było czasu, nieporozumień, dystansu. Każda indywidualność na końcu poddaje się konieczności współpracy. Podobieństwom. Wiele rzeczy się niuansuje.

– Landrulli, jest delikatne zadanie do wykonania.

Posterunkowy rozłożył ramiona szeroko jak uśmiech.

– Okazało się, że pan Springolo jest spokrewniony z panią Veneziani, są kuzynami pierwszego stopnia ze strony matki. Wspólna własność sklepu jest skromnym rodzinnym interesem. Powiedziałem sobie: trzeba by sprawdzić, czy pan Springolo jest blisko ze swoją kuzynką. A więc pójdiesz do niego i nie odpuścisz, póki ci nie poda nazwisk wszystkich chłopaków i narzeczonych pani Veneziani...

– A jeśli ich nie zna?

– Zna, zna.

– A jeśli nie będzie chciał powiedzieć?

– Ulegnie wobec południowca, który chce, żeby stracił dużo czasu.

– A pan?

– A ja jestem twoim bezpośrednim przełożonym. Ja będę się opieprzać na mieście.

– No tak...

– Powtórz mi łamańca językowego.

– *I ga i gà*... Niemożliwe.

– *I ga igà i gai*. Prościzna. Jutro rano w kwesturze.

Wychodząc z baru, zobaczył, jak Landrulli włącza się w chaos ciężarówek. Wózek na czterech kółkach wśród mastodontów transportujących papier i żelastwo.

Zasłużył sobie na wyjaśnienie? Nie, jeszcze nie.

Musiał porozmawiać z Chekiem Malagą. A nawet odwiedzić go w domu. Malaga nigdy nie wychodził przed południem, nie było jeszcze tłumu przechodniów. Stucky nacisnął guzik domofonu i usłyszał głos niewidomego z pewnym wysiłkiem pytającego, kto tam.

– Panie Malaga...

– Inspektor?

– Chcę z panem porozmawiać.

– Za pół godziny schodzę na plac.

– Nie, natychmiast, panie Malaga. I niech pan nie chowa Alego, muszę z nim porozmawiać.

– Rozumiem, niech pan wejdzie.

To była okazała kamienica z marmurowymi schodami i bramą z kutego żelaza. Checo Malaga dzielił wydatki za nieruchomość z notariuszem i dentystą. Mieszkał na ostatnim piętrze bez windy

i ze stopniami zbyt wyświeconymi jak dla osoby niewidomej. Ale to nie był typ, który by się potykał. Stucky otworzył ze zdumienia usta, kiedy do lokalu wprowadziła go surowa kobieta. Miał gospodynię, spadek rodzinny w postaci mieszkania i meble z cennego drewna, doskonale dobrane, perskie dywany, ceramikę. Pan Malaga siedział na kanapie z Alim obok.

To nie wyglądało na przestrzeń zamieszkiwaną przez niewidomego, umeblowanie musiało pamiętać czasy sprzed wypadku i Malaga chciał, by wszystko zostało po staremu.

– *Ciao, Ali* – powiedział Stucky.

– Możesz panu odpowiedzieć – rzekł Malaga, szturchając chłopca.

– Dzień dobry, *signore*.

– Wiesz, że cię szukałem?

Ali, wierząc, że inspektor go nie widzi, uszczypnął ślepcę w nogę.

– Szukałem cię, a ty sobie wygodnie siedziałeś w mieszkaniu pana Malagi. Piękne mieszkanie, trzeba przyznać. Ale szukałem cię w związku z fotografiami... pan Malaga ci je dał, prawda?

Ali gestem głowy pokazał, że tak.

– Tylko że chciał je ktoś jeszcze, prawda?

– Tak, proszę pana.

– To był reporter z „Gazzettino” – włączył się Malaga.

– A więc udzielił pan wywiadu dziennikarzowi i podczas rozmowy wyrwało się panu, że wścibski inspektor Stucky z kwestury chciał fotografie, które pan kazał robić Alemu.

– Tak, mniej więcej.

– Dziennikarz pomyślał, że fotografie mogą zawierać jakąś ważną wskazówkę, i powiedział coś w tym rodzaju: jeśli zrobię fotokopie, może wyjść z tego bomba.

– Jakby pan słyszał naszą rozmowę!

– Poprosił pana: wyślij mi Alego, skopiuję fotografie i potem je damy, jak gdyby nigdy nic, inspektorowi. Ech, ci dziennikarze...

– Ale ten człowiek jest zły! – wtrącił się Ali. – Kazał sobie przynieść fotografie, ale wciąż ich nie oddał.

– To prawda.

– A pan nie tylko nie uznał za stosowne mnie powiadomić, ale na dodatek ukrył Alego.

– Ta historia się skończy...

– Panie Malaga, skończy się, ale nie przez boskie zasługi. Mimo tego, że zbliża się Boże Narodzenie.

## 21 grudnia

Stucky poszedł do łóżka bardzo wcześnie. Czuł się wyczerpany. Z trudem naciągnął na siebie pidżamę, jego nogi zrobiły się nieoczekiwanie najpierw ciężkie, a potem miękkie i zatoczył się jak pijany. Czuł, że zbliża się styczeń, najgorszy miesiąc w roku. Jego biorytm albo jakaś koincydencja astralna wpychała go na ścieżkę fatalnego samopoczucia, strzykających stawów, bezsenności karmiącej się nocą i obciążała go myślami, których nie potrafił uspokoić. Może było to poczucie, że jest blisko mety, i wiedział dobrze, jak bardzo gardzi tą chwilą, cuchnącym wąskim gardłem, gdzie cała sprawa sprowadzała się do smutnej konstatacji, że czyjeś życie wyparowało z powodu jakiejś ludzkiej słabości.

Następnego dnia wstał jeszcze przed przyjazdem śmieciarki. Suchy, niezbyt chłodny poranek. Był już na piazza Borsa, migocząc jak płatek śniegu w świetle latarni, kiedy zobaczył zjawy pracowników sanitarnych uczepionych tylnych stopni, wszystkie z fosforyzującą przywieszką DOBRZE, ŻE JESTEŚ. Zeskok na ziemię, worek lecący do kontenera śmieciarki i dalej w drogę, jak zziębnięte świetliki.

Usiadł na murku, śledząc wzrokiem czerwoną poświatę świateł stopu śmieciarki przedzierającej się przez ulice historycznego centrum.

Lubił miasta, w których pierwszeństwo dawano pieszym, lubił ich żywiołowość, potok butów i płaszczy. Gdyby mógł swobodnie

wybrać sobie zawód, i gdyby taki w ogóle istniał, chciałby obserwować ludzi. Zapamiętywać twarze, ubrania, sposób chodzenia. Za dnia i wieczorem, nigdy w nocy, patrzyłby na każdego, bez uprzedzeń, bez różnicy wieku i koloru skóry. Zapamiętywałby każdy szczegół i robił sprawozdanie na koniec zmiany, tej wymaginowanej zmiany, aby zarchiwizowane zostały wygląd, rysy twarzy, kroki i gesty wszelkiej formy człowieczeństwa.

Uważał się za człowieka państwa, ale nie w tym sensie, że był opłacany przez państwo, nie urzędnika państwowego z gwarancją zatrudnienia, jak mu wypominali, nie zawsze przyjaźnie, w barze. Inspektorze, pan to ma pewną pensję!

Nie, on twierdził, że należy do jednego z tych miejsc obserwacyjnych, gdzie mrowienie świata zostaje ograniczone jakimś porządkiem, jakimś polaryzującym filtrem, który zmusza chaotycznie tańczące fotony do z góry ustalonej oscylacji. Pojmował państwo jako jeden z tych filtrów, gdzie rodzinne troski, tablica rejestracyjna samochodu, opłata za dentystę, preferencje czytelnicze każdego obywatela, wszystkie uprawnione, muszą się usunąć, by zrobić miejsce wyborom wyższego rzędu: nie zabijaj, nie kradnij, nie przechodź na czerwonym świetle, nie dawaj narkotyków dzieciom. Państwo było gwarantem i kontrolerem tych esencjalnych elementów. Być człowiekiem państwa znaczyło uczestniczyć w działaniu na ich rzecz dla dobra zbiorowości. Być człowiekiem państwa nie oznaczało odróżniać się mundurem, legitymacją, przywilejem; oznaczało wtopić się, być krzepką winoroślą, która wzmacnia i chroni swoją strukturę nośną.

Niemal skończył chemię przemysłową i przed ostatnimi egzaminami zadzwonili do niego, już wkrótce magistra, z jakiejś firmy, a on się zawahał, instynktownie nie czuł się zainteresowany propozycją, a potem zobaczył ogłoszenie naboru



do policji państwowej, oto jest i państwo, potem praca, wloty i upadki, życie, które się w to wmieszało, z wszystkim, co się przydarza, chcianego i nieoczekiwanego.

Zadrżał z zimna. Skończmy już tę sprawę, powiedział do siebie.

– Inspektorze... o tej godzinie? – przywitał go dyżurny przy wejściu.

– Zapomniałem wyłączyć światła w biurze.

Policjant się uśmiechnął.

– Za niecałą godzinę będzie już dzień.

– Ech, co za marnotrawstwo.

– To z powodu sprawy ekspedientek?

Stucky potrząsnął głową, nie słuchając.

Na biurku zostawił teczkę z etykietą: Ekspedientki.

Przesunął ją, mrużąc: Niewiarygodne. Potem wziął czystą kartkę i zaczął zapisywać nazwiska i zaznaczać łączące je linie.

Landrulli zastał go z kartką wysoko podniesioną przed siebie, wpatzonego w zapiski niczym w portolan mający doprowadzić okręt do bezpiecznej przystani.

– Jesteś przed czasem.

– Pan także.

– Pan Springolo okazał się chętny do współpracy, prawda?

Pytanie było perfidne, ale Landrulli chyba tego nie wyczuł i wyciągnął notatnik elektroniczny.

– No, no!

– Prezent...

– Oświeć mnie.

– Pani Veneziani naturalnie nigdy nie była zamężna.

– Naturalnie.

– I jest bardzo zamożna. Posiada dużo nieruchomości, część z nich wspólnie z panem Springolo.

– Widzisz: bezpieczna inwestycja. Wspólniczka bez

spadkobierców.

– Oczywiście. Żadnych partnerów i...

– Landrulli, do rzeczy: opowiedz mi o jej preferencjach afektywnych.

– Pan to...! No dobrze, prowadzi się z kobietami... Ale jeśli pan już to wiedział...

– Landrulli, nie podoba mi się to prowadzi się. Ani trochę mi się nie podoba.

– Inspektorze: Veneziani pozwoliła sobie na pewną swobodę wobec swojej ciemnoskórej ekspedientki. Spróbowała, została odtrącona i zareagowała w taki sposób. Nie sądzę, żeby trzeba było się nad nią uzalać...

– Landrulli, radicchio odbiera ci bystrość umysłu. Wydaje ci się prawdopodobne, że taka kobieta jak signora Veneziani zabija swój obiekt westchnień i umieszcza w witrynie własnego sklepu?

– Wykonała coś totalnie absurdalnego, żeby zmylić trop.

– Bzdury! Odpowiedz na to: dlaczego signorina Schepis poddała się badaniom na płodność?

– Chciała zostać mamą. Mamą... ale z kim?

– No właśnie. Z kim?

– Ja tego nie wiem, inspektorze...

– A ja wiem.

– Co mam robić?

– Odpocząć, Landrulli, odpocząć... I zostawić mi wszystkie notatki na temat pani Veneziani.

Stucky zamknął się w swoim biurze na niemal całe przedpołudnie. Zadzwoił do szpitala, do oddziału okulistycznego, odbył dziesięciominutową rozmowę ze słynnym profesorem Rame, wybitnym ekspertem w dziedzinie chorób wzroku. Potem pozwolił sobie na telefon do prezesa Klubu Wędkarstwa Muchowego.

– Panie Bonatto, w tym roku zapisuję się na wasz kurs.

Zaczynacie w styczniu?

– Tak jest, panie inspektorze. Ale i w zeszłym roku zapowiadał pan, że się zapisze...

– W tym roku czuję, że zostanę wybrany do łowienia w mieście...

– Tak czy inaczej, może pan się uczyć. Jest wiele miejsc, gdzie można łowić na muchę.

– Nie, dziękuję. Mnie interesuje tylko wędkowanie w mieście.

– W takim razie czekam na pana.

– Proszę na mnie liczyć.

Zadzwoił do redakcji „Il Gazzettino”, by się dowiedzieć, gdzie znaleźć Alessiego w porze obiadowej. Powiedzieli mu, że zajmuje się czymś w okolicy Conegliano, i dali mu numer jego telefonu.

– Panie Alessi, tu inspektor Stucky.

– Inspektorze, co za niespodzianka? Czyżby potrzebował pan dziennikarza? Zazwyczaj jest na odwrót...

– Potrzebne mi są fotografie, które pan posiada – odparł sucho inspektor.

Wyczuł, że dziennikarza obleciał chłód.

– Fotografie... – wymamrotał Alessi.

– Te, które mały Ali robi dla signora Malagi. Dobrze pan wie, o co chodzi.

– Nie mam ich przy sobie.

– W takim razie oczekuję pana na obiedzie, powiedzmy o trzynastej, wykorzystamy czas na rozmowę.

– Gdzie?

– W Osterii u Seconda.

– Zrobię, co się da.

Pod Loggia dei Cavalieri karzeł Bebo wyprzedał już prawie wszystkie świąteczne świece i gałęzie jemioly. Na drewnianym straganie zostały już tylko równo ułożone czerwone kawałki,

udekorowane złotymi i srebrnymi cekinami. Kosz z jemiolą był prawie pusty.

– Dobry interes – zagadnął Stucky, przechodząc.

Bebo, siedzący z nogami w powietrzu, pokręcił głową.

– Kupiłem po prostu mniej. Wszyscy protestowali: więźniowie z zakładu karnego i zakonnicy. Zabierzcie je sobie na przyszły rok, żeby się nie zmarnowały. Tego roku po oszczędności.

– Oj tam! Zarobiłeś, co twoje.

– Uczciwie, panie inspektorze.

Przemykając obok Loggia dei Cavalieri, zobaczył Seconda zawieszającego klepsydrę w witrynie lokalu. Próbował niezdarnie oderwać z rolki kawałek taśmy klejącej, lepiała mu się do drżących rąk.

– Malarz! – zawołał Stucky, patrząc na fotografię.

– Umarł... – zaszlochał Secondo, podczas gdy inspektor podtrzymywał mu kartkę, która niczym coś żywego nie pozwalała się przywiesić.

– Kiedy?

– Dziś rano. Ciągnął, ciągnął, aż dociągnął. Jednego artystę mniej...

– Przykro mi.

– Co to był za człowiek! Z jaką klasą! Teraz wreszcie zaczną się sprzedawać jego obrazy. Krewni tylko na to liczą...

Zawiadomienie o śmierci kończyło się zdaniem, które malarz sam przygotował na tę okoliczność:

Wolałbym być tu razem z wami,  
ale już dłużej nie mogłem zostać.

Stucky pomyślał o Martinim.

– Głowa do góry – powiedział, gdy udało im się w końcu

przywiesić klepsydrę.

– Głowa do góry jest. Tylko że artystów coraz bardziej zaczyna brakować. Chce pan klepsydrę do zawieszenia w kwesturze?

– Nie, dziękuję...

Dziennikarz był bardzo punktualny. Stucky dopiero co usiadł.

– Nie chciałem przychodzić – zaczął mężczyzna, siadając.

– Źle by pan zrobił, panie Alessi – odparł Stucky, przedłużając spojrzenie skierowane na płaszcz mężczyzny i starannie zawiązany czarny szalik.

– I dlaczego? Ja tylko przetrzymałem przez chwilę źródło informacji wyłącznie po to, by zbudować na tym artykuł, może nawet byłaby to sensacja. Chłopak nie powiedział, że potrzebuje ich pan pilnie. Ani signor Malaga...

– Mógł pan przeszkodzić w śledztwie.

– Dziennikarze często przeszkadzają w śledztwach. To rodzaj prawa, które sobie przyznajemy. Zresztą policja nie szanuje ludzkiego prawa do adekwatnej informacji.

– Mógł pan przeszkodzić w śledztwie, ale to jest najmniej interesujący aspekt sprawy. Ponieważ to pan zabił signorinę Schepis.

Pozwolił, by słowa przemknęły przez dzielącą ich przestrzeń, ponad małą czerwoną świąteczną gwiazdką na środku stołu, ponad butelką wody, którą zamówił, ponad szklankami i talerzem. Aż do dziennikarza, który pozostał nieporuszony.

– Opowiem panu historię...

– Nie interesuje mnie żadna historia! Pan bredzi!

– Ach, pan pewnie myśli: inspektor Stucky nie ma dowodów, inaczej nie zapraszałby mnie na obiad. Ma pan rację: dowody ma pan. Da mi pan fotografie pana Malagi?

– Pan sam nie wie, czego się chwycić! Nic nie ma na tych fotografiach. Ja też myślałem, że znajdę na nich coś użytecznego.

Tymczasem ten dzieciak trafiał w kadr jeden raz na tysiąc. Stary ślepiec nie mógł go przecież skontrolować! Mały stroił sobie żarty: fotografował stopy, płaszcz, rękę. Przypadkowych przechodniów. Tak, są tam też kobiety, ale żadnego śladu ofiary.

– I znów ma pan rację. A wie pan, dlaczego? Po pan Malaga nie jest całkiem ślepy. Nie ma sokolego wzroku, to pewne, ale przyszło mi do głowy, by to sprawdzić. Otóż widzi odrobinę, ale tylko lewym okiem. Patrzy na świat jak przez maleńką dziurkę od klucza. Ale przez dziurkę od klucza coś jednak widać. Na przykład fotografie, które zrobił Ali. Powoli oglądał je sobie, jak tylko zostały wywołane. Te, które miał dać mnie, a które trafiły do pana, nie mają żadnego znaczenia. Inne są wciąż w posiadaniu signora Malagi. A samo to, że, jak pan potwierdza, na tych fotografiach nic nie ma, uświadamia mi, że signor Malaga po prostu nie mógł mi ich dać. Ponieważ signorina Schepis chciała pana chronić. Nie chciała, by został pan obrzucony błotem.

– Wszystko to mnie nie dotyczy, inspektorze...

– Przeciwnie. Na fotografiach, które signor Malaga zachował dla siebie, są z pewnością ujęcia przedstawiające panią Veneziani i signorinę Schepis. Jakiś detal, nic kompromitującego. Tylko dyskretne oznaki historii miłosnej. Której signor Malaga może się domyślał, ale pan znał ją doskonale...

– Jak pan może coś takiego mówić?

– Pan i signorina Schepis spotykaliście się głównie w sklepie, po godzinie zamknięcia. Pan przychodził pod tylne drzwi i pukał. Może mieliście ustalony kod, albo nawet niekoniecznie, bo kto inny mógłby pukać o tej porze? Nie wiem, od jak dawna się spotykaliście. Ale chyba od niedawna, bo to nie dla pana był przeznaczony miłosny kredyt, który biedna Jolanda otworzyła signorze Veneziani. I to właśnie signora Veneziani poznała pana z Jolandą. Zresztą był pan dobrym klientem, co pokazują wpływy

z pana karty kredytowej na konto sklepu. I nawet skłonny jestem myśleć, że między wami istniała jeszcze inna relacja, bardziej złożona. Sądzę, że początkowo nie zrozumiał pan powodów, z jakich ta kobieta podsunęła panu Jolandę. Nie była prezencikiem ani zabawką. I dla pana również nią nie była. Jolanda musiała zrobić na panu wrażenie, większe niż to się zdarzało z przygodami na parę nocy. Rozumiem to, wie pan? Nawet ja czuję urok tej dziewczyny, jakby wokół jej rzeczy nawet po śmierci pozostało jakieś pole magnetyczne. Pan już zdążył uwierzyć, że zatrzyma ją dla siebie, kiedy Jolanda powiedziała, że to koniec.

Dziennikarz odwrócił głowę, patrząc z ukosa, jakby chciał uniknąć nieoczekiwanego zapachu, fetoru cierpienia.

– Nic pan nie ma, inspektorze. W tym cała rzecz. Wybaczy pan, ale nie zjem z panem obiadu. Zazwyczaj nie jestem tak nieuprzejmy, proszę mi wierzyć. Oczywiście udam się do adwokata...

– Tylko taki mydłek jak pan mógł zostawić frazę z Rimbauda.

Stucky obserwował każdy jego ruch, gdy wstawał, brał płaszcz i wychodził.

Kazał Landrullemu go śledzić. Teraz musiał porozmawiać z komisarzem Leonardim i z kwestorem.

Przyszła mu ochota do przejścia raz jeszcze przez Ponte della Malvasia, żeby popatrzeć na dom, którego nigdy nie będzie mógł kupić. Na balkonie wisiał cienki sznur małych żółtych lampek. Stara właścicielka w końcu poddała się świętom. Kątem oka zerknął na sklep z dywanami, było zbyt późno nawet dla wuja Cyrusa.

Wszedł w wąską uliczkę, którą dotarł na piazza dei Signori, potem zatrzymał się przed sklepem pani Veneziani, by popatrzeć na białą witrynę spódnic i płaszczy, butów i szalików niewinnych

niczym obłoki. Wyglądały, jakby nic się nie zdarzyło.



## 22 grudnia

Siedząc przy stoliku barowym, Stucky niechętnie odebrał wibrujący mu w kieszeni płaszcza telefon.

– Landrulli? Ale tylko dobre wieści, bardzo cię proszę.

– Rzeczywiście mam dobrą wiadomość. Veneziani odzyskała przytomność i chyba może rozmawiać.

Policjant pilnujący przed drzwiami izolatki zasalutował inspektorowi z lekkim ziewnięciem, a lekarz próbował go zatrzymać, mówiąc o złamaniu nóg w dwóch miejscach, urazie czaszki, który wciąż go niepokoił, i delikatności, jakiej wymagał podobny przypadek. Dziesięć minut, nie więcej, powiedział, poprawiając kołnierzyk niebieskiej koszuli.

– Kto mnie potracił? – zapytała kobieta słabym głosem, gdy tylko go ujrzała.

– Ktoś, kogo pani zna? Ktoś taki jak Alessi?

– Alessi... – Głos kobiety wydawał się dobiegać z bardzo daleka, z innych pomieszczeń, a jej uroda utonęła pod środkiem dezynfekującym, który zabarwił jej czoło.

– Skończyło się już? – westchnęła.

– Co takiego? – zapytał Stucky, zbliżając się do łóżka, niemal dotykając jej dłoni.

– Szaleństwo zakupów. Potem będzie trochę odpoczynku.

– Jest pani zmęczona?

– To był koszmarny czas.

Stucky spojrzał kobiecie prosto we wciąż piękne oczy.

– Gdyby Jolanda nie miała tego szalonego pomysłu, żeby urodzić dziecko, nic by się nie zdarzyło.

Pani Veneziani milczała.

– Ten pomysł zrobił się nazbyt uciążliwy. I wręcz przesadny jak na to miasto, jej pracę, jej pozycję. Nie mógł się pani podobać...

Zobaczył łzę.

– Signorina Schepis musiała pani powiedzieć, że chciała zajść w ciążę i że opowie wszystko swojemu ojcu.

– Staralam się jej wyjaśnić, że popełnia błąd. Nie można było myśleć o dziecku. Nie tu. Nie w tej pracy.

– Niech pani mówi.

Kobieta potrząsnęła głową.

– A więc ja pani powiem: Jolanda źle to przyjęła. Powiedziała, że jest gotowa jechać za granicę na in vitro albo, gdyby to się okazało zbyt skomplikowane, znajdzie chętnego mężczyznę tutaj. To pani zasugerowała jej Alessiego, prawda?

– Miałam nadzieję, że odmówi, że się oburzy i odpuści...

– Ale Jolanda tego nie zrobiła. A dziennikarz zaczął to traktować poważnie, wie pani? Próbowali. Może Jolanda nie czuła entuzjazmu, ale próbowali. Dla niej ten mężczyzna był tylko środkiem do celu, ani razu do niego nie zatelefonowała, nie znaleźliśmy żadnego śladu rozmowy w jej billingach. Mieli stały termin, w sklepie, po zamknięciu. Jednak Jolanda nie zachodzi w ciążę, robi testy i odkrywa, że jest bezpłodna. Może to z powodu dzieciństwa, jakiejś wrodzonej wady, szyderstwa losu, faktem jest, że dzieci mieć nie może. Kilka wieczorów przed śmiercią musiała poinformować dziennikarza, że to koniec starań. To na nic, powiedziała, pewnie z goryczą. Potem upiekła ciasto, wzięła je do sklepu, świętowałyście koniec niemożliwego do spełnienia pragnienia. A w tym samym czasie mężczyzna rozpamiętywał swoje odtrącenie, no i stało się to, co się stało. Naprawdę pani

świętowała, pani Veneziani?

– Alessi...

– Wiedziała pani?

– Groził mi. Że obrzuci nas błotem. Był do tego zdolny.

Kobieta zakryła oczy drżącymi dłońmi, jakby chciała zachować jakiś obraz. Miała blade usta.

– Niektóre miłości są zbyt wielkie. Nie jesteśmy na nie przygotowani... ani nie zasługujemy na nie. Dlaczego i tak przychodzą? Kto je nam posyła? Kto je nam posyła?

Inspektor powiadomił prokuratora. Dwa radiowozy pojechały do domu dziennikarza, ładnego ceglanego budynku z początków dwudziestego wieku, przy torach kolejowych. Rzucało się w oczy oświetlone wejście i glicynia pnąca się po kolumnach aż do balkonu pierwszego piętra. Z boku obszerna przestrzeń ginęła w cieniu drzew, a jeszcze niżej, inspektor to wiedział, schodziła ku jednej z licznych odnóg rzeki.

Zostawił ludzi przy bramie, która otworzyła się po tym, jak zadzwonili domofonem.

W progu pojawiła się stara kobieta otulona szalem. W zmęczonych rękach trzymała gitarę.

– Stefano wyszedł. Powiedział mi: Jeśli ktoś przyjdzie, zagraj mu piosenkę. – I zaczęła brzdąkać.

– *Antimama* – westchnął Stucky.

– Wie pani, dokąd się udał?

– Wybiegł z domu dwadzieścia minut temu. Uściskał mnie. Nigdy tego nie robi... – dodała kobieta. Potem niespodziewanie znalazła w sobie surowość. – Czego chcecie od mojego syna – zapytała sucho.

– Mamy nakaz aresztowania – odpowiedział cicho Stucky.

– On nic nie zrobił.

– Na pewno pani nie wie, dokąd poszedł?

– Samochód jest jeszcze w garażu – szepnęła kobieta.

– Biegnij po latarkę! – krzyknął Stucky do jednego z mundurowych. Pobiegł w stronę wody. – Szybko, szybko – poganiał zdyszanego policjanta, który przybiegł z wielką latarką. Była tam wąska ścieżka prowadząca przez łąkę w stronę rzeki, a po chwili zanurzająca się między bezlistne drzewa, wierzby i robinie.

Tak jak się domyślał, była tam mała przystań, stare drewniane molo na palach. Deski uginały się pod ciężarem inspektora. Musiała tam być łódź. Wiele domów przy rzece miało swoje łodzie, którymi ludzie w wolnym czasie pływali wzdłuż wijących się brzegów.

Omiatał latarką czarną powierzchnię wody.

Panowała absolutna cisza, słyhać było tylko gulgot wody wirującej wokół pni olch.

– Trzeba znaleźć łódź – powiedział do ludzi za swymi plecami. – I niech ktoś pobiegnie do mostu kolejowego. – Słyszał szum pociągu w oddali.

– Weźmiemy łódź od sąsiadów... – powiedział ktoś.

– Czekam na was tutaj. – Przekazał latarkę któremuś ze swoich ludzi.

Popłynął z prądem? Pół kilometra, nawet mniej, i dopłynąłby do przystani, z której łatwo dostać się na lotnisko. Pokręcił głową. Gdyby chciał uciec, wziąłby samochód. Nie, popłynął pod prąd, w stronę mostu kolejowego, przed którym rzeka zawijała się w ostrym zakręcie.

– Inspektorze!

– Tutaj jestem!

Wskoczył na łódź, odbierając od podwładnego latarkę, dwaj mundurowi wiosłowali z całych sił. Płynęli zakosami i wąski snop światła nie wystarczył na oświetlenie całej trasy. Szczęśliwie na

tym odcinku rzeki nie było kryjówek, gdzie dałoby się schować łódź. Brzegi były dobrze utrzymane i tylko szczupła kurtyna suchych trzcin oddzielała wodę od lądu.

Widać już było szkielet żelaznego mostu, a na nim świetliste punkciki latarek pozostałych policjantów.

Stucky'emu wydawało się, że ich słyszy: łódź musiała być blisko.

Nie, dziennikarz nie uciekł. Przynajmniej nie w konwencjonalny sposób, pomyślał.

Zobaczył łódź. Jej dziób utkwiał między gałęziami zatopionego drzewa. Stucky poczekał, aż jego ludzie zahaczą się o burtę, i przeskoczył na jej pokład.

Na rufie zobaczył biustonosz i majtki Schepis przywiązane do niewielkiego metalowego pręta niczym biała flaga bez życia.

Ukląkł i wychylił się na zewnątrz, kierując światło na wodę, która zrobiła się mętna i tajemnicza.

Przypomniał sobie opowieść z dzieciństwa. Jakaś jego krewna ze strony ojca próbowała utopić się w Sile. Stała z rowerem obok starego mostu, kiedy jeszcze wody były przejrzyste, i zapatrzyła się na wolne falowanie roślin na dnie, zielone czupryny głębokich, błotnistych istot. Jakiś chłopak rzucił się do wody i wyciągnął ją na brzeg. Ciężko dysząc, tłumaczyła się, że słyszała, jak ją wołają. Powiedziała, że rośliny mówią i wiedziały o niej wszystko, tak że chciała się zbliżyć, by powiedziały jej także to, czego sama nie wiedziała.

*Antimama*, otrząsnął się.

– Nurków! Ściągnijcie nurków!

## 24 grudnia

Znaleźli go dwudziestego trzeciego po południu, paręset metrów niżej, zakleszczonego między konarami.

Przez cały dzień Stucky wyplątywał się z gęstej sieci procedur: raporty, telefony do przełożonych i prokuratora. Kwestura nie wydała żadnego oficjalnego oświadczenia i prasa nie mogła się rozkrzyczeć nad epilogiem sprawy ekspedientek. Naturalnie wiadomość o śmierci dziennikarza rozeszła się po redakcjach i wypłynęła także na miasto.

Wydania gazet z dwudziestego trzeciego oznajmiały zwrot w śledztwie: odbywała się szeroko zakrojona operacja poszukiwania ciała w jednej z odnóg Sile. Gazeta, w której pracował zmarły dziennikarz, roztropnie umieściła tylko krótką wzmiankę.

Ale dwudziestego czwartego rano pierwsze strony krzyczały już tytułami: „Odnaleziono ciało mordercy ekspedientek”, nie bacząc na to, że zabił tylko jedną. Generalizacja ma dobry wpływ na nakład. Poza tym dawała poczucie dokonania czegoś ważnego. W sam raz na Wigilię.

Sekretarz arcybiskupa zatelefonował do Stucky'ego zaraz po odprawieniu porannej mszy.

- Gratulacje, inspektorze.
- Dziękuję księdzu.
- Wspomnę o pana dziele podczas pasterki.
- Zbyt wiele zachodu, proszę księdza.

– Rozpostarł pan płaszcz spokoju nad naszą wspólnotą. Nie pozostanie pan bez nagrody od Pana.

– Landrulli – powiedział Stucky, kiedy kwestor zostawił ich samych – chcę ci sam opowiedzieć, jak wygląda sprawa fartu, zanim ci to opowiedzą koledzy i porobią się nieporozumienia. Oto jak było ze sprawą morderstwa małżeństwa Barbisanów. Kręciłem się na targu staroci, bardziej przypatrując się ludziom niż wystawionym przedmiotom. Czasem tylko rzucałem okiem to na stary wisiorek, to na ramę, na złotą szpilkę z rubinową główką, na książkę o przycinaniu gałęzi i na znaczki pocztowe. Podnosiłem właśnie pod światło wspaniałe kielichy, kiedy dostrzegłem przy straganie w rogu dziwnego mężczyznę, wyglądał na podekscytowanego. Dotykał srebrnego angielskiego serwisu, dotykał go niemal z miłością, jakby to były drogie mu rzeczy, jakby chciał złączyć się z utraconym a nieoczekiwanie odnalezionym skarbem. Nadążasz za mną, Landrulli?

– Jak wagon za lokomotywą, inspektorze.

– Mężczyzna poprosił o informacje sprzedającą, roztargnioną panią w futrze, która dalej czytała jakieś czasopismo, z niedowierzaniem spoglądając na niego znad okularów. Potem chwycił nóż do sprawiania ryb, ze zdobioną rękojeścią i szerokim ostrzem, tylko leciutko skorodowanym. Podniósł go przed sobą, wykonał nim ruch do przodu i tyłu, bynajmniej nie taki, jakim się oskrobuje doradę. Kobieta podała cenę i mężczyzna bez targowania się zapłacił i odszedł, nie dając nawet handlarce włożyć przedmiotu do odpowiedniego pojemnika.

Zaciekawiony poszedłem za nim. Widziałem go, jak siedzi w barze i przygląda się swojemu zakupowi. Potem wsiadł do czarnego volvo. Zapamiętałem tablicę rejestracyjną.

Kiedy tydzień później znaleziono ciała obojga Barbisanów zamordowanych nożem o szerokim ostrzu, powiedziałem sobie:

Sprawdzisz to? Szybko posprawdzałem parę rzeczy. Sprawa o spadek, zwariowany siostrzeniec, który mieszkał w willi na wzgórzu Montello, niczym na wyspie, i wujostwo, które chciało sprzedać nieruchomość, jego oddać na leczenie. Dlaczego ten nóż, zapytałem go. Wuj uwielbiał ryby, zwłaszcza pstrągi, odpowiedział zabójca z przekonaniem. Według ciebie to szczęście? Czy może intuicja, obserwacja, szybkie łączenie faktów? W tym cała rzecz.

– Inspektorze, ważne, by nie zrobić sobie krzywdy.

Odpowiedź godna Martiniego, pomyślał Stucky i się uśmiechnął.

Wyszedłszy z kwestury, okrążył piazza dei Signori i szopkę z tłustymi owcami i mułem, szerokim łukiem obszedł Loggia dei Cavalieri opasaną świecidełkami. Nagle przypomniał sobie coś i pobiegł do Casa del Baccaà, ledwie zdążywszy przed zamknięciem.

Panettone<sup>20</sup>, wyblagał, jedną z waszych cudowności!

– Kilogramowy czy dwu?

– Dwu. – I pomyślał, z iloma osobami miał zamiar się nim jutro podzielić.

– Leciutki – mruknął, kiedy wziął do ręki opakowanie.

– Nasz panettone jest tak miękki, że wydaje się ważyć mniej niż w rzeczywistości.

Inspektor postanowił doczekać ciemnej nocy w Osterii u Seconda, z kieliszkiem wina w ręku, opróżnianym i napełnianym w razie potrzeby. A potem, od Seconda, marsz po via Trevisi, między nagle uciszonymi domami. Pozamykane sklepy, jeden po drugim, niczym zmęczona kraina obfitości, niczym kartka pocztowa gotowa, by ją wrzucić do skrzynki. Klienci już znikli, ekspedientki niedługo zapomną o paczkach i kolorowych wstążkach. Boże Narodzenie prawie skończone. Przed domem jego marzeń przy Ponte della Malvasia kontury



budynku były niczym część nieba, i wszędzie światełka, małe szczeliny światła rozsiane po Pescheria, po mostach, na starym platanie, wzdłuż nabrzeża, na uniwersytecie. Jak można nie czuć sztucznego dobra tej ciszy...

## 25 grudnia

Na świąteczny obiad Stucky zamówił stolik w restauracji przy piazzetta San Parisio. Zaprosił duet Barabissich, karła Bebo, Giovanina *el tetàro*, starą Tonię, Checa Malagę i Alego.

Wspomniał także ekspedientkom, choć nie spodziewał się, by któraś przyszła.

Naturalnie zaprosił także Landrullego, który sobie na to zasłużył, i wuja Cyrusa, dla którego kupił garść pistacji prosto z Iranu.

Martiniego nie, ten nie przyszedłby, nawet gdyby żył.

Czekał od jedenastej trzydzieści, siedząc na ławce na Pescheria, słuchając pluskania wody i spoglądając w ołowiane niebo. Padały jakieś zmrożone igiełki, które próbowały stać się śniegiem. Niesione wiatrem niczym liście z lodowego drzewa kręciły w powietrzu piruety i roztopiały się na ziemi i w wodzie.

Chciał rozdać prezenty, które przygotowała Jolanda Schepis: bilety na loterię dla starej Tonii, litrową miarkę złoconego pyłu dla karła Bebo, przyprawy dla duetu Barabissich, cyfrowy aparat dla Checa Malagi i biały biustonosz dla Giovanina *el tetàro*.

Jolanda nie miałyby nic przeciwko.

Stworzenie, tak o niej pomyślał, które troszczyło się o kobiety podobne sobie, by leczyć, poprzez ich ciało, własne serce.

Potem grubymi płatkami zaczął padać śnieg. Wydało mu się, że na brzegu Cagnan widzi Landrullego.

*Antimama*, było Boże Narodzenie.

- 1) We Włoszech most pierwszej kategorii to taki, po którym może odbywać się ruch wszystkich pojazdów. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). ↵
- 2) Tradycyjny festiwal wina w Treviso, którego uczestnicy, odziani w fartuch i wyposażeni w kubek, torbę i mapę miasta z zaznaczonymi barami i gospodami, odwiedzają poszczególne miejsca, degustując produkty lokalnego winiarstwa. ↵
- 3) *Dai* (pers.) – wuj. ↵
- 4) *Dada* (pers.) – w tym kontekście zwrot podobny do naszego: mój stary, mój drogi. ↵
- 5) Mohammad Mosaddek (1882–1967) – irański prawnik i polityk, demokratycznie wybrany premier Iranu w latach 1951–1953, obalony w wyniku sponsorowanego przez CIA zamachu stanu. ↵
- 6) *Czeturi? Chubam* (pers.) – Jak się masz? Dobrze. ↵
- 7) *Zulbija* (pers.) – przekąska z ciasta smażonego w głębokim oleju i nasączonego słodkim, aromatycznym syropem. ↵
- 8) *Wł. razza Piave* – rasa, ród, plemię Piawy. Chodzi tu o ludność zamieszkującą terytorium wokół dolnego biegu rzeki Piawy aż po jej ujście do Adriatyku. Termin został ukuty najprawdopodobniej po pierwszej wojnie światowej, gdyż nad Piawą toczyły się najbardziej krwawe walki wojsk włoskich i austrowęgierskich. Określenie *razza Piave* miało wskazywać na dumny, energiczny i waleczny charakter mieszkańców tych okolic. Było ono i nadal jest często wykorzystywane przez skrajną włoską prawicę. ↵
- 9) W ostatnich latach obowiązywania we Włoszech waluty narodowej 10 000 lirów odpowiadało około 6 euro. ↵
- 10) To skomplikowane zdanie w dialekcie weneckim znaczy po

prostu „Przywiązali koguty” i jest częścią trewizańskiego łamańca językowego, który w całości brzmi: *I ga igà i gai ai pai pai poi* – „Przywiązali koguty do grędy dla kurczaków”. ↵

11) W tamtym czasie to było nieco mniej niż 200 euro. ↵

12) Deser na bazie mąki ryżowej, mielonego kardamonu i masła, aromatyzowany szafranem i wodą różaną. Halwa różni się od tarhalwa użyciem mąki pszennej. ↵

13) Pers. Wieczór poprzedzający rocznicę mojej mamy Parwane. ↵

14) Tak Włosi nazywają miasto Rijeka w dzisiejszej Chorwacji. W latach 1924–1946 należało ono do Włoch. ↵

15) Łac. twoja śmierć, moje życie. ↵

16) Pietro Mennea (1952–2013) – utytułowany włoski sprinter, później polityk. ↵

17) Najjaśniejsza, *Serenissima* – popularne określenie historycznej Republiki Weneckiej. ↵

18) Radosna marchia – *marca gioiosa*, popularne wyrażenie określające aktualną prowincję Treviso, a wywodzące się z czasów średniowiecznych, kiedy te ziemie należały do marchii trewizańskiej. ↵

19) Rodzaj neapolitańskiego pączka. ↵

20) Typowe włoskie ciasto bożonarodzeniowe z lekkiego ciasta na zakwasie w formie dużej babki. ↵